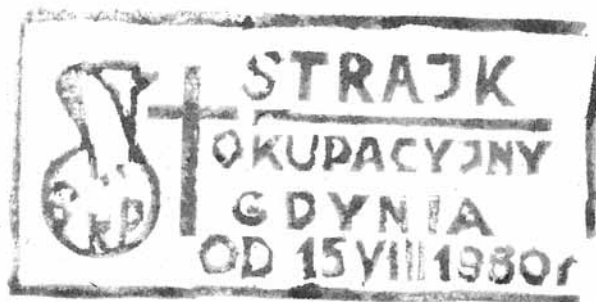


**GDYŃSCY KOMUNARDZI**



ANDRZEJ KOŁODZIEJ

GDYŃSCY  
KOMUNARDZI

SIERPIEŃ 1980 W STOCZNI GDYNIA

Rozmowa z autorem:  
Małgorzata Sokołowska

Okładka na podstawie projektu  
Artura Tarasiewicza CAMELEON

Zdjęcia:  
Ryszard Wesołowski  
Zbigniew Trybek  
archiwum

Dokumenty zamieszczone w książce  
pochodzą z Muzeum Miasta Gdyni, Archiwum „Solidarności”  
oraz zbiorów własnych autora

Copyright 2010 © by Andrzej Kołodziej

Sierpień 1980 w Stoczni Gdynia



## Gdańsk

### 14 sierpnia, czwartek

Umówionym sygnałem zastukałem do drzwi mieszkania Andrzeja Butkiewicza. Wszedłem, bez powitania napisałem na kartce: „w stoczni strajk”. Andrzej odpowiedział coś nieistotnego, pisząc jednocześnie na karteluszk (zawsze były pod ręką, bo w mieszkaniu był podsłuch): „idziemy tam”.

Dobrze znanymi uliczkami gdańskiej starówki poszliśmy w kierunku Stoczni Gdańskiej. Uważnie rozglądaliśmy się wokół. Nie tak dawno wychodziliśmy z tego mieszkania ze skutymi rękoma w asyście esbeków, więc nasze obawy były uzasadnione. Nie było nikogo podejrzanego. W rejonach przylegających do stoczni uderzająca cisza. Brakowało charakterystycznych odgłosów pracującej stoczni. Spotykaliśmy zaledwie kilku przechodniów. Dziwnie, jakby wszyscy wyjechali na wakacje. Tak niedawno tu mieszkałem, więc różnica była dla mnie zaskakująca. Spokojnie podeszliśmy do bramy stoczni.

– Nazywam się Andrzej Kołodziej – powiedziałem młodemu człowiekowi z opaską na rękawie – proszę powiadomić panią Annę Walentynowicz, że jestem przy bramie. Po chwili byliśmy w stoczni. Pani Ania była zajęta. Stała na wózku zastępującym mównicę, z ogromną tubą w dłoni, i donośnym głosem tłumaczyła coś zebranym stoczniowcom. Rozejrzałem się, wszyscy wokół radośni, uprzejmi

i uśmiechnięci. To inny świat. To kawałek Wolnej Polski. Serdeczne powitanie, pani Ania z wypiekami na twarzy przedstawiła nam tych ludzi, którzy odważyli się podjąć tę nierówną walkę. Opowiadała o całodziennych zdarzeniach. Wspaniale tak słuchać, ale czas na konkrety.

Poszliśmy do centrum strajkowego, a tam – przyjąłem to bez zaskoczenia – sami znajomi, czyli WZZ-y: Bogdan Borusewicz, Joanna i Andrzej Gwiazdowie, Alina Pieńkowska, Ania Walentynowicz, Lech Wałęsa... Gorąca dyskusja przedłużała się, a było tylko jedno pytanie: Co z jutrzejszym dniem? Co robić? Było już dobrze po północy, gdy ustaliliśmy plan działania. Musimy poderwać do strajku inne zakłady



Anna Walentynowicz w Stoczni Gdańskiej – pierwszy dzień strajku

dy pracy. Jeżeli uda się to, powołamy wspólną reprezentację. Myśleliśmy o pięciu, sześciu zakładach. Nieśmiało pojawił się postulat utworzenia Wolnych Związków Zawodowych, ale faktycznie to nikt nie traktował tego poważnie. Taki cel był dla nas w tamtej chwili nierealny. Bogdan zaproponował, aby zakłady, które podejmą strajk, przysłały swoje delegacje do stoczni. Miało to być założeniem Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego.

Wyszliśmy we trzech: B. Borusewicz, A. Butkiewicz



i ja. Tylko oni wiedzieli, że tego dnia zacząłem pracować w Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni. Bogdan miał swój plan: – Musisz zatrzymać Gdynię – powiedział.

– Dobrze. Tylko jak to zrobić? Przecież nie znam tam nikogo. – Nie słuchał, tłumaczył mi, jak formułować postulaty, jak organizować komitet strajkowy, jak ustrzec się prowokatorów. Mój Boże, przecież sam w tej stoczni na takiego będę wyglądał...

Podeszliśmy do pierwszej bramy.

– Tam jest najbliższej ulicy. Wsiądziesz do taksówki i pojedziesz do Gdyni. To ci pomoże na wstępie – powiedział. Wręczył mi pakiet dopiero wydrukowanych komunikatów o strajku:

– Zabierz do stoczni wszystkie materiały, jakie masz u siebie i... zrób wszystko, co tylko się da. Przyślijcie delegację komitetu strajkowego. Jutro przyjedzie do ciebie Andrzej Butkiewicz – dodał. I zostałem sam. Blisko godzinę chłopacy pilnujący bramy wypatrywali taksówki, a ja gorączkowo poszukiwałem planu na ten pierwszy krok. Świtało, gdy opustoszałymi ulicami Trójmiasta wiozłem „rewolucję do Gdyni”.

– Czy wy też zamierzacie strajkować? – zapytał kierowca, zatrzymując samochód przed hotelem robotniczym przy ul. Śląskiej.

– TAK! – odpowiedziałem, jakby to już było faktem.

– No to powodzenia – usłyszałem. Nie przyjął należności. Wziąłem to za dobry znak na początek. Gdy tak patrzyłem na odjeżdżającą taksówkę, przemknęła mi iskierka nadziei: – Jednak nie jestem sam – myślałem, otwierając hotelowe drzwi.

Była godz. 4.30, piątek 15 sierpnia 1980 roku.

## Dlaczego Wybrzeże

Był sierpień 1977 roku. Kończyły się wakacje, opustoszały plaże, rozwiały wakacyjne znajomości, a miasto stało się puste i obce.

W czerwcu ukończyłem szkołę zawodową w podbieszczadzkiej miejscowości. Zaczynał się rok szkolny a ja nie wiedziałem, w którą pójść stronę. Miał to być ostatni mój dzień na Wybrzeżu – w Gdańsku. Miał, do czasu, gdy postanowiłem zawrócić z dworca i przed wyjazdem pójść na spacer. Zapatrzonny w wysokie stoczniowe dźwigi, podążałem w ich kierunku. Bar, w którym zatrzymałem się, by zjeść śniadanie, wypełniony był młodymi ludźmi rozprawiającymi o pracy w stoczni. Jak zrozumiałem, większość z nich dopiero chciała tam pracować.

Odżył we mnie mit silnej stoczni – znany z Radia Wolna Europa. I pod wpływem tych myśli trafiłem do biura przyjąć. Po dwóch godzinach oczekiwania otrzymałem skierowanie na badania lekarskie i przydział na wydział W-3. Gdy w słoneczne popołudnie szukałem domu przy ulicy Chopina w Pruszczu Gdańskim – tam miałem mieszkać – nie zdawałem sobie sprawy, jak ten dzień zmieni moje życie. Następnego dnia, załatwiając różne formalności, przyglądałem się stoczni, urzeczony patrzyłem na rozległy teren. To było miasto w mieście. Minęły pierwsze wątpliwości. Tak, chciałem tu pracować.

7 września 1977 roku, jeszcze przed ukończeniem 18. roku życia, rozpocząłem pracę w Stoczni Gdańskiej. Szybko

rozwiało się moje przekonanie o niezwykłości pracujących tu ludzi. Byli tacy sami jak wszędzie, a stocznia okazała się takim samym zakładem jak inne, tylko trochę większym. Zrozumiałem, że czeka mnie monotonna praca, nierokująca nadzwyczajnych perspektyw.

W lutym 1988 roku podjąłem naukę w Technikum Budowy Okrętów. Praca i popołudniowe zajęcia w szkole nie pozostawiały mi zbyt wiele wolnego czasu, mimo to codzienne wysłuchiwanie wieczornych audycji Radia Wolnej Europy było stałym elementem mojego rozkładu dnia. Z jednej z audycji dowiedziałem się o utworzeniu Komitetu Założycielskiego Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża. Nieodparta chęć poznawania nowego pchała mnie do poszukiwań. Nie musiałem długo czekać. W stoczni znalazłem ulotkę z adresami. Pokazałem ją koledze ze szkoły, a ten oświadczył mi, że zna jeden z nich. Znał Piotra, syna Tadeusza Szczudłowskiego, w którym mieszkaniu mieścił się punkt konsultacyjny Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela.

Tak zaczęły się moje związki z przedsierpniową opozycją. Piotr był moim rówieśnikiem, więc łatwo znaleźliśmy wspólny język. Spotkania w ich domu były interesujące, ponieważ dotyczyły przede wszystkim historii najnowszej – tej niezakłamaniej. Ale mi to nie wystarczało, chciałem robić coś więcej, coś konkretnego, co dotyczyłoby poprawy losu ludzi ze środowiska, w którym byłem na co dzień, czyli robotników. Po jednym ze spotkań u Szczudłowskich wracałem z Bogdanem Borsewiczem. Zaproponował mi kolportaż na terenie stoczni materiałów WZZ-ów. Zgodziłem się bardzo chętnie. Problemy środowiska robotniczego były mi bardzo bliskie. Tkwiłem w tym po uszy i miałem już dosyć codziennych, jałowych dyskusji o niesprawiedliwości napotykaney w stoczni niemal na każdym kroku. Chciałem coś robić.

Spotkania WZZ-ów zrazu wydały mi się ciekawsze. Tu też była historia, ale już nie tylko dotycząca wielkich zrywów niepodległościowych, lecz przede wszystkim walki robotników z totalitarnym systemem. A więc rok 1956,

1970 czy 1976. Pierwsze spotkania odbywały się w małym gronie, kilku, czasem kilkunastu osób. Bogdan Borusewicz, Ania Walentynowicz, Alina Pieńkowska, Joanna i Andrzej Gwiazdowie, Andrzej Bulc, Andrzej Butkiewicz, Krzysztof i Błażej Wyszkwoscy – to ludzie, których w tamtym czasie spotykałem prawie codziennie. Omawialiśmy głównie bieżącą sytuację z zakładach pracy Trójmiasta, ale dużo czasu poświęcaliśmy też wykładni praw, jakie nam przysługują: prawa wyborcze, prawo pracy czy prawo karne. Nie wiedziałem, jak szybko znajomość tych przepisów okaże się dla mnie bardzo przydatna.

Pewnego letniego popołudnia, jak zwykle po pracy, zastukałem do drzwi mieszkania, w którym drukowałem z A Butkiewiczem „Robotnika Wybrzeża”. A tu niespodzianka: wszystkie nasze materiały leżały na środku pokoju, a po mieszkaniu kręciło się kilku smutnych panów. Rutynowa procedura. Sprawdzanie dokumentów, rewizja u mnie w mieszkaniu i „wycieczka” na Komendę Miejską w Gdańsku. To było moje pierwsze aresztowanie. Nie było to miłe doświadczenie. Ubecy postanowili trochę mnie postraszyć i postępowali ze mną we właściwy dla siebie sposób, to znaczy po chamsku. Wiedziałem już, jakie przysługują mi prawa i postanowiłem konsekwentnie z nich korzystać. Dlatego po pierwszych próbach zastraszania i gróźb, mimo fizycznego nacisku, odmówiłem odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania. I tak już pozostało przez kolejne aresztowania, które zdarzały się coraz częściej: przy okazji demonstracji, spotkań czy akcji ulotkowych. Gdy na przełomie 1979 i 1980 roku, po jednej z takich akcji aresztowano mnie w Sanoku, 36 godzin siedziałem przykuty do krzesła. Ubecy na zmianę, różnymi metodami, próbowali nakłonić mnie do rozmowy. Bezskutecznie. Po ok. 30 godzinach zmagani przywieźli na przesłuchanie mojego ojca. W jego obecności oświadczyli mi, że jeśli nie zechcę zeznawać, to on straci pracę, a moje siostry (mam ich siedem) pozostaną bez środków do życia. Na mnie jednak już takie metody nie działały. Nadal nie



Stocznia dzisiaj

wydoylem z siebie ani słowa. Ojca wyprowadzono, ja dostałem w pysk i wylądowałem w celi. W ramach dalszego umilania mi żywota wyjęli mi okno w celi – na zewnątrz było minus 24 stopnie. W takich momentach zaczynałem rozumieć, jak wielka może być determinacja człowieka i jak wiele dzięki niej można wytrzymać – jeśli się tylko bardzo chce i wierzy w sens tego trwania.

W styczniu 1980 roku, w Elektromontażu, gdzie pracował Wałęsa, miała powstać pierwsza niezależna od władz Komisja Robotnicza. Dwa dni przed planowaną akcją odwiedziliśmy go z Andrzejem Butkiewiczem w jego mieszkaniu na Stogach. Omawialiśmy szczegóły akcji i jej wsparcie propagandowe. Oczywiście dyskusja przebiegała jak zwykle – w formie pisemnej ze względu na możliwość podsłuchu. Na nic jednak przydała się nasza ostrożność. Następnego dnia Wałęsa urządził w swoim mieszkaniu spotkanie z kolegami z pracy i omówili

wszystko raz jeszcze, organizując przy okazji słuchowisko dla bezpieczeństwa. Rzecz jasna całą akcją diabli wzięli. Rano przed zaplanowanym wiecem milicja wygarnęła wszystkich potencjalnych uczestników – zostali zwolnieni z pracy w trybie natychmiastowym. Próbowaliśmy z Anią Walentynowicz zorganizować coś w Stoczni w ich obronie. Niewiele nam z tego wyszło, za to zostaliśmy i my usunięci ze Stoczni na dobre. W tym samym czasie wyrzucono mnie również ze szkoły. Tak więc po okresie wytężonej pracy, gdy nie miałem często nawet czasu na sen, nagle nie miałem żadnych obowiązków. Butkiewicz też już nie studiował. Socjalistyczne państwo nie chciało kształcić swoich wrogów. Na pracę nie mieliśmy widoków, przynajmniej na razie, postanowiliśmy doskonalić się w technikach drukarskich. W Gdańsku zrobiło się troszkę „ciasno”, więc przenieśliśmy się z drukarnią do Krynicy Morskiej. Kolega miał tam służbowe mieszkanie w jednym z ośrodków wczasowych, a pokazywanie się tam z większym bagażem nie wzbudzało podejrzeń.

Szkoliliśmy również drukarzy dla Ruchu Młodej Polski. Mieliśmy dużo wolnego czasu, więc staraliśmy się wypełnić go aktywnie. Coraz więcej drukowaliśmy i coraz częściej organizowaliśmy akcje ulotkowe. Tworzyliśmy własną grupę: ja, „But”, „Fiołek”, „Morda”, bracia Słomińscy i bracia Wyszkowscy. Z dala omijaliśmy w tym czasie Wałęsę. Po prostu nie było w tym czasie akcji z jego udziałem, któraby nie wpadła. A my działaliśmy z zaskoczenia i bezpiecznie. Nawet wówczas, gdy po trzeciomajowej demonstracji aresztowano Kobzdeja i Szczudłowskiego, w ich obronie prawie codziennie robiliśmy ulotkowe akcje na Gdańskiej Starówce.

W czerwcu i w lipcu przez Polskę zaczęła przepływać fala strajków i gdy w połowie lipca otrzymałem postanowienie Sądu Pracy, że do Stoczni Gdańskiej nie mogę powrócić, Bogdan namówił mnie, bym poszukał pracy w Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni. Wycofałem się ze wszystkich działań bieżących, które mogłyby naprowadzić bezpiekę na mój ślad, zmieniłem mieszkanie i podjąłem próbę zatrudnienia się w Stoczni Gdyńskiej.

## Gdynia

### 15 sierpnia, piątek

Miałem pół godziny do wyjścia, siadłem więc w fotelu i próbowałem odpocząć. Na korytarzu wzmagął się ruch: to budził się „hotel robotniczy”. Na mnie już czas – myślałem, dopijając kawę. Zaciągnąłem mocno pas, za który wciśnięte miałem ulotki. Idąc korytarzem, zastanawiałem się, czy tu jeszcze powrócę.

Rześkie powietrze poranka otrzeźwiło mnie natychmiast. Miałem zadanie do wykonania. Widziałem przed sobą spieszących do pracy. Na przystanku autobusowym słyszałem nieśmiało urywki zdań o strajku w Gdańsku. Widziałem skulonych, jakby zastraszonych ludzi. To nie było to, czego oczekiwałem. Kilka autobusów jednocześnie zajechało przed stocznię. To dobrze, musiałem wejść w tłumie, bo oprócz tych ulotek za pasem, miałem ich jeszcze pełną torbę. Wszedłem. I co dalej? Mój umysł zaczął pracować na wysokich obrotach. W dużej hali wydziału K-2 widziałem pracujących ludzi. Oni już rozpoczęli pracę. Musiałem działać szybko.

Przebrałem się w nowy kombinezon roboczy i do kieszeni włożyłem kilka ulotek. Resztę schowałem. Napotkanych robotników pytałem, co myślą o strajku. Patrzyli na mnie z rezerwą:

– Myśmy już strajkowali w 70 roku i straciliśmy nie tylko pracę, ale i zdrowie. Próbuj z młodymi, jak wam coś wyjdzie, to zobaczymy. W Gdańsku to też stoczniowcy. Trzeba by z nimi, ale co my możemy? – tłumaczył mi stary, zmęczony życiem człowiek.

Na hali jest kilkunastu spawaczy. Podszedłem do nich i spytałem, czy wiedzą o strajku w Stoczni Gdańskiej.

– Gdańsk strajkuje, a u nas nic się nie dzieje – odpowiada młody chłopak.

– Jak to? – powiedziałem zdziwiony. I dodałem zdecydowanie: – My też strajkujemy, wszystko jest przygotowane. Wręczyłem im komunikat o strajku i idę dalej. Następnej brygadzie powtarzam to samo. Wiem, że to przygotowanie sam wymyśliłem, lecz już za późno na rozterki. Brnąłem dalej.

– My byśmy strajkowali, a inni mogą pracować – słyszę w kolejnej grupie. To już dobrze.

– Wiecie, gdzie się wyłącza prąd? Jak się zacznie, zróbcie to.

Wróciłem na swój wydział, bo zbliżał się czas rozpoczęcia pracy. Na placu przed halą kilkunastoosobowe grupki stoczniowców w roboczych kombinezonach. Nikt nie kwapił się do rozpoczęcia pracy. Wszyscy komentowali sytuację w Gdańsku. Krążyłem między nimi, tu i ówdzie wciskałem komuś ulotkę. Przyłączałem się do rozmawiających, zadając jedno tylko pytanie:

– To co – strajkujemy?

Sytuacja stawała się coraz bardziej napięta. Odnosiłem wrażenie, że wszyscy czegoś wyczekiwali. Kierownicy i mistrzowie wychodzili na plac, próbowali ponaglać ludzi do podjęcia pracy. Przynosiło to skutek odwrotny od zamierzonego. Nagle uformowała się większa grupa robotników i wyszła na drogę między halami. Zadziałało to jak magiczny impuls. Po chwili było nas około tysiąca. Milczący tłum zwolna kierował się w stronę budynku dyrekcji. Byłem wśród nich. Starałem się dojrzeć kogoś, kto prowadził ten milczący pochód. Na próżno. Na czele pojawili się faceci w białych kaskach. Nie znałem ich, ale wiedziałem, że nie byli to przyjaciele. Jeden z nich zwrócił się do nas:

– Panowie, po co idziecie pod dyrekcję? Tu, na wydziale jest duża stołówka, wejdźmy tam to porozmawiamy o waszych problemach.



Zapaliły mi się czerwone światełka. Musiałem działać natychmiast. Wybiegłem przed maszerujących i krzyknąłem z całą mocą:

– Nie słuchajcie ich, nie jesteśmy przygotowani do rozmów z nimi. Jeżeli damy zamknąć się w ciasnym pomieszczeniu, na pewno nie wygramy. Musimy wezwać wszystkich do strajku i przygotować się do rozmów. Byłem dziś w nocy w Stoczni Gdańskiej i mogę wam przekazać, jak tam strajkują. Mam na swoim wydziale ulotki drukowane dzisiaj w nocy. Musicie tam pójść ze mną, to je wam dam. Jak pójdę sam, mogę nie wrócić.

Ktoś nieśmiało zaproponował:

– To idziemy.

Odwrociłem się i poszedłem. Kilka metrów za mną ruszył pochód. Wróciliśmy na K-2. Z pobliskich hal wyszli robotnicy i przyglądali się nam. Doszliśmy na miejsce. Poprosiłem kilku młodych ludzi, żeby weszli ze mną, gdyż obawiam się, że mogę zostać zatrzymany wewnątrz budynku. Wróciliśmy po dwóch minutach z ulotkami. Pierwsze cztery czy pięć wzięli ostrożnie ci najbliższej stojący i nagle cały tłum ruszył na mnie. Rzuciłem wszystko w górę i przyłgnąłem do ściany, bojąc się, by mnie nie rozdeptali. Teraz już przejąłem inicjatywę.

– Idziemy przez stocznnię wezwać innych do strajku – zaproponowałem. – Potem zbierzemy się na placu przed bramą i tam przygotowujemy nasze postulaty. Musimy pokazać na zewnątrz, że strajkujemy. To nasza szansa.

Ruszyłem, pozostali za mną. Kątem oka widziałem, jak robotnicy schodzili z budowanego obok statku.

Jest dobrze – pomyślałem.

To już nie była milcząca masa. Przy każdej hali zatrzymywaliśmy się, wzywaliśmy gapiów, by dołączyli do nas. Pochód pęczniał, a w mojej głowie w ekspresowym tempie przewijały się ostatnie instrukcje Bogdana. Nie było już facetów w białych kaskach. Na placu było nas dwa, może trzy tysiące. Zatrzymałem wszystkich i na ich oczach zamknąłem główną bramę. Musiałem zatrzymać ludzi w stoczni, nie mogliśmy wyjść na ulice miasta. To byłaby tragedia.

– Tu będziemy strajkować – oświadczyłem zebranym. Ktoś mi szepnął, że wyłączono gazy techniczne i prąd na wydziałach produkcyjnych.

Strajkujemy! Więc udało się! – ogarnęła mnie wewnętrzna radość. Ten etap, którego bałem się najbardziej, miałem już za sobą. Co dalej?

– Tak będzie lepiej – powiedział do mnie młody człowiek w mundurze straży przemysłowej. – Będziemy wszyscy słyszeć.

Inni podjechali pod bramę wózkiem akumulatorowym.

– To będzie nasza trybuna – powiedzieli patrząc na mnie. Wszyscy patrzyli na mnie. O, Boże Oni myślą, że ja ten strajk prowadzę. Za późno na rozmyślania. Wskoczyłem na wózek.

– Zaczekamy, aż dołączą do nas pozostali – powiedziałem, widząc zdążające ku nam grupy stoczniowców. – Potem wybierzemy Komitet Strajkowy, a na razie proszę, by zgłosili się chętni do pilnowania porządku. Musimy przejąć kontrolę nad bezpieczeństwem stoczni.

Zgłosiło się około dwudziestu młodych chłopaków. Po krótko wytłumaczyłem im, co mieli robić. Plac wypełniał się. Wziąłem megafon i zacząłem od relacji ze strajku w Gdańsku. Opowiadałem o żądaniach gdańskich stoczniowców, o wspaniałej atmosferze, jaką tam znalazłem. Przedstawiłem się i wyjaśniłem, że jestem pierwszy dzień w pracy i nie znam tu nikogo. Wszyscy patrzyli na mnie z niedowierzaniem.

Musiałem wglądać naprawdę dziwnie w oczach tych ludzi. Miałem dwadzieścia lat, byłem pierwszy dzień w pracy i zacząłem od strajku. Ostatni strajk był tutaj przed dziesięciu laty i jego finał był tragiczny. Co myśleli ci robotnicy, patrząc na mnie...

Zaproponowałem powołanie Komitetu Strajkowego. Cisza.

– Wybierzcie zaufanych przedstawicieli każdego wydziału – powiedziałem – a ja będę im doradzał. Znam Wałęsę, Anię Walentynowicz. Zaraz wyślemy delegację do Gdańska i będziemy działać wspólnie.

I znów brak odzewu. Musiałem działać sam. Zacząłem opowiadać o swojej działalności w Wolnych Związkach Zawodowych, snułem przed ich oczami fantastyczny obraz



Andrzej Kołodziej na wózku akumulatorowym – pierwszy dzień strajku w Stoczni im. Komuny Paryskiej

wspaniałej organizacji, która naprawdę broni zwykłych ludzi. Brzmiało to jak sen. Mówiłem o potrzebie utworzenia demokratycznie wybieranej reprezentacji ludzi pracy. Nie zdawałem sobie sprawy, jak różnie pojmowaliśmy demokrację, ale przekazywałem to, czego nauczyłem się w WZZ-ach.

Nareszcie przyjechał Andrzej Butkiewicz z bratem Maciejem. Odczułem ulgę. W tej sytuacji było to dla mnie niebagatelne wsparcie. Szybko zrelacjonowałem mu sytuację w stoczni i wzięliśmy się do pracy. Może to dziwnie brzmi, lecz strajk to ciężka praca.

Ogłosiłem zebranym, że wysyłamy delegację do Gdańska, aby, w myśl ustaleń, reprezentowali nasz zakład we wspólnym Komitecie Strajkowym. Skład delegacji ustaliłem sam. Następnie podjąłem próbę formułowania postulatów. Szło to opornie, ludzie skarżyli się, że źle słyhać (na placu jest już kilka tysięcy osób). Ktoś podpowiada, by uruchomić radiowęzeł. Natychmiast to wykorzystałem. Andrzej na czele delegacji stoczniowców poszedł do dyrektora z żądaniem udostępnienia radiowęzła strajkującej załodze. Dyrektor odmówił. Publicznie postawiłem ultimatum. Nie zareagował. Wybraliśmy grupę młodych odważnych i po piętnastu minutach radiowęzeł był nasz. Zastaliśmy tam obsługę, która zamknęła się od wewnątrz. Chciałem ich wyrzucić, ale jeden z nich (Zygmunt Pałasz) zaproponował nam fachową pomoc, więc został. Od tej chwili z wózka-trybuny mój głos docierał do każdego zakątka stoczni. Nieoceniona pomoc – jak się miało okazać w chwili kryzysu – już następnego dnia.

Z Andrzejem i Maćkiem ustaliliśmy plan działania. Powołanie Komitetu Strajkowego odłożyliśmy na później. Postanowiłem na razie kierować strajkiem samodzielnie. Zaczęliśmy natomiast redagować postulaty. Poprosiłem o podawanie propozycji, ale nikt się nie kwapił wychylić z tłumu. Po prawdzie odpowiadało mi to, ponieważ wstępną propozycję mieliśmy gotową.

Zacząłem więc kilkugodzinny monolog od ogólnych potrzeb socjalnych. Przychodziło mi to łatwo, ponieważ specyfikę pracy w stoczni dobrze znałem z własnego doświadczenia. Mówiłem głośno, publicznie o sprawach, o których stojący tu ludzie bali się rozmawiać. To ośmieliło zebranych. Tu i ówdzie pojawiały się pierwsze uwagi. Wszystkim podobało się to, że tak przejrzyście mówię o tym, co ich naprawdę bolało. Dla mnie najważniejsza jednak była kwestia Wolnych Związków Zawodowych. Zacząłem więc powoli i precyzyjnie tłumaczyć, jaka to ma być organizacja i dlaczego jest dla nas tak ważna.

– Sami wybierzemy swoich przedstawicieli, a oni będą dbali o nasze sprawy. My będziemy ich wspierać i bronić

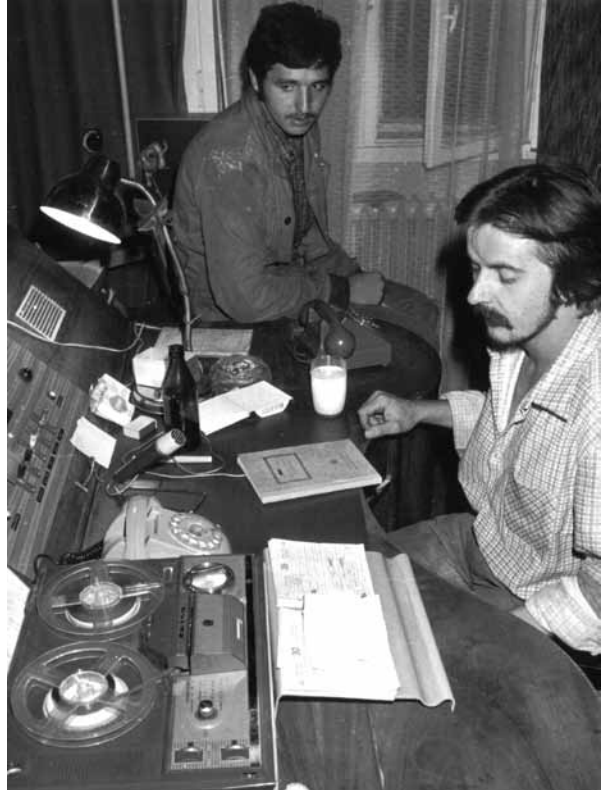
w razie potrzeby. Będziemy działać wspólnie, a wówczas nasz głos na pewno dotrze do władz. – wyjaśniłem. Dalej mówiłem o prawie do strajku, wolności osobistej, niezależności prasy i potrzebie własnych możliwości przekazu informacji. Wtedy podszedł do mnie ktoś i powiedział nieśmiało:

– Mamy na terenie stoczni drukarnię, może się przyda.

– Musimy ją natychmiast przejąć. Reżimowa prasa nie napisze o nas prawdy, więc napiszemy ją sami! – odpowiedziałem natychmiast. Odpowiedzią były gromkie brawa. Podjęliśmy szybką uchwałę (oczywiście przez akklamację): żądamy udostępnienia nam drukarni na czas strajku. Ponownie Andrzej, Maciek i kilku stoczniowców poszli do dyrektora z petycją.

– Oddanie strajkującym drukarni to tak, jakbym wydał wam klucze od magazynu broni – brzmiała odpowiedź dyrektora.

To mi wystarczyło. Natychmiast poleciłem wyważyć drzwi do drukarni. Ekipę „ślusarzy” znowu prowadził Andrzej z Maćkiem. Ja zostałem na placu. Po pięciu minutach mieliśmy kilka profesjonalnych maszyn i tony papieru, ale nie wiedzieliśmy, jak tego użyć. Natychmiast ściągnęliśmy



Radiowęzeł. Z prawej Zygmunt Pałasz



Wolna Drukarnia Stoczni Gdynia. Maciej Butkiewicz i Bogdan „Morda”

kolegów z miasta, ponieważ w drukarni musiałem mieć swoich zaufanych ludzi. Niestety, nie można było uruchomić maszyn, gdyż drukarze przed wyjściem uszkodzili je. Mieliśmy jednak znajomą w gdyńskiej drukarni „Nowator”. Pani Maria Koszarska przysłała nam doskonałego fachowca i pan Sabatowski, po trzydziestu prawie godzinach pracy, uruchomił drukarnię. W stoczni nikt nie wiedział, że cała obsada to moi ludzie, z zewnątrz i tak pozostało do końca strajku. Razem z „Butem” wybraliśmy kilkunastu stoczniowców do ochrony. Do nich należało pilnowanie wejścia. Nie wolno im było wchodzić ani też wpuścić nikogo na teren drukarni

bez mojego zezwolenia. Gdy zobaczyłem lęk w oczach starszych stoczniowców, oświadczyłem, że za te decyzje biorę odpowiedzialność na siebie, ponieważ nie ma jeszcze komitetu strajkowego.

– Nie obawiajcie się – powiedziałem do zebranych – jeśli ktoś pójdzie za to siedzieć, to tylko ja, osobiście wydałem polecenie zajęcia radiowęzła i drukarni.

Wróciliśmy do naszych postulatów. Pierwszy brzmiał: „Rozwiązanie związków zawodowych istniejących i tworzenie Niezależnych Wolnych Związków Zawodowych”.

Długo musiałem przekonywać zebranych do zasadności podkreślenia wagi tego żądania przez umieszczenie go na pierwszym miejscu. W końcu jednak wszyscy to zaakceptowali. Dwa dni później postulat ten stał się „sztrandem” na słynnej liście dwudziestu jeden postulatów Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego i do dziś powszechnie uznaje się, że powstał on w Gdańsku. Prawdą zaś historyczną jest, że stoczniowcy Gdyni wystąpili z takim żądaniem jeszcze wtedy, gdy Stocznia Gdańska walczyła o podwyżkę płac tylko dla swoich pracowników.

Wyraźnie wyczuwałem pewną obawę, gdy mówiłem tylko o kwestiach politycznych, dlatego ustaliłem z Andrzejem pewną taktykę: zaproponuję 15% podwyżki dla drugiej zmiany, co wszyscy przyjmą z aplauzem, a zaraz potem wolne soboty, czyli pięciodniowy tydzień pracy. Likwidację sklepów komercyjnych – a następnie żądanie prawa do strajku. Poprawę zaopatrzenia – i zaraz jawność życia politycznego oraz zniesienie cenzury. Podwyżka dla rencistów i emerytów – a za tym uwolnienie więźniów politycznych. Ja przekonywałem ludzi, a Andrzej notował. Wszystkie postulaty zatwierdzane były kolejno przez całą załogę. To taka przyspieszona lekcja demokracji. Około piątej po południu zamknęliśmy listę żądań i przepisaliśmy ją na maszynie. Po głośnym odczytaniu stwierdziłem, że dyrektor stoczni nie jest kompetentny do zagwarantowania nam realizacji tych postulatów. Zaproponowałem uznać go za emisariusza

w naszej sprawie do wyższych władz politycznych. Wybraliśmy delegację. Oczywiście, przewodniczyli jej Andrzej Butkiewicz (były student ekonomii UG) i jego brat Maciek (licencjalista z Suwałk, który przyjechał na wakacje do Gdańska). Ale o tym wiedziałem tylko ja.

Dyrektor delegację przyjął, ale oświadczył: – Z górnierzami nie będę rozmawiał.

Słowa te powtórzyłem zebranim. W odpowiedzi usłyszałem złowrogi pomruk i mocne robotnicze „określenia” całej dyrekcji. Wyciszyłem nastroje:

– Przecież i tak nie mieliśmy zamiaru z nimi rozmawiać, są zbyt mali, by sprostać naszym oczekiwaniom.

Wróciła delegacja z Gdańska, przywoząc porażającą wiadomość: Komitet Strajkowy Stoczni Gdańskie odrzucił nasze poparcie. Wałęsa nie chce słyszeć o tworzeniu wspólnej reprezentacji. Powtórzyli mi jego słowa: „Sami jesteśmy silni i potrafimy zadbać o swoje sprawy, jak chcecie coś wygrać, to musicie walczyć o to sami”.

Nie wierzyłem własnym uszom. Zatelefonowałem do Borusewicza. To, co usłyszałem, było niepokojące.

– Wałęsa chce podpisać porozumienie z dyrekcją – powiedział Bogdan. – Zgadzą się na podwyżkę i powrót Lecha i Ani do pracy w stoczni. Postaram się coś zrobić, ale sytuacja jest trudna.

Odłożyłem słuchawkę i zastanawiałem się, co powiedzieć tym na placu. Wolno podszedłem do wózka, wziąłem mikrofon i usłyszałem własny głos płynący z głośników:

– Podejmujemy strajk okupacyjny. Kto chce, może opuścić stocznię, ale, ostrzegam, nie będzie miał powrotu. Niech zostaną tylko ci, którzy zdecydowali się na walkę do zwycięstwa. Musimy teraz zająć się przygotowaniem noclegów. Dzisiaj będziemy spać tu, na miejscu, razem będziemy bezpieczni.

Nie w pełni zdawałem sobie sprawę z tego, co naprawdę działo się w Gdańsku, ale jedno wiedziałem na pewno: musiałem decydować sam. O zaistniałej sytuacji poinformowałem tylko Butkiewicza. Andrzej próbował uruchomić drukarnię,



a ja zająłem się organizacją strajkowego życia. Polecilem otworzyć magazyn, w którym były płyty styropianu. Miały posłużyć za materace do snu (potem pomysłowi stoczniowcy budowali z nich domki-namioty i tak powstała słynna „dzielnica willowa”). Tak zrodził się mit o styropianowych strajkach.

Na szczęście zaledwie kilkanaście osób opuściło stocznnię. Nie żał mi było. Tych niepewnych wolałem mieć z tamtej strony bramy. Zorganizowałem warty dla ochrony zakładu i ciągle tłumaczyłem potrzebę i zalety trwania w zwartej grupie. Po prostu razem byliśmy silni. Tak zastała nas noc. Pierwsza noc strajkowa pierwszego strajku okupacyjnego w stoczni. Co przyniesie następny dzień?



Styropian: nocleg pod drzwiami drukarni

## Pierwsza noc strajkowa

Noc przeznaczona jest dla odpoczynku, ale ta była inna. Pełna obaw. Co przyniesie? To pytanie nie pozwalało mi nawet myśleć o śnie. Plac przed bramą z wolna pustoszał. Ludzie szukali miejsc, gdzie mogliby choć trochę odpocząć. Przed bramą nadal stał spory tłumek. Wszyscy byli podekscytowani. Domyślałem się tylko, że dręczyła ich niepewność o najbliższą przyszłość. Cały czas z nimi rozmawiałem, próbowałem rozładować napiętą atmosferę. Nie chciałem, by myśleli o swoich żonach, dzieciach i rodzinach. Opowiadałem o ciekawych zdarzeniach z działalności opozycyjnej. Barwnie opisywałem spektakularne akcje i lekceważąco mówiłem o aresztowaniach. Świadomie, w mroku nocy, kreśliłem przed zebranymi wizję wygranej i świetlanej przyszłości.

Napięcie powoli ustępowało. Było już daleko po północy, gdy dobrałem sobie kilkunastu ludzi i ruszyłem na obchód stoczni. Szliśmy wzdłuż ogrodzenia. Nieustannie towarzyszył mi wewnętrzny niepokój: ta nienaturalna cisza panująca w stoczni. Odgłosy pracujących stoczni to jakby puls życia miasta. A teraz głucha cisza. Jakże dziwnie w tym tle wyglądały sylwetki stoczniowców oświetlone nikłym blaskiem płonących ognisk. Nieprzenikniona ciemność nocy malowała tajemnicze obrazy.

Ogniska spotykaliśmy w regularnych odstępach. Przy nich przede wszystkim młodzież. Gdy podchodziłem, ci, którzy siedzieli, wstawali nagle zażenowani, jakbym ich na czymś

przyłapał. Natychmiast objaśniali mi, jakiego rejonu pilnują. Z przekonaniem zapewniali o gotowości pełnienia podjętego zobowiązania do końca strajku, a przecież nie wiedzieli, jak długo potrwa. Informowali o wszystkich ruchach na zewnątrz, o każdym przejeżdżającym radiowozie milicyjnym. Ciemność pobudzała ich wyobraźnię, lecz w tym zachowaniu było jeszcze coś: reagowali tak, jakby wizytował ich ktoś ważny. Dotarło do mnie, że jestem tu „szefem”, ich wodzem. Czulem się dziwnie. Przecież wszyscy byli starsi ode mnie.

Wracaliśmy nabrzeżem, gdzie było mniej wart. Na gładkiej tafli wody szerokiego kanału z daleka widoczny był najmniejszy ruch. Odwiedziłem więc tych, którzy dzisiejszą noc postanowili przeczekać na własnych wydziałach. Przeczekać, bo nie spotkałem nikogo, kto spałby. W każdej grupie te same pytania:

- Co to są te Wolne Związki Zawodowe?
- Jak długo będziemy strajkować?
- Czy wierzę w wygraną?

Cierpliwie odpowiadałem na wszystkie. Może już po raz setny, ale to przecież od ich postawy zależało powodzenie strajku, nie mogło więc zabraknąć mi cierpliwości. Nawet nie myślałem o śnie. Chciałem być wśród ludzi, musiałem wiedzieć o najmniejszym zdarzeniu, bo trudno było z góry ocenić, co może okazać się ważne w tych warunkach.

Wracając pod bramę, odwiedziłem drukarnię. Nikt tutaj także nie spał, ale nie mogłem rozpoznać chłopaków. Rozebrani do pasa, wysmarowani czarną farbą po koniuszki uszu, walczyli z maszynami. Tylko Pan Sabatowski był drukarzem, pozostali widzieli taki sprzęt pierwszy raz. Robili jednak, co mogli, by nasze ulotki ukazały się jak najszybciej. Maciek z dumą pokazał mi gotową już, złożoną z czcionek, pierwszą matrycę. I tak świeżo upieczony licealista został zecerem w strajkowej drukarni. Opuszczając drukarnię, udawałem, że nie widzę setek nieudanych odbitek zaścielających podłogę. Nikt tu nie sprzątał, wszyscy w napięciu czekali na efekt pracy mechanika.

Ustaliliśmy z Andrzejem plan na nadchodzący dzień. Postanowiłem wybrać się do sąsiadującego z nami portu i do stoczni Nauta. Dzień wcześniej obiecali nam wsparcie, więc chciałem sprawdzić osobiście, jak to się u nich rozwija. Andrzej na ten czas przejął pieczę nad strajkiem.

W radiowęźle było kilku młodych, którzy mi pomagali od początku strajku. Przy kawie przedstawiłem im plan odwiedzenia portu i stoczni „Nauta”. Odradzili mi. Teren portu jest rozległy, a „Nauta”, choć przylega do portu, odległa o kilka kilometrów. W ich oczach widziałem obawę, że mógłbym zostać zatrzymany. Wśród nich, w stoczni, byłem

bezpieczny, a im potrzebna była moja obecność. Wyjaśniłem, jak ważne jest zaangażowanie innych zakładów: musieliśmy mieć siłę. Po krótkiej naradzie postanowili zrobić rozeznanie. Wrócili po półgodzinie z rowerami i stwierdzeniem: droga wolna. Była piąta rano, wokół cisza. Przeszliśmy przez płot na teren portu. Nigdzie nie widać ludzi i tylko nieruchome dźwigi świadczyły o zakłóconym rytmie tego ogromnego organizmu. Pojechaliśmy do Komitetu Strajkowego, a tam zapewniono mnie, strajk już



Andrzej Kołodziej z pracownikami radiowęźła

jest, ale organizowanie go potrwa jeszcze ze względu na specyfikę pracy:

– Rano przyjdzie nowa zmiana, która dopiero ma dołączyć. Liczą na nas.

Stocznia Remontowa „Nauta” wydawała mi się dziwnie mała. Gdzieś w hali nieliczna grupa stoczniowców. Nie wiedzieli, co robić, pytali więc niecierpliwie o dalszy rozwój sytuacji: – Chcemy strajkować, ale sam widzisz... Dzisiaj jest sobota i ludzi mało. Jeśli przetrwacie do poniedziałku, to my też będziemy strajkować.

Nie była to sytuacja, jakiej się spodziewałem. Zapewniłem ich o naszej determinacji i udzieliłem rad, jak dalej prowadzić strajk. Zrobiłem to z pewnością doświadczonego rewolucjonisty i moja postawa udzieliła się zebranim. Już w lepszym nastroju życzyliśmy sobie wytrwałości i wróciliśmy do naszej stoczni.

Powoli przed bramą główną gromadzili się strajkujący. To taka nienaturalna sytuacja. Po raz pierwszy nie przyszli rano do pracy, lecz obudzili się w stoczni i nie musieli pracować.

Przed rozpoczęciem dnia zatelefonowałem do Bogdana Borusewicza. Zrelacjonował mi przebieg nocnych rozmów w Stoczni Gdańskiej. Wyczułem, że dzieje się coś złego. Bogdan był wyraźnie zdenerwowany. Na moje pytanie, co z tworzeniem Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego, nie odpowiedział. Był zaniepokojony postawą Lecha Wałęsy i Komitetu Strajkowego: skłaniają się ku podpisaniu porozumienia z dyrektorem i zakończenia strajku. Był pełen obaw i obiecał przeciwdziałać.

– Trzymaj się i spodziewaj się wszystkiego – to jego słowa. Odłożyłem słuchawkę i przez chwilę zastanawiałem się, co powiedzieć zebranim wokół mnie ludziom.

– Jest dobrze – usłyszałem swój głos. – Stocznia dzielnie strajkuje, dołączyły inne zakłady. Później przyjedzie ktoś do nas, to poznamy więcej szczegółów. Musimy zebrać ludzi na placu i powołać komitet strajkowy, a potem podejmiemy dalsze działania. Proszę uruchomić radiowęzeł – zwróciłem się do obsługi i wyszedłem na plac, na którym gromadzili się stoczniowcy. Była to nadal tylko robotnicza część załogi. Pracownicy biur konstrukcyjnych i administracji biernie przyglądali się naszym poczynaniom.

Tak rozpoczęliśmy drugi dzień strajku.

## 16 sierpnia, sobota

Wysłuchałem relacji z różnych wydziałów o minionej nocy. Kilku stoczniovców prosiło mnie o poufną rozmowę. Poinformowali o tajemniczych zebraniach, które nocą próbowali organizować sekretarze niektórych wydziałów, namawiając ludzi do zaniechania strajku. Opowiadali tam jakieś bajki o mnie, że nie jestem pracownikiem stoczni, że tak naprawdę to jestem o kilka lat starszy, niż podaję, a przede wszystkim to, że jestem agentem, który ma wciągnąć stocznię w bliżej nieokreśloną awanturę polityczną. Postanowiłem rozprawić się z inspiratorami, gdy przyjdzie właściwy moment. Tymczasem podjąłem kolejną próbę utworzenia Komitetu Strajkowego. Zdawałem sobie sprawę z tego, że na dłuższą metę nie dam rady samodzielnie prowadzić strajku. Jednak w dalszym ciągu trafiałem na bierność. Nikt nie chciał się wychylić, bo po prostu w tłumie rażniej. Zgłaszali się tylko młodzi ludzie, chętni do wykonania poszczególnych zadań, ale nikt nie chciał brać odpowiedzialności za prowadzenie strajku.

Jeszcze raz przedstawiłem własną wizję schematu naszych działań i – nic. Była sobota i prawie wszystkich nurtowało pytanie: a co z dniem jutrzejszym, niedzielą. Jeszcze nigdy nie strajkowano w niedzielę. Jak będzie? Dla zdecydowanej większości niedziela to obiad rodzinny, a przede wszystkim msza we własnej parafii.

Ponownie tłumaczyłem zasadność pozostania w stoczni. Zapewniałem, że inne strajkujące zakłady postąpią tak

samo. Nie wiem, czy moje argumenty docierały, ale za mną przemawiała pamięć o Grudniu 1970 roku: jeżeli wyjdziemy, już nie pozwolą nam wrócić do stoczni, jak wówczas. A tamte tragiczne wydarzenia nasuwały obecnym zbyt wiele skojarzeń z aktualną sytuacją. Powoli wszystko zaczynało nabierać właściwego rytmu. Na bramie pojawiali się pierwsi goście z miasta. To rodziny strajkujących stoczniowców. Początkowe napięcie i niepewność zaczęły znikać. Dzień zapowiadał się upalny i wydawało mi się, że w miarę wzrostu temperatury powietrza wzmagały się pozytywne nastroje.

Docierały do mnie kolejne informacje o dziwnych poczynaniach wydziałowych sekretarzy partii. Namawiali ludzi, by wyszli na niedzielę do swoich rodzin. To zaczynało być groźne. Postanowiłem usunąć ich ze stoczni. Przedstawiłem działanie tych aktywistów jako rzecz niebezpieczną dla naszych dążeń i uzyskałem akceptację dla moich zamiarów. Ogłosiłem więc uroczystie:

– W dniu dzisiejszym do godziny 13 wszyscy działacze partyjni ze wszystkich wydziałów muszą opuścić teren stoczni. Kto nie podporządkuje się temu zaleceniu, będzie usunięty siłą. Zaproponowałem jednocześnie, aby, ze względu na trudy strajku, zakład opuściły kobiety. Po upływie godziny nieśmiało pojawili się przy wózku „pierwsi właściciele czerwonych książeczek” i z lękiem w oczach pytali, czy mogą spokojnie wyjść ze stoczni. Przez bramę przeszli bez przeszkód, wzbudzając tylko ironiczne uśmiechy wśród zebranych. Innym później nie będzie już tak lekko.

Do wózka przybyła delegacja kobiet. To panie prowadzące stołówkę główną i bary stoczniowe. Kategorycznie odmówiły opuszczenia stoczni:

– Z pustymi żołądkami strajku nie wygracie, a kto wam tutaj będzie gotował, jak nie my – oświadczyły zdecydowanie. Nikt nie oponował. Przecież miały rację. I główna stołówka pracowała doskonale do końca strajku, wydając około dwudziestu tysięcy posiłków dziennie, nie tylko dla stoczni, ale też dla innych małych zakładów z Gdyni, które wspieraliśmy.



Strajkowa stołówka

Z Gdańska przyjechała dwójka studentów. Ania powiedziała, że przysłała ich B. Borusewicz, i prosiła w jego imieniu, abym przygotował się na ciężkie chwile: Stocznia Gdańska jest bliska porozumienia z dyrektorem i zmierza do zakończenia strajku. Wiadomość była porażająca. Nie chciałem w to uwierzyć. Natychmiast spróbowałem nawiązać kontakt z Bogdanem. Niestety, był nieosiągalny. Uczestniczył w rozmowach z dyrektorem. Co robić? Cały plan walił się. Przecież mieliśmy utworzyć wspólny Komitet Strajkowy i na tym budowałem przyszłość naszego strajku.

Sytuacja stała się trudna. Nawet nie próbowałem przekazać tych informacji załodze. Sam nie chciałem w to wie-



rzyć. Naradziłem się z Andrzejem Butkiewiczem. Zgodził się ze mną. Udawaliśmy, że nic się nie dzieje, i czekaliśmy na rozwój wypadków. Byliśmy pewni, że strajk musimy utrzymać! Andrzej przygotowuje listę zakładów, które już strajkują. Jeśli Stocznia Gdańska zakończy strajk, zbierzemy przedstawicieli tych zakładów do siebie i sami utworzymy wspólny Komitet Strajkowy. „But” przyniósł mi gotowy tekst apeluwania do strajku generalnego w całej Polsce. Zaakceptowałem go, tylko wszystko musiało być zachowane w ścisłej tajemnicy do czasu, gdy zostanie wydrukowany. Maszyny jeszcze nie były sprawne, ale w poniedziałek rano będzie ponad sto tysięcy gotowych ulotek.

Tuż przed godziną trzynastą już wiedziałem, że Komitet Strajkowy Stoczni Gdańskiej podpisze porozumienie z dyrektorem i zakończy strajk. Informacja ta docierała do strajkujących za pośrednictwem dziwnych emisariuszy z Gdańska. Pojawiali się przy płocie stoczniowym, twierdzili, że są pracownikami SG i nawoływali do zakończenia strajku. Próbowiałem uzyskać połączenie telefoniczne z Gdańskiem, ale okazało się to niemożliwe. Linia telefoniczna była zablokowana. Wybraliśmy delegację, która miała osobiście udać się do Gdańska, na miejscu zapoznać z sytuacją. Jednak w obawie przed możliwością aresztowania ich w drodze zrezygnowaliśmy z tego pomysłu.

Napięcie wzrastało. W szeregi strajkujących wkradała się niepewność. Z takim trudem wytworzona atmosfera jedności powoli pękała...

Kilka minut po godzinie czternastej uzyskałem połączenie telefoniczne z sekretariatem dyrektora Stoczni Gdańskiej. Sekretarka poinformowała mnie, że właśnie zostało podpisane porozumienie i wszyscy opuszczają stocznię. Zadzwoiłem do znajomych mieszkających w pobliżu stoczni i spytałem, jak naprawdę przedstawia się sprawa strajku w stoczni. Znajoma jeszcze nic nie wiedziała, ale spojrzała przez okno i krzyknęła:

– Co oni robią, oni naprawdę wychodzą!

Nogi ugięły się pode mną. Brak mi było słów, nie wiedziałem co powiedzieć.

Gdyby był tu teraz Wałęsa... – pomyślałem. I ogarnęła mnie wściekłość.

Nagle ożyły megafony. To dyrektor podłączył się do radiowęzła ze swojego gabinetu. Informował o zakończeniu strajku w Gdańsku i wzywał do opuszczenia terenu zakładu. Rodził się chaos. Nie miałem czasu na rozmyślenia nad przyczynami tego, co się stało. Musiałem działać natychmiast. Tłum zebranych na placu topniał. Ludzie powoli zaczynali rozchodzić się. Usiłowałem ich powstrzymać. Dramatycznie apelowałem o zachowanie jedności. Tłumaczyłem, że tylko to jest naszą siłą i jedyną szansą w tej nierównej walce. Udało się odciąć połączenie dyrektora z radiowęzłem.

Do stoczni przybywały, zdezorientowane rozwojem wypadków, delegacje innych strajkujących okolicznych zakładów. Zaproponowałem im pozostanie w stoczni do czasu wyjaśnienia sytuacji. Przedstawiłem zarys planu działania na najbliższe godziny: zaprosimy do stoczni przedstawicieli wszystkich strajkujących załóg, powołamy wspólną reprezentację i zastanowimy się, jak postępować dalej.

Część ludzi pozostała na placu, ale prawie połowa rozeszła się na swoje wydziały. Zrozumiałem, że największe obawy wśród załogi są o dzień jutrzejszy – niedzielę. Decyzję podjąłem natychmiast. Wysłaliśmy dwójkę studentów, znajomych z duszpasterstwa akademickiego, z zadaniem znalezienia księdza, który zgodzi się odprawić niedzielną mszę na terenie stoczni.

Andrzeja zostawiłam na placu. Miał przyjmować delegatów innych zakładów i utrzymać razem zebranych tu ludzi, a ja z kilkoma młodymi, z megafonem w dłoni, pojechaliliśmy wózkiem akumulatorowym na drugą bramę. Tam gromadzili się ci, którzy chcieli opuścić stocznię. Mój dramatyczny, kilkunastominutowy apel przyniósł pożądaný skutek. Stoczniovcy powoli zawracali, kierując się na swoje wydziały.

Jednak to jeszcze nie był czas na odpoczynek. Jeździliśmy od wydziału do wydziału. Wszędzie powtarzałem to



### Niepewność

samo. O czym mówiłem, nie potrafię dziś powtórzyć. Czuliśmy, że nagle zaczynało się wszystko sypać i musiałem za wszelką cenę utrzymać ten strajk. Wzywałem, by ponownie zebrali się na placu, bo musimy tam wspólnie podjąć bardzo ważne decyzje. Myślałem o powołaniu wspólnego z innymi załogami Komitetu Strajkowego.

Łącznik od Andrzeja poinformował mnie o przybyciu delegacji z Gdańska. Wróciłem więc natychmiast na plac. Przyśłał ich Borusewicz. Podali mi kartkę: *Były kłopoty, ale już jest wszystko dobrze. Część ludzi wyszła, a ci, co pozostali, ogłosili strajk solidarnościowy z innymi zakładami. Trzymaj się. Będę u was wieczorem. B.B.* To była najlepsza informacja, jaką mogłem otrzymać. Natychmiast ogłosiłem to za pośrednictwem radiowęzła i powtórzyłem kilkakrotnie, by mieć pewność, że wiadomość ta dotrze do wszystkich stoczniowców.

Sytuacja zmieniła się diametralnie. Czuć było ulgę. To tak, jakby powrócić z dalekiej podróży. Na twarze zebranych powrócił uśmiech. Wtedy nad stoczną pojawił się śmigłowiec. Z nieba posypały się ulotki wzywające do przerwania



Zrzucone ze śmigłowców rządowe ulotki wzywające do przerwania strajku.

strajku. Ale już wiedziałem, że nie stanowią one zagrożenia. Pół godziny wcześniej mogło być inaczej. Ludzie wracali na plac przed bramą główną, przynosili „gadzinowe” ulotki i demonstracyjnie wrzucali je do kosza. W ulotkach oskarżano mnie o polityczne awanturnictwo i wzywano strajkujących do odrzucenia postulatów politycznych. Działania te nie były już w stanie odwrócić sytuacji. Ludzie już postanowili: strajkujemy nadal! Zniknęło wcześniejsze napięcie. Powoli wszystko wracało do normy. Oczywiście, strajkowej normy.

Studenci powrócili ze wspaniałą wiadomością: ksiądz Hilary Jastak przyjdzie jutro do stoczni odprawić mszę świętą. Informacja ta wywarła na stoczniowcach niesamowite wrażenie. Przemieniła ich w oka mgnieniu. Zapomnieli tak nieodległym kryzysie. Poczuli się gospodarzami zakładu i natychmiast najważniejsze stało się godne przyjęcie duchownego „u siebie”. Jedni porządkowali plac, inni myśleli, jak i z czego zrobić ołtarz. Zebrała się orkiestra stoczniowa. Przecież nie mogło jej zabraknąć na pierwszej w historii PRL-u mszy, świętej na terenie zakładu pracy. Najważniejsze było jednak to, co potwarzali sobie wzajemnie, jakby dodając sobie otuchy: jak Kościół jest z nami, to musimy wygrać!

Byłem już pewien, że najgorsze mamy za sobą. Przystąpiliśmy do porządkowania naszych spraw organizacyjnych. Wybraliśmy trzyosobową delegację i wysyłaliśmy ją do Stoczni Gdańskiej. Doświadczenia ostatnich godzin nauczyły nas dbania o własne, pewne źródło informacji. Delegacje innych gdyńskich zakładów nie chciały jechać do Gdańska.

– A co, jeśli tam znowu skończą strajk? – pytali. Zdecydowanie bezpieczniej czuli się w naszej stoczni.

### **Robotnicy Stoczni im. Komuny Paryskiej**

Władze centralne zgodziły się poważnie zwiększyć Wasze zarobki, mimo bardzo trudnej sytuacji gospodarczej kraju. Tak samo, jak stoczniowcy ze Stoczni im. Lenina otrzymacie podwyżki plac w ramach V tabeli.

Z powagą wobec Waszych argumentów odbywały się w tych sprawach rozmowy. Biuro Polityczne KC PZPR i Rząd powołały komisję pod przewodnictwem wicepremiera Tadeusza Pyki. W warunkach normalnej pracy i spokoju komisja ta zbierze i rozpatrzy postulaty załóg Wybrzeża Gdańskiego.

Wezoraj o godz. 14.00 stoczniowcy Stoczni im. Lenina w Gdańsku w wyniku porozumienia z dyrekcją postanowili zakończyć strajk i przystąpić do pracy. Tej decyzji Komitetu Strajkowego nie podporządkowała się niestety kilkusetosobowa grupa pracowników. W Waszym jednak zakładzie zachodzą wydarzenia niepokojące i niebezpieczne. Usiłuje się usuwać z zakładu niektórych robotników i pracowników dozoru technicznego. Wsuwane są hasła polityczne wymierzone w podstawy porządku społecznego. Żąda się zwolnienia więźniów politycznych, których w Polsce od dawna nie ma. Oskarża się nasze państwo o brak demokracji podczas, gdy sposób traktowania postulatów Waszej załogi i innych załóg jest najlepszym zaprzeczeniem tego oskarżenia.

W naszym kraju jest miejsce dla różnych poglądów, dla dyskusji i sporów. Są jednak granice, których w imię odpowiedzialności za losy Ojczyzny nie wolno przekroczyć.

Zastanówcie się, kto i dla jakich celów pcha Was do zamętu i bałaganu, do politycznej awantury.

Pomyślcie ku czemu to prowadzi?

Czy leży to w interesie Was i Waszych rodzin, czy leży to w interesie Stoczni i miasta, w którym żyjecie, czy leży to w interesie naszego kraju?

Odpowiedzcie sobie na te pytania sami.

Bądźcie czujni wobec prowokacji.

Jedna z ulotek rozrzucanych nad stocznia

Podczas kilkugodzinnego kryzysu ujawniło się wielu oddanych partii aktywistów, którzy ze zdwojoną energią usiłowali negatywnie wpłynąć na przebieg strajku. Teraz kryli się gdzieś w zakamarkach stoczni. Ich los był już jednak przesądzony. Otrzymałem poufne informacje, jak nazywają się i gdzie należy ich szukać. Wezwałem ich publicznie do natychmiastowego opuszczenia stoczni. Ostrzegłem jednocześnie, że wszyscy zostaną odnalezieni i usunięci z zakładu.

Niespodziewanie zgłosił się przedstawiciel dyrektora z zapytaniem, czy w zaistniałej sytuacji pozwolę dyrektorowi spotkać się z załogą. Moje stanowisko było jednoznaczne:

– Tak. Jednak pod warunkiem, że nie będzie wzywał do przerwania strajku. Ostrzegam, że po pierwszym zdaniu zawierającym sugestię naruszającą tę zasadę, opuści stocznię wraz z resztą swoich zwolenników.

Dyrektor zaakceptował warunki i po kilkunastu minutach wraz ze świtą zjawił się przy „wózku-trybunie”. Wieść o tym wzbudziła wyjątkową ciekawość wśród załogi. Na plac przybyli prawie wszyscy strajkujący. Dopuszczenie do głosu dyrektora mogło okazać się niebezpieczne dla mnie, ale miałem w tym pewien cel, więc podjąłem ryzyko.

Już po pierwszych słowach wiedziałem, że dyrektor czuje się bardzo niepewnie w tej nietypowej dla niego roli. Miał przed sobą nieprzychylny, milczący tłum robotników, a jego poczynania w ostatnich godzinach z pewnością nie wzbudziły sympatii wśród zebranych.

Nieudolnie, z udawaną troską, próbował wykazać zainteresowanie postulatami socjalnymi, deklarując chęć ich rozpatrzenia.

Odebrałem mu mikrofon. Nie dopuściłem do debaty o postulatach. Z ironią wytknąłem dyrektorowi, że miał na to wystarczająco dużo czasu przed strajkiem, ale wówczas załoga nie była dla niego partnerem do dyskusji. Teraz to on będzie musiał poczekać, aż my będziemy gotowi i zechcemy z nim rozmawiać. Wykorzystując jego fałszywe przymilanie się załodze, zaproponowałem, aby uwolnił środki z fundu-



Napięcie trochę zelżało.

szu socjalnego na zaopatrzenie stołówki stoczniowej dla potrzeb strajkujących. Odmówił, a ja zagroziłem podjęciem głódówki protestacyjnej. Ustąpił. Tak doszło do jednego z paradoksów tamtych czasów: w komunistycznym państwie protestujący przeciw polityce bolszewickiego rządu robotnicy strajkowali na ich koszt.

Zażądałem udostępnienia urządzeń kserograficznych dla potrzeb strajkujących. Odmówił, argumentując, że jest to decyzja polityczna, której on podjąć nie może. Rozumiałem jego stanowisko: przecież nie mógł dać nam „broni” do ręki. Jednak z premedytacją przedstawiłem to jako akt złej woli.

– Jeżeli to decyzja polityczna, niech podejmie ją pierwszy sekretarz – wskazałem faceta, który próbował niemalże wtopić się w ścianę wartowni.

– Nie – brzmiała odpowiedź.

Zaproponowałem więc, by wszyscy sekretarze opuścili stocznię. Skoro nie chcą lub nie mogą nam pomóc, to nie będą przeszkadzać. Załoga zaakceptowała tę propozycję. Zdenerwowany dyrektor chciał ratować kolegów. Mętnie tłumaczył coś o potrzebie zabezpieczenia zakładu.

Co mieliby zabezpieczać w stoczni sekretarze partii podczas strajku? Chyba tylko własne interesy.

– To co robimy z kierownictwem zakładu? – spytałem zebranych.

– Za bramę! – odpowiedział tłum.

Poirytowany dyrektor dramatycznym głosem próbował o coś prosić. W odpowiedzi usłyszał gwizdy i gremialny okrzyk: „Za bramę”. Odebrałem mu mikrofon i uspokajałem w zburzony tłum na placu. Dyrektor chciał jeszcze raz apełować do załogi o pozostawienie kierownictwa w zakładzie. Kategorycznie odmówiłem:

– Ludzie są wzburzeni, proszę ich nie prowokować, bo może to skończyć się źle dla pana. Zaproponowałem mu pozostanie na terenie stoczni pod kontrolą Komitetu Strajkowego. Chyba nie wierzył, że mogę go zamknąć.

– Dyrektor – powiedziałem głośno – prosi nas o pozostawienie go w stoczni, nawet jeśli ma to być w zamknięciu.

– Odpowiedzią był zbiorowy wybuch radości.

– Przygotujemy pomieszczenie bez telefonów, w którym przebywać będzie dyrektor, jego dwóch zastępców oraz pierwszy i drugi sekretarz partii. Nie będą mieli prawa poruszania się po terenie stoczni ani utrzymywania kontaktów z osobami z zewnątrz. Dla pewności będą pilnowani przez ludzi, których tu wybierzemy. Proszę o zgłaszanie się chętnych do pilnowania dyrekcji.

Chętnych było wielu, zbyt wielu. Pół stoczni chciało mieć władzę nad dyrektorem. Wybraliśmy kilkudziesięciu



chłopaków, którzy mieli pełnić rolę strażników na zmianę. Swoją rolę potraktowali bardzo poważnie. Gdy po dwóch dniach zapytałem szefa „straży”:

- Jak czują się „aresztanci”?
- Wczoraj byli aktywni, ale dzisiaj już są mniej ruchliwi, ponieważ nie jedzą od dwóch dni, to i sił im brakuje.
- Jak to „nie jedzą”? – zapytałem.
- Przecież pozwoliłeś im tylko na wyjście do toalety, o dostarczaniu jedzenia nic nie mówiłeś, więc jak nie było pozwolenia, to nie dostali.

Oczywiście natychmiast nakazałem dostarczyć im posiłek i pół stoczni poszło przyglądać się, jak smakuje władzy stoczniowa zupa.

Był już wieczór, gdy przyjechał do nas Bogdan Borusewicz. Od niego dowiedziałem się, co naprawdę stało się tego dnia w Stoczni Gdańskiej. To Wałęsa parł do porozumienia z dyrektorem. Nie było żadnego głosowania w Komitecie Strajkowym. Przystał na pierwszą propozycję dyrektora i brnął w to. Nie było sposobu, by go powstrzymać – opowiadał Bogdan. – Chciał być ważny, chciał być pierwszym, który podpisze porozumienie z dyrektorem. Gdyby nie postawa Ani Walentynowicz, Aliny Pieńkowskiej i Heni Krzywonos, to strajku w Stoczni Gdańskiej już by nie było. Udało się zatrzymać zaledwie kilkaset osób z prawie 15 tysięcy.

Wzburzony wysłuchałem tej relacji. Nie mogłem wprost uwierzyć, że to Wałęsa, a nie dyrektor wzywał ludzi do opuszczenia stoczni, zadowolając się obietnicą powrotu do pracy w niej. Dopiero gdy część załogi zdecydowała się kontynuować strajk, dołączył ostatni. W nocy mieli zebrać się w Stoczni Gdańskiej przedstawiciele 28 strajkujących zakładów, by powołać Międzyzakładowy Komitet Strajkowy. Przekazaliśmy naszą listę postulatów.

Oczywiście, byłem za, ale stoczni na noc nie zostawiłem. Obiecałem przyjechać rano.

W Stoczni Gdańskiej również planowana była na niedzielę msza św. Ksiądz Jankowski uzależniał to jednak od

uzyskania zezwolenia zarówno od władz diecezjalnych, jak i świeckich. Nasi emisariusze ponownie udali się do księdza Jastaka. Jego odpowiedź była krótka:

– Jeżeli zajdzie taka potrzeba, to sam pojedę do Stoczni Gdańskiej, nie pytając nikogo o zgodę, a do was przyślę innego księdza.

Doradził, aby jeszcze raz porozmawiać z księdzem w Gdańsku w nadziei, że takie przedstawienie sprawy pomoże ks. Jankowskiemu podjąć właściwą decyzję. Ksiądz Jankowski jednak odmawiał, czekając na zgodę władz politycznych. Dopiero rano sytuacja miała się wyjaśnić: ks. Jankowski uzyska zgodę od władz dzięki bezkompromisowej postawie ks. Jastaka i odprawi mszę w Stoczni Gdańskiej, ale będzie mówił o potrzebie pracy. Tak więc w sobotę, 16 sierpnia, był pierwszym duchownym, który w komunistycznej Polsce postanowił odprawić nabożeństwo dla strajkujących na terenie zakładu pracy.

Plac przy bramie powoli przeistaczał się. Powstał prowizoryczny ołtarz. Stolarze montowali prowizoryczne ławki. Sprawiało to wrażenie normalności dnia codziennego. I mnie to uspokajało. Sytuacja stabilizowała się korzystnie dla nas. Musiałem jeszcze dopilnować zabezpieczenia stoczni na noc.

Część ludzi już odpoczywała po ciężkim dniu. Radiowęzeł więc wyłączony, na szczęście również dla mnie. Gardło miałem zdarte, nie mogłem wydobyć z siebie głosu. Szefowa kuchni przygotowała mi już wcześniej jakąś ohydłą miksturę. Słodki syrop z cebuli. Wszyscy przekonywali mnie, że jeśli tego nie wypiję, to jutro nie wypowiem słowa. Wypiłem, z wielkim obrzydzeniem prawie litr. Do dziś czuję dreszcze, gdy sobie o tym wspomnę.

Czas szybko płynął. Późno po północy dokonaliśmy przeglądu zabezpieczenia stoczni. Warty strajkowe doskonalsze były od tych zawodowych. Wszystko funkcjonowało w najlepszym porządku. Zaczynały znikać wczorajsze prowizorki. Ludzie dla wypełnienia wolnego czasu podświadomie szykowali się do dłuższego strajku.

W drukarni poruszenie. Jedna z maszyn była już sprawna i trwało przygotowanie do druku pierwszych ulotek. W rozmowach nikt nie powracał do krytycznych chwil wczorajszego popołudnia. Dla tych ludzi najważniejsze są sprawne maszyny. Oni otarli się już o działalność opozycyjną i nie musiałem im niczego tłumaczyć. Znali wagę Wolnego Słowa i robili wszystko, by jak najszybciej wyszło ono na ulice miast.

Z Andrzejem Butkiewiczem zorganizowaliśmy krótką naradę w naszym prowizorycznym „centrum” – w budynku radiowęzła. Oprócz nas było kilku kolegów, dali się poznać jako godni zaufania orędownicy strajku. To taka namiastka komitetu strajkowego. Musiałem pojechać do Stoczni Gdańskiej, a tutaj wszystko musiało grać. Nikt nie wiedział, jaka jest sytuacja w mieście. Czy można bezpiecznie przejechać? To spory kawałek – 20 km. Zadzwoiłem do naszych przedstawicieli w Stoczni Gdańskiej. Nie mieli żadnych informacji o tym, by milicja podejmowała jakieś działania wobec strajkujących. Niemniej mój wyjazd postanowiliśmy zachować w tajemnicy. Wysłaliśmy samochód osobowy na



rekonesans. Miał sprawdzić, czy na ulicach miasta są patrole milicyjne i jak reagują. Okazało się, że panował względny spokój. Przydzieliliśmy zadania na najbliższe godziny. Przede wszystkim przygotowania do mszy. Plac, ołtarz, nagłośnienie przed stoczną dla ludzi z miasta. To tylko niektóre problemy do rozwiązania. Konieczna była wzmożona ochrona. Pogoda zapowiadała się piękna, więc na pewno przybędą prawie wszystkie rodziny stoczniovców z Gdyni i nie tylko.

## 17 sierpnia, niedziela

Do Gdańska pojechaliśmy dwoma samochodami. To tak dla bezpieczeństwa: pierwszy jedzie na przynętę dla ewentualnych kontroli milicyjnych. Ulice były puste, spotkaliśmy jakiś zagubiony radiowóz, ale kontroli nie było. Zacząłem nabierać przekonania, że wczoraj władze były pewne przerwania strajków po podpisaniu porozumienia przez Wałęsę i teraz czekają na rozwój wydarzeń i dyrektywy z Warszawy, bo bez nich nie potrafią podjąć decyzji. Dojechaliśmy bez niespodzianek.

W Stoczni Gdańskiej trwały przygotowania do mszy, ale to nie była ta sama stocznia z czwartku. Dziwnie pusto. Nieliczne grupki milczących ludzi w niczym nie przypominały tych niezłomnych, z pierwszego dnia strajku. Sala BHP prawie pusta. Przedstawiciele kilkunastu strajkujących zakładów drzemali w dziwnych pozach. Odnalezienie znajomych zajęło mi trochę czasu. Przywykłem już do pewnego porządku, jaki mimo wszystko panował w naszej stoczni. W końcu znalazłem ludzi z WZZ-ów. Alina z Anią podekscytowane relacjonowały mi wczorajsze wydarzenia. Andrzej Gwiazda opowiadał o kulisach tworzenia Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego i przedstawił mi w zarysie jego cele i zadania. Oczywiście, to tylko plany na przyszłość, bo widziałem wyraźnie, że wczorajszy błąd zasadniczo wpłynął na wszystkich. Wyczuwałem pewną ostrożność w formułowaniu strategii dalszego rozwoju strajku. Przeczytałem

deklarację utworzenia MKS-u i złożyłem podpis jako reprezentant Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni. Moje pytanie: jak to możliwe, że Wałęsa, który tak nieodpowiedzialnie postąpił wczoraj, nadal ma prowadzić strajk? – pozostawało bez odpowiedzi.

Na pierwszym posiedzeniu MKS-u niewiele było do ustalania: dążyć do rozszerzenia strajków na inne zakłady Trójmiasta, przyjmowanie ich do MKS-u, oczekiwanie na reakcję władz.

Stoczną Gdańską opuściłem w chwili, gdy rozpoczynała się msza. Przysłuchiwałem się chwilę słowom duchownego i coś mi nie pasowało. Oczekiwałem wsparcia strajkujących, a ten ksiądz mówi o potrzebie pracy. To jakieś nieporozumienie.

Na prośbę kolegów z MKS-u pojechałem na spotkanie do Portu Gdańskiego. Tutejszy Komitet Strajkowy z dużą rezerwą traktował MKS. Byli pełni obaw, czy aby w SG znowu nie stanie się coś nieprzewidzianego. Zapewniłem ich o stabilności i odpowiedzialności: już nie decyduje sam Wałęsa, lecz przedstawiciele wszystkich strajkujących zakładów. Ale zbyt dużego entuzjazmu nie widziałem. Musiałem wracać do Gdyni, żeby zdążyć na mszę w naszej stoczni.

Plac przed stoczną wypełniony był przybyłymi na mszę mieszkańcami Gdyni. Informacja do nich mogła dotrzeć jedynie tzw. pocztą pantoflową, a mimo to było kilka tysięcy osób. W stoczni wszystko gotowe. Wokół prowizorycznego ołtarza polowego zebrali się prawie wszyscy strajkujący. Błyszczały instrumenty stoczniowej orkiestry. Nastrój uroczysty, w milczeniu oczekiwaliśmy czegoś ważnego.

Z rozmieszczonych wokół licznych głośników popłynęły słowa kapłana:

*Pamiętajcie, w nadzwyczajnych okolicznościach, w których jesteście obecnie, kapłani mogą udzielić zgromadzonym tutaj stoczniovcóm ogólnego rozgrzeszenia win i grzechów, ale pamiętajcie o tym, kiedy wrócicie do swoich rodzin do swoich domów, postarajcie się przystąpić do spowiedzi świętej i te grzechy, za które dzisiaj Boga przepraszacie starajcie się*



Plac przed stoczną wypełniony był przybyłymi na mszę mieszkańcami Gdyni.

*na spowiedzi świętej wyznać. Po to udzielamy tego rozgrzeżenia, abyście w pełni mogli uczestniczyć w ofierze eucharystycznej mszy świętej, czego wyrazem zewnętrznym będzie komunia święta jako ludzi wierzących, jako praktykujących katolików, jako tych, którzy idą za Chrystusem całym swoim sercem i duszą. I dlatego teraz wspólnie odmówmy razem spowiedź powszechną. Spowiadam się Bogu Wszechmogącemu i wam, bracia i siostry, że bardzo zgrzeszyłem myślą, mową, uczynkiem i zaniedbaniem. Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina. Przeto błagam najświętszą Maryję zawsze dziewicę, wszystkich aniołów i świętych i was, bracia i siostry, o modlitwę za mnie do Pana Boga Naszego.*



Msza św. w komunistycznym zakładzie pracy

*Niech się zmiłuje nad wami Bóg Wszechmogący i odpuściwszy wam grzechy doprowadzi was do życia wiecznego. Bóg Ojciec miłosierdzia, który pojednał świat ze sobą przez śmierć i zmartwychwstanie swojego Syna zesłał Ducha Świętego na odpuszczenie grzechów, niech wam udzieli przebaczenia i pokoju przez posługę Kościoła. I ja odpuszczam wam grzechy w imię Ojca, Syna i Ducha Świętego. Męka Jezusa Chrystusa, Naszego Pana, wstawiennictwo Najświętszej Maryi Panny i Wszystkich Świętych, dobro, które spełnacie i cierpienie, które znosicie, niech będą zadośćuczynieniem za wasze grzechy. Niech wyjednają wam wzrost łaski i nagrodę życia wiecznego. Żyćcie w pokoju.*

Tłum zamarł w bezruchu. To publiczne, powszechne rozgrzeszenie nie było symbolem. Było znakiem tego, że tu i teraz uczestniczymy w wydarzeniu nadzwyczajnym.



A potem kapłan mówił:

*I dlatego dążenie do jedności, o której mówi Chrystus w Ewangelii Świętej dzisiaj, przed chwilą odczytanej, powinniśmy wszyscy głęboko ten problem przemyśleć i głęboko przed Bogiem przemodlić.*

*Ojczy, spraw, aby Ci, zgromadzeni tutaj, stanowili jedno – i stanowicie na pewno jedno jako Ci, którzy stanęli w obronie swoich słusznych praw i swoich słusznych obowiązków, które podejmują w imieniu Ojczyzny i swoich rodzin. Dążycie przecież do jednego: aby w Polsce, Ojczyźnie naszej biła ta jedność i by nikt na tę jedność nie podnosił nigdy ręki, by tej jedności nikt nie usiłował dzielić, by tej jedności w narodzie polskim nam nigdy nie zabrakło. I dlatego się dzisiaj gromadzimy, po to stoją dzisiaj wśród was kapłani, aby budzić sumienia i umysły nasze i mówić o tym, że w jedności jest siła, że w jedności znajduje się to wszystko, co przecież staje się pragnieniem waszych serc, waszych dusz i waszych umysłów. Waszych spracowanych stoczniowych rąk, które przecież tak często podnosiliście i podnosicie dla budowania lepszego jutra Ojczyzny, i jak ufamy, podnosić będziecie, jeżeli wasze słuszne żądania i pragnienia będą uszanowane. Jeżeli wasze prawo, o które się upominacie, będzie dostrzeżone i będzie uszanowane.*

Nikt dotąd nie mówił w Polsce tak otwarcie i tak dobitnie o prawach zwykłych ludzi. Wielu patrzyło gdzieś „w bezkresną przestrzeń”, by powstrzymać cisnące się do oczu łzy. To niesamowite widzieć, jaką moc mają słowa. Zwarta masa ludzi przeistaczała się w jeden zespolony organizm. Powstająca pod wpływem chwili wspólnota – to rodziła się solidarność.

W komunii św. uczestniczyli prawie wszyscy strajkujący i wielu zebranych przed stocznia. Tak głębokiego skupienia podczas nabożeństwa nie widuje się podczas niedzielnych mszy. Tu było coś niepowtarzalnego, a doniosłość tego wydarzenia dotrze do wielu po kilku godzinach, a nawet dniach.

Ksiądz prałat Hilary Jastak tak wspominał tamte dni: *Chcę podkreślić bardzo mocno, że inicjatywa odprawienia Mszy Św. na terenie zakładów wyszła od strajkujących i stam-*

*tdą przychodziły delegacje z prośbą o spełnienie tej ofiary. Reakcja władz wojewódzkich była negatywna, był to początek strajku i czynniki administracyjne działały po staremu. Między innymi były interwencje w kuriach biskupich, aby nabożeństw w zakładach nie odprawiać. Ja jednak zdecydowałem się pójść odprawić Mszę Świętą, może nie licząc się ze stanowiskiem władz, natomiast poszedłem, licząc się ze stanowiskiem i wolą strajkujących, którzy poprzez swoich delegatów mnie oto prosili. Takiej prośby nie można nie spełnić...*

*... Ogromny napływ bardzo wielu uczuć i jako człowieka, i jako kapłana. Wrażenie zrobiła sceneria tego nabożeństwa: prowizoryczny ołtarz – obok budynku zakładu i ludzie ubra-*



Komunia św. była wielkim przeżyciem



K. prałat Hilary Jastak, z lewej o. Edward Ryba

*ni nie na niedzielę, ale w ubraniach roboczych – wtedy czuje się, jak ważna była dla nich ta Ofiara Ołtarza. Na twarzach widać niepokój i zmęczenie, może smutek, ale przede wszystkim stanowczość. Odniosłem również wrażenie na początku nabożeństwa, że część obecnych ma w oczach pytanie: po co tutaj Msza Święta? (każdy ma przecież swoje poglądy i wolno tak pytać), ale jakaż radość po nabożeństwie, kiedy w miejscu tego pytania ich oczy mówiły: to było bardzo tutaj potrzebne.*

*Stoczniowcy i portowcy, wiedząc o „otwartej plebanii”, dostarczali nam wydawane przez Wolną Drukarnię Stoczni Gdynia różne biuletyny informacyjne w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy.*

*Dowody zaufania wykazane przez stoczniovców, portowców i innych ludzi pracy oraz parafian były dla mnie nagrodą za sprawowaną Ofiarę Mszy Św., której nigdy nie zapomnę tak jak nie zapomniałem Mszy Św. odprawionej pod Warszawą w okresie drugiej wojny światowej.*

*Historia ludzkości potwierdza przypadki, że po upadku i cierpieniach zaświeciło światło odrodzenia. Z pozycji kapłana oceniam, że ten ogromny wysiłek milionów ludzi w dramatycznie trudnej sytuacji i ich cierpienia muszą przynieść odmianę.*

Ojciec rektor Edward Ryba, który odprawiał w tamtych dniach msze w wielu zakładach, tak to wspominał: *Powiem jedno – to były trudne, kosztujące wiele nerwów i odpowiedzialne momenty, gdy głosiło się homilie do ludzi w kombinazonach roboczych. Wówczas nawet trudno było wcześniej przygotować homilię, bo o pewnych sytuacjach dowiadywaliśmy się na miejscu. Zmiana nastrojów była oczywiście bardzo wyczuwalna. Były dni nadziei i dni niepewności. Należy też dodać, że był to bardzo wielki wysiłek psychiczny strajkujących, jak i tych z drugiej strony bramy. Były momenty kryzysu, kiedy ta psychiczna wytrzymałość puszczała i wtedy sytuację ratowała właśnie Msza Święta. Bardzo wielu uczestników strajku to podkreśla. Najcięższy moment przeżyliśmy na początku pierwszego tygodnia strajku – wówczas ks. prałat Hilary Jastak udzielił rozgrzeszenia ogólnego, bez indywidualnych spowiedzi. Podkreślić jednak należy, że cały czas mówiono o zdecydowaniu i wytrwałości, o jednoznacznej postawie w upominaniu się o swoje prawa. Doczekaliśmy jednak momentu ulgi i radości.*

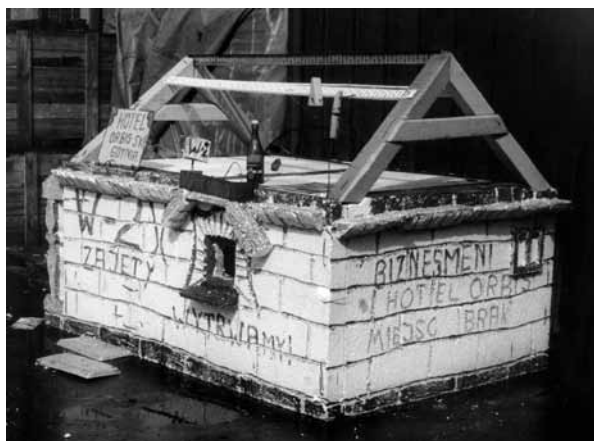
Podniosła atmosfera nabożeństwa nadała strajkowi uroczystą oprawę. Po tym nabożeństwie to już był inny strajk, to już byli inni ludzie. Na twarzach pojawiała się ulga i uśmiech. Pod bramę przybyły rodziny strajkujących, wszyscy pragnęli spotkać się z bliskimi. Musieliśmy to jakoś zorganizować. Kolejno więc, za pośrednictwem radiowęzła, wywoływani byli stoczniovcy, których rodziny zgłaszały się do straży strajkowej.

To było niesamowite. Wewnątrz stoczni, dobrowolnie zamknięci, strajkujący, a na zewnątrz odświętnie ubrani ich bliscy. Krótkie spotkania w tak nietypowych warunkach tworzyły coś niepowtarzalnego, coś, można przeżyć tylko raz.

Wszyscy pragnęli pomóc nam, pojawiła się ciepła odzież i paczki z żywnością. Troszkę psułem ten prawie piknikowy obraz, nakazując kontrolę przynoszonych do stoczni pakunków. Nasze stanowisko było oczywiste: w stoczni nie ma prawa znaleźć się alkohol. Nikt nie protestował.



Antyalkoholowa kontrola paczek



Domki w „dzielnicy willowej” budowano z fantazją.

Pogoda dopisywała i to pierwsze niedzielne popołudnie strajkowe minęło w pogodnym – jeśli przez wzgląd na sytuację tak można napisać – nastroju.

Ciągle gnębiło mnie kilka niedociągnięć organizacyjnych, jak np. brak komitetu strajkowego. Wszystkiego musiałem pilnować osobiście, a problemów przybywało. Jednak nie był to jeszcze czas na takie działania. Ludzie musieli najpierw złapać drugi oddech na nadchodzące dni. Nikt nie wiedział, ile ich jeszcze będzie. Nieśmiało powtarzana była anegdota, która szybko stała się mottem strajku:

– Do kiedy potrwa ten strajk? Do poniedziałku. Tylko jeszcze nie wiemy którego.

Tego dnia przybyli do nas Joanna i Andrzej Gwiazdowie. Do późnych godzin wieczornych wyjaśniali zebranym idee Wol-

nnych Związków Zawodowych. Pojawiły się dziesiątki pytań. Wszystko było takie nowe i interesujące.

Do kolejnej nocy trwały solidne przygotowania. Ludzie chcieli być jak najbliżej centrum wydarzeń, czyli placu przed bramą. Na wolnym miejscu za ołtarzem wyrosło swo-

iste osiedle, zwane dzielnicą willową. To młodzi stoczniowcy dali upust swojej fantazji. Postawili brezentowe namioty i inne prowizoryczne domki. Najciekawsze były te budowane ze styropianu, każdy wzorzyście dekorowany otrzymał własną nazwę. Gdy nocą wizytowałem całą stocznię, z dumą prezentowali mi swoje osiągnięcia.

Takie działania były bardzo potrzebne w tamtych dniach. Budowanie ołtarza, ławek na placu, budowanie domków czy pomoc w kuchni jednoczyły ludzi w działaniu dla wspólnoty i pozwalały zapomnieć o codziennym stresie, który był z nami do ostatniego dnia.

Mimo późnej pory plac tętnił życiem. Żądni informacji stoczniowcy wsłuchiwali się w, zakłócanie charakterystycznymi piskami i zgrzytami, audycje Radia Wolnej Europy, BBC i Głosu Ameryki. Operator radioodbiornika wprawnie zmieniał stacje. Wybierał te najmniej zakłócanie. Zebrani głośnym aplauzem przyjmowali informacje o strajkach, czyli o sobie. Ta jednostronna łączność ze światem była bardzo ważna. Dodawała otuchy i potwierdzała zainteresowanie naszą walką.

Nie mogłem pozwolić sobie na sen. To coś, o czym zapominałem w ostatnich dniach. Jak zwykle, w towarzystwie oddanych mi młodych chłopaków, dokonałem obchodu stoczni. Sprawdzaliśmy newralgiczne punkty strajku. Całą noc dochodziły do mnie przeróżne informacje. Straż strajkowa reagowała na wszystko. Ktoś próbował przedostać się przez płot i został złapany. Oczywiście, to ja musiałem podjąć decyzję, co z nim zrobić. Gdzieś na hali zbierała się podejrzana grupa. Do drugiej bramy już kolejny raz podejrzdział podejrzany samochód z wygaszonymi światłami. Nic nie uchodziło uwagi pilnujących. Wszystkie sygnały sprawdzałem. Nie chcieliśmy awantur czy prowokacji.

Gdy wszystko się uspokoiło, poszedłem do drukarni. Tu praca wrzała na pełnych obrotach. Pracowały dwie maszyny. Jedna drukowała wezwanie do strajku generalnego

## Mieszkańcy Trójmiasta !!!

W związku z masową dezinformacją przedkładamy wam informacje o aktualnej sytuacji strajkowej

### **strajki trwają !**

Aktualnie strajkuje ok.200 zakładów Trójmiasta, strajki są typu okupacyjnego. Został utworzony Międzyzakładowy Komitet Strajkowy z siedzibą w Gdańskiej Stoczni im. Lenina i on jest naszym jedynym przedstawicielem do rozmów z władzami.

Strajkowe Komitety Zakładowe utrzymują porządek w zakładach pracy.

Jest porządek, nie ma żadnych incydentów, możecie być spokojni o nas.

## **WYTRZYMAMY!!!**

**MIĘDZYZAKŁADOWY KOMITET  
STRAJKOWY**

Wolna drukarnia Stoczni GDYNIA  
18.08.80 r.

w Polsce. Druga – ulotki. Symbol strajku „WYTRZYMAMY” drukowany był każdego dnia, zmieniała się tylko liczba dołączających do MKS-u kolejnych zakładów. Nowo upieczeni zece-rzy przygotowali matrycę li-sty postulatów MKS-u. Nie było to proste zajęcie: tekst układa się z pojedynczych czcionek naturalnej wiel-kości druku w odbiciu lu-strzanym. Praca ta wymaga maksymalnej koncentracji. Przecież NASZE ulotki nie mogą zawierać błędów. To sprawa honoru drukarzy.



## 18 sierpnia, poniedziałek

Rano gotowe były dziesiątki tysięcy ulotek i... nowy problem. Kolportaż takiej ilości materiałów wymagał koordynacji działania wielu osób. Andrzej wziął to na siebie. Tymczasem zajęła się tym część obsługi drukarni. Wszyscy – nie na taką skalę oczywiście – mieli z tym do czynienia w przeszłości. Wczesnie rano wybraliśmy ekipę, której zadaniem było rozmieszczanie ulotek w pociągach dalekobieżnych, przygotowanych na bocznicę kolejowej. To najszybszy sposób dotarcia w głąb kraju. Były przecież wakacje i istniało duże prawdopodobieństwo, że większość turystów powracających z urlopów zawiezie je do swoich miejscowości.

Poniedziałek zacząłem od mocnej, a raczej bardzo mocnej, kawy. Miękki fotel był dla mnie niebezpieczny. Szczególnie rano odczuwałem brak snu. Ratowałem się spacerem na świeżym powietrzu. Układałem plany na nadchodzący dzień.

Zacząłem od sporu z MKS-em w Gdańsku. Koledzy nie wyrazili zgody na wypuszczenie apelu-wezwania do strajku generalnego. Decyzję o przygotowaniu takiego tekstu podjąłem sam jeszcze w sobotę wieczorem, gdy MKS nie istniał, a nasza sytuacja była bardzo trudna. Nie trafiły do mnie argumenty o możliwości wywołania niekontrolowanego rozwoju sytuacji, nad którą nie będziemy w stanie zapanować. Byłem przekonany, że apel ten może nam tylko pomóc. Jednak zgodziłem się na wspólne decydowanie o przyszłości strajku i z bólem serca

zaakceptowałem stanowisko MKS-u. Szkoda mi było tych z takim trudem wytworzonych ulotek. Ale trudno.

Od pierwszego dnia prowadziłem strajk bardzo apodyktycznie. Osobiście podejmowałem wszystkie istotne decyzje. Namiastki konsultacji to tylko pozory. W zasadzie realizowałem to, co postanowiłem, a reszta bezkrytycznie to akceptowała. Taki stan rzeczy wydawał mi się bardzo dobry na początek strajku, ponieważ w odczuciu strajkujących cała odpowiedzialność za zdecydowane i bezkompromisowe postępowanie spoczywała na mnie indywidualnie. To też podkreślał dyrektor w swoim wystąpieniu przed załogą. To była najzwyczajniejsza dyktatura. Ale przecież walczyliśmy o demokrację, więc musiało się to zmienić. Z każdym następnym dniem przybywało też obowiązków organizacyjnych. Mimo że ludzie przywykli do takiego stanu rzeczy, postanowiłem zmusić ich do demokratycznego wyboru swojego przedstawicielstwa – Komitetu Strajkowego.

Strajk w naszej stoczni to był permanentny wiec na placu przed bramą. To tu, z wózka-trybuny, ogłaszane były ważne informacje, tu podejmowano ważne decyzje. Po śniadaniu prawie wszyscy gromadzili się na tym placu w oczekiwaniu na dobre wiadomości.

Dzisiaj takie były. Od rana przybywały do nas delegacje zakładów dołączających do strajku. Załoga przyjmowała je owacjami. Wieści o nowych strajkach uskrzydlały. Ponadto chęć aktywnego uczestnictwa w strajku zgłosili przedstawiciele biura konstrukcyjnego i administracji naszej stoczni. Co prawda, byli z nami od początku, jednak ich rola sprowadzała się do biernego przyglądania się naszym poczynaniom.

Zarządziłem podział na grupy, wydziały. Na placu pojawiły się tablice z symbolami poszczególnych wydziałów: K-1, K-2, K-3... itd. W czwartym dniu strajku wszystko przebiegało sprawnie. Ludzie przywykli i stali się odważniejsi. Z własnej już inicjatywy doprowadzali na plac przeciwników strajku, którzy zadekowali się w zakamarkach stoczni. Kolejno byli prezentowani na wózku przed całą załogą. To tak, jakby musieli wejść



Na placu pojawiły się tablice z symbolami poszczególnych wydziałów.

na szafot. Publiczne potępienie ich postępowania było dla nich strasznym przeżyciem. Skuleni i wystraszeni nie potrafili nic powiedzieć. Choć zapewne nikt by ich nie słuchał, nawet gdyby mieli. Oddawali przepustki i wśród ogłuszającego gwizdu wyrzucani byli za bramę. A tam było jeszcze gorzej, bo rodziny i sympatycy strajkujących nie szczędzili im obelg.

Nad stoczną, na niskim pułapie znowu krążył śmigłowiec. Sypały się ulotki urzędowe. To władza przedstawiała własną wersję wydarzeń w Stoczni Gdańskiej w sobotę 16 sierpnia. Dla nas to już jednak było bez znaczenia. Po tym feralnym dniu pozostało tylko wspomnienie. Narastała

## Co się stało naprawdę w Stoczni Gdańskiej, w sobotę 16 sierpnia?

Każdy powinien wiedzieć, jaka jest prawda o wydarzeniach w Stoczni Gdańskiej, w sobotę 16 sierpnia.

Checemy tę prawdę krótko przedstawić.

W trzecim dniu strajku od 7-ej rano toczyły się rozmowy między komitetem strajkowym i delegatami wydziałów z jednej strony a dyrekcją — z drugiej.

Część załogi pozostawała przez cały czas na swoich wydziałach, a część załogi, od rana zgromadzona była przy bramie i tutaj słuchała przebiegu obrad.

Rozmowy były twarde i trudne. Jednakże obie strony dążyły do ich szybkiego zakończenia.

Punkt po punkcie dochodzono do pełnej zgody.

Trzeba powiedzieć, że część załogi zgromadzona przy bramie nie ułatwiała rozmów. Chwilami nawet je zakłócała.

W końcu jednak uzyskano porozumienie.

Członkowie komitetu strajkowego i delegaci wydziałów dostali pełne gwarancje bezpieczeństwa w związku ze swoją działalnością.

Przywrócono do pracy w stoczni te osoby, których powrotu pragnęli przedstawiciele robotników.

Zgodzono się w sprawie budowy pomnika ku pamięci osób, które

zginęły w grudniu 1970 roku.

Zgodzono się co do pracy związków zawodowych.

Również co do sposobu załatwiania innych postulatów.

I wreszcie przyszła chwila uzgodnienia trudnej sprawy podwyżek.

W głosowaniu członkowie komitetu strajkowego i delegaci wydziałów postanowili, że:

- jest zgoda we wszystkich punktach z dyrekcją
- liczne sprawy będą dalej rozpatrywane, ale już w warunkach normalnej pracy i dyskusji
- strajk uznano za zakończony
- załoga opuści Stocznnię do godziny 18-ej
- w poniedziałek od rana przystąpi do normalnej pracy.

Taki komunikat dokładnie o godzinie 14.17 ogłosił przewodniczący komitetu strajkowego.

chęć walki i pragnienie zwycięstwa. Ryk silników zagłuszały gwizdy strajkujących, a spadające ulotki lądowały w koszach.

Były też pozytywne akcenty. Zgłaszają się „spóźnialscy”. Każdy, kto dopiero w poniedziałek chciał dołączyć do strajku, musiał publicznie wyjaśnić przyczyny nieobecności. Zwolnienia lekarskie przyjmowane były z wyrozumiałością, pokrętne zaś wyjaśnienia kwitowane gromkim śmiechem. Wszyscy wiedzieli, że to wstyd wyzwolił ich od strachu. Jednak każdego musieli zaakceptować najpierw koleddy z wydziału i dopiero wtedy mógł dołączyć do wspólnoty strajkujących.

Późnym popołudniem udało nam się utworzyć Komitet Strajkowy. Każdy wydział miał

wybrać swojego przedstawiciela, a komitet musiał być zaakceptowany przez całą załogę. Lata bolszewizmu odzwyczyły ludzi od samodzielnego myślenia. Zawsze „ktoś” podejmował decyzje za nich, a wybory były zwyczajną farsą. Teraz musieli uczyć się nowych reguł życia bez podręczników. Trudna była ta pierwsza lekcja wymuszonej demokracji.

Pierwsza strona ulotki zrzucanej z helikoptera

Pierwsze zebranie Komitetu Strajkowego to prawie formalność. Strajkowaliśmy już cztery dni, więc wiedzieliśmy, co do nas należy. Nastąpiło jedynie formalne przydzielenie zadań tym, którzy i tak je wykonywali. Wszyscy byli zmęczeni, lecz nie był to czas na odpoczynek. Strajk dopiero się rozkręcał. Przybywały delegacje nowych gdyńskich zakładów. Szukały w nas oparcia, nie wszystkie miały zaufanie do Wałęsy po fatalnej decyzji o zakończeniu strajku w sobotę. Chcieli strajkować z nami, ale nie chcieli do MKS-u. Próbowałem im wyjaśnić, że to jedyna droga i tylko w jedności tkwi nasza siła. Jedni pojechali do Gdańska, inni trwali przy swoim. Taka ich wola, a ja nie byłem samobójcą, by odrzucać tak ważne dla nas poparcie. Więc ich przyjęliśmy.



Wybory Komitetu Strajkowego

Po całym prawie dniu „gardłowania” znów traciłem głos, ale byłem zadowolony. Już nie musiałem wszystkiego organizować sam. Koledzy z biura konstrukcyjnego poprosili mnie o rozmowę. Pierwszy raz byłem w budynku dyrekcji. Wszedłem do pokoju. Podsunęli mi wygodny fotel. Siadłem, poczułem zapach parzonej kawy, a przez duże biurowe okno – ciepło promieni zachodzącego słońca i... Obudziłem się po dwóch godzinach. Pokój był pusty, a wokół panowała kompletna cisza. Zaniepokojony zerwałem się na równe nogi i wtedy otworzyły się drzwi i weszli uśmiechnięci koledzy. Próbowałem przeproszać za nietakt: zasnąłem, zanim doszło do rozmowy.

– To był podstęp – odpowiedzieli. – Widzieliśmy, że nie śpisz od początku strajku, a teraz, gdy sytuacja jest już w miarę normalna, chcieliśmy, abyś trochę odpoczął.

Dopiero przypomniałem sobie, że do życia potrzebny jest sen, a ja piątą dobę byłem na nogach. Ogarnęło mnie potworne zmęczenie, jednak niepokój o przebieg strajku nie pozwalał na dalszy odpoczynek. Szybko powróciłem na plac, do zebranych tam ludzi. Ku mojemu miłemu zaskoczeniu wszystko działało już samoczynnie.

Właśnie rozpoczynała się msza, na której zgromadzili się prawie wszyscy strajkujący. Nabożeństwo pozwalało im zapomnieć na chwilę o trudach strajku, a potem wszyscy czuli się swobodniej. To być może dlatego wysłuchane po mszy przemówienie Gierka zostało skwitowane gwizdami i nie zrobiło na nikim wrażenia. Natychmiast po przemówieniu – zmiana audycji na Radio



O. Edward Ryba



Zaulek „dzielnicy willowej”

Wolna Europa, BBC i Głos Ameryki. Tych audycji wszyscy słuchają w wielkim skupieniu. To z nich słyszymy prawdę o naszych zmaganiach.

Komitet Strajkowy przydzielił zadania poszczególnym grupom i kontrolował sytuację w całej stoczni. Rozmawiałem z ludźmi. Uderza mnie dziwna, przyjazna atmosfera. Oswoili się ze strajkiem i traktują to jako coś naturalnego. Wieści z Gdańska były krzepiące. Do strajku dołączały kolejne zakłady. Drukarnia zmuszona była do ciągłej korekty symbolicznej ulotki „Wytrzymamy”: gdy kolejna partia schodziła z maszyny, dane były już nieaktualne.

Jak co dzień musiałem jednak sprawdzić wszystko osobiście. Dopiero późno w nocy uległem namowom kolegów i udałem się na spoczynek. Niepozbawiony wewnętrznego niepokoju, rozłożyłem śpiwór w gabinecie lekarskim stoczniowej przychodni. Podłoga była twarda, ale po czterech nieprzespanych nocach każde miejsce byłoby dla mnie wspinałym łóżem.

## 19 sierpnia, wtorek

Przebudzenie było dla mnie szokiem. Nie wiedziałem, gdzie jestem i w jakim celu. Dopiero widok z okna przypomniał mi wydarzenia ostatnich dni. Spałem trzy godziny, a jakby wieczność. Czy wszystko w porządku? Zaniepokojony zjawilem się na placu. Stocznia jeszcze spała, krzatali się tylko ci najaktywniejsi lub ci, którym niepokój nie pozwalał spać.

Kawa w siedzibie Komitetu Strajkowego i ustalanie planu na nadchodzący dzień. Jakże inaczej dla mnie zaczął się dzisiejszy poranek. Problemów, oczywiście, przybyło, ale organizację bytu strajkujących zdjął ze mnie komitet. Jakaż to ulga. Zaopatrzenie stołówek, oprócz stałego, finansowanego z funduszu socjalnego, zasilali okoliczni rolnicy i właściciele sklepów czy piekarni. Głód nam nie groził. Warty wokół stoczni zorganizowane były doskonale, a na placu powstały prowizoryczne ławki. Napawało mnie dumą, że wszyscy dbali o porządek. Stocznioowcy, nie przywykli do bezczynności, chętnie podejmowali się każdego zajęcia. Powiększało się więc osiedle domków styropianowych. Poprawiała się estetyka ołtarza. Codzienne msze wieczorne, odprawiane przez ojca E. Rybę z parafii portowej, były dla wszystkich bardzo ważne. To takie niepisane pozytywne podsumowanie kolejnego, szczęśliwie przebitego dnia. A do MKS-u dołączały kolejne zakłady pracy, już było ich grubo ponad setkę. To zawsze budująca wiadomość.

Do Komitetu Strajkowego zaczęły napływać prośby o kilkugodzinne zezwolenia na wyjście w celu odwiedzenia najbliższych. Natychmiast powołana została specjalna ko-



mórka, która miała się tym zająć. Ustaliliśmy tylko, że nie więcej niż ok. 600 osób może uzyskać przepustki w jednym dniu. Skrupulatnie była odnotowana godzina wyjścia i powrotu. Każdy musiał wrócić trzeźwy: kto naruszy ten regulamin, zostanie publicznie usunięty ze strajku. Reżim iście wojskowy, ale musieliśmy mieć kontrolę nad tym, co się dzieje z naszymi ludźmi, w razie nieszczęśliwego wypadku lub aresztowania.

Przed południem otrzymaliśmy informację o działaniach komisji rządowej pod przewodnictwem wicepremiera Pyki. Niestety, kilkanaście zakładów wyłamało się i podjęło rozmowy z tą komisją. Było to dla nas przykre i niebezpieczne. Co się stanie, jeśli pójdą za nimi inni? Pyka zaproponuje przede wszystkim podwyżki płac, a my walczymy o wolne związki zawodowe. Próbowałem dowiedzieć się czegoś konkretnego w MKS-ie, ale sami wiedzieli tyle co my. Postanowiłem z Butkiewiczem jeszcze raz napisać wezwanie do strajku powszechnego w całej Polsce. Tym razem napisaliśmy to jako Program Stoczni Gdynia.

Wydrukowanie nie stanowiło dla nas żadnego problemu. Po raz pierwszy mieliśmy do dyspozycji własną drukarnię. Szybko przystąpiliśmy do działania. Nie dbaliśmy o formę tekstu. Musieliśmy szybko z listą postulatów dotrzeć w wiele miejsc w całym kraju.

W pierwszej kolejności przedłożyłem tekst naszemu Komitetowi Strajkowemu. Po krótkiej dyskusji został zaaprobowany. Następnie przeczytałem go załozdze. Było jeszcze łatwiej. Więc drukujemy.



Przepustka członka Komitetu Strajkowego

Pozostały czas strajkowego dnia wypełniały nam liczne, acz wpisane już do programu strajkowego dnia, zajęcia. Został wydzielony plac przed bramą, na który mogli wychodzić wywołani stoczniowcy. Nierzadko były to spotkania wielopokoleniowe. Bywało, że przyszły wnuki, dzieci, żona i teściowa. Dla wielu takie spotkania zdarzały się tylko w najważniejsze święta.

Wieczorem zaskoczyła nas informacja, jakoby kilkanaście zakładów podpisało porozumienie z komisją Pyki. Z MKS-u otrzymałem informację, że to kłamstwo i trwają rozmowy z komitetami strajkowymi. Takie prowokacje mogą się powtarzać, ale jeśli nas poprze pół Polski, to rząd musi się ugiąć. Na moje polecenie Maciej Butkiewicz przygotował grupę wypadową kolporterów. Około trzydziestu miało wyruszyć przed świtem z pierwszą partią materiału w Polskę. Pociągi dalekobieżne wyjeżdżają już w nocy, więc wszyscy musieli być gotowi. Osobiście nadzorowałem wszystkie przygotowania. Pieniądze na bilety wyłożył Komitet Strajkowy.

## STRAJKOWY BIULETYN INFORMACYJNY

### OSWIADCZENIE MIĘDZYZAKŁADOWEGO KOMITETU STRAJKOWEGO

W Środę dnia 18 sierpnia 1980 r. MKS dołączyło się ponad 120 nowych zakładów i przedsiębiorstw. Obecnie MKS reprezentuje 240 zakładów i liczbą tą wciąż wzrasta. Zasięg działania MKS wyszedł już poza teren trójmiejski obejmując również zakłady Przemysłu Gdańskiego, Strogardu Gdańskiego, Elbląga i Tczewa. We wszystkich prawie zakładach trwa strajk okupacyjny. Wyjątek stanowią te przedsiębiorstwa, których funkcjonowanie jest społecznie niezbędne. W szczególności MKS zabezpiecza pracę Służby Zdrowia, Wodociągów, Gazowni oraz przedsiębiorstw wytwarzających żywność. Należy dążyć do powiadzenia, że jest to pierwszy autentyczny i wolny przedmiotowo-sterem przez pracowników w naszym kraju. Należy do nas wielką odpowiedzialność wobec całego społeczeństwa. Należy głównym celem jest utworzenie Wolnych Związków Zawodowych niezależnych od PZPR i pracodawców, bowiem tylko wówczas prawa i interesy pracowników mogą być skutecznie broniące. Dopóki nie będziemy mieli Wolnych Związków Zawodowych jedyną metodą obrony naszych interesów pozostanie strajk, a jest to najbardziej kosztowna społecznie metoda partraktacji. Tylko Wolne Związki Zawodowe potrafią zapewnić niezależne funkcjonowanie gospodarki narodowej i jednocześnie realizację postulatów pracowniczych.

Pierwszym krokiem na drodze do powstania Wolnych Związków Zawodowych jest oficjalne uznanie przez władze centralne Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego poprzez przybycie władz do Stoczni Gdańskiej i podjęcie z nim partraktacji.

Komitety strajkowe wchodzące w skład MKS są gotowe do podjęcia partraktacji z Dyrekcjami Zakładów lub Zjednoczeń w sprawach poprawy warunków pracy i podwyżki wynagrodzeń. Podkreślamy jednak, że wynik tych partraktacji nie ma wpływu na decyzje o zakończeniu strajku. Decyzja taka może być podjęta jedynie przez MKS po przeprowadzeniu rozmów z władzami centralnymi. W rozmowach tych musi MKS uzyskać gwarancje, które na trwałe chroniliby zdobycze strajkowe.

Oczekujemy więc przyjazdu władz centralnych. Każdy dzień zwłoki będzie dowodem, że władze nie chcą przyznać prawa do autentycznego przedstawicielstwa ludziom pracy w Polsce.

W imieniu reprezentowanych załóg oświadczamy, że pragniemy jak najszybciej podjąć pracę, ale jako pełnoprawni obywatele będący rzeczywistymi współgospodarzami zakładów pracy. Każdy dzień zwłoki to miliardy strata dla naszej gospodarki ogarniętej kryzysem z winy kierownictwa. Walczymy o słuszną sprawę i zwyciężymy, z każdym dniem jest nas coraz więcej, a jedynie od władz zależy wielkość społecznych kosztów zwłoki.

Apelujemy jeszcze raz o rozważę i odpowiedzialność.

Międzyzakładowy Komitet Strajkowy z siedzibą w Stoczni Gdańskiej

Gdańsk, dn. 19 sierpnia 1980 r.

Wolna Drukarnia Stoczni Gdynia

Było już późno, gdy przybiegał stoczniowiec z informacją, jakoby ktoś płynął do nas od strony Stoczni Marynarki Wojennej. Zlustrowałem kanał przez lornetkę z dachu drukarni. Naprawdę coś tam było. Kazałem wystać holownik. Po powrocie holownika – niespodzianka: to kilku przeciwników strajku, przerażonych publicznym pęgierzem na wózku, który im groził w przypadku odnalezienia przez ekipę specjalną. Zmontowali prowizoryczną tratwę i postanowili wydostać się ze stoczni, przepływając kanał. Resztę nocy spędzili zamknięci pod kontrolą.

## MIESZKAŃCY TRÓJMIASTA!

Od czwartku, a więc już niemal od tygodnia, w Gdańsku, Gdyni i Sopocie przeżywamy dramatyczne dni pełne napięcia i niepokoju. Przerwały pracę załogi wielu zakładów przemysłowych ważnych nie tylko dla prawidłowego funkcjonowania całej gospodarki, ale także tych najistotniejszych dla życia miasta. Skutki tego odczuwamy wszyscy coraz dotkliwiej, a jeśli w najbliższym czasie nie zapanują rozważa i rozsądek – dokuczliwość wytworzonej sytuacji stanie się nie do zniesienia.

Niezależnie od trwających w wielu zakładach dyskusji, niezależnie od zgłaszania i stopniowego realizowania postulatów pracowniczych, MUSI przecież żyć miasto aby mogli żyć jego mieszkańcy. Także nasze dzieci, nasi najbliżsi, chorzy w szpitalach. Do tego niezbędne jest normalne funkcjonowanie tych służb komunalnych, tych gałęzi produkcji i transportu, które mają bezpośredni wpływ na pojawianie się w sklepach i na naszych stołach chleba i mleka, podstawowych artykułów spożywczych, przedmiotów niezbędnych nam na co dzień. Jeśli doprowadzimy do sytuacji krańcowej, wszystko to może stać się pod znakiem zapytania i mimo największych czynionych obecnie wysiłków, miasta nie będą w stanie zabezpieczyć swym mieszkańcom nawet minimum tego co do codziennej egzystencji jest potrzebne. Nie ocknijmy się za późno, nie dopuśćmy aby nasze dzieci prosiły nas o chleb i szklankę mleka, a nad chorymi zawisła groźba braku szybkiej, skutecznej pomocy. Zrozumienie tych prostych przecież prawd to także wyraz dojrzałości obywatelskiej, którą w dramatycznych chwilach MUSIMY wykazać we własnym, najbardziej osobistym interesie.

W obecnej sytuacji dalsze przedłużanie i pogłębianie stanu napięcia może przynieść nieobliczalne i długotrwałe szkody społeczne. Uniknięcie ich zależy od Was. Przywróćmy naszym miastom atmosferę stabilności i spokoju o dzień jutrzejszy, atmosferę życia.

Prezydent miasta Gdańska — JERZY MLYNARCZYK

Prezydent miasta Gdyni — JAN KRZECZKOWSKI

Prezydent miasta Sopotu — LECH ŚWIĄTKOWSKI

Gdańsk — Gdynia — Sopot, 19 sierpnia 1980 roku

Ulotka władz wojewódzkich

## 20 sierpnia, środa

Dzień zaczęliśmy wcześniej. Sam nie spałem dzisiejszej nocy. Systematycznie, gdy tylko z drukarni wychodziła nowa partia materiału, wysyłałem kolejnych kurierów. Ich zadaniem było dotarcie do wyznaczonego miasta, rozrzucenie ulotek w najbardziej zaludnionym punkcie i oczywiście powrót.

Następna ekipa obsługiwała pociągi dalekobieżne, stojące jeszcze na bocznicach, ale już przygotowane do wyjazdu. Młodzi chłopcy dyskretnie wchodziłi do pustych jeszcze wagonów i rozkładali na siedzeniach nasze materiały. Po wjeździe pociągu na dworzec zaskoczeni podróżni mieli ciekawą lekturę na czas podróży.

Zebrani na placu stoczniowcy już wiedzieli o nocnej próbie przeprawy przez kanał. Była to jedna z nielicznych atrakcji strajkowych, bo coraz mniej było takich, których za publiczną aprobatą wyrzucaliśmy ze strajku. Raczej przyjmowaliśmy „spóźnialskich” po zwolnieniach lekarskich i urlopowach. Tych jednak panów czekało sporo przykrości: wielu stoczniowców, ironizując, zwracało się do nich o wystawienie kart pływackich lub patentów żeglarskich. Nękanie było nawet po zakończeniu strajku, aż do chwili, gdy zrezygnowali z pracy w stoczni.

Dopilnowałem, by ten publiczny proces odbył się spokojnie, i wyjechałem do Gdańska na zebranie Prezydium MKS-u. Pojechaliliśmy dwoma samochodami. Pierwszy był załadowany bibułą.



Siedziba gdańskiego MKS-u

W Gdańsku spotkała mnie reprimenda za samowolne wydanie apelu wzywającego do strajku, bez uzgodnienia z Międzyzakładowym Komitetem Strajkowym. Przyjąłem to obojętnie. Byłem przekonany, że tego strajku nie wygramy bez poparcia całego kraju, więc ignorowałem uwagi, uznając je za niestosowne. Po prostu byłem pewien, nikt tak naprawdę nie wiedział, co nam jeszcze w tych dniach może pomóc, a co nie. Sytuacja, jaką tu zastałem, nie wyglądała zachęcająco. Odniosłem wrażenie, jakby w ogóle nie było stoczniowców. Tak niedawno tutaj pracowałem i doskonale pamiętam, jakie tu były tłumy ludzi. A teraz główny trzon strajkujących

to delegaci z innych zakładów. Prezydium było jakby senne. Kryzys, związany z wyłamaniem się kilku zakładów na rozmowy z Pyką, pozbawił wszystkich entuzjazmu. Najbardziej widoczne były kobiety. Alinka Pieńkowska, Ania Walenty-nowicz i Henia Krzywonos, która rządziła miastem, bo miała pod kontrolą dystrybucję paliwa. Wałęsa coś nieskładnie tłumaczył, że zbyt dużo jest tu opozycjonistów. Sam widziałem, że zbyt mało tu stoczniowców, lecz o to Wałęsa mógł mieć tylko pretensje do siebie. To on skończył strajk w sobotę i on nakazywał strajkującym opuszczenie stoczni.

Radiowęzeł pod kontrolą dyrektora. Drukarnia stoczniowa nie działała, bo dyrektor odmówił wydania kluczy. Komitet Strajkowy grał dżentelmenów, zamiast robić rewolucję. Drugim zastępcą Wałęsy był Bogdan Lis (członek PZPR). Nie miałem zaufania do komuchów i nie przekonywały mnie żadne ich racje. Może to moja niechęć do tej stoczni za tę feralną sobotę, a może już przywykłem do reżimu strajkowego w „Komunie” i wszędzie chciałem widzieć tak sprawną organizację strajku.

Na szczęście Bogdan Borusewicz i Andrzej Gwiazda mieli wszystko pod kontrolą. Dowiedziałem się od nich, że misja Pyki nie powiodła się i zakłady te wracają do MKS-u. Strajkował cały Szczecin. To jest coś! Jednak nie odpowiadała mi tutejsza atmosfera. Nie miała nic wspólnego z naszym strajkiem w Gdyni. Szybko więc ustaliłem, co i jak, i wróciłem do Gdyni. Tu czułem się znacznie lepiej.

Po powrocie dowiedziałem się o nowej inicjatywie strajkujących. Postanowili utworzyć własną pocztę. To wspaniałe! Jeśli ten strajk wystarczająco długo potrwa, utworzymy własne struktury administracyjne. I po co nam wówczas czerwoni? Mieliśmy już własny zarząd, administrację, zaopatrzenie, ewidencję osobową, media (drukarnia i radiowęzeł), zaopatrzenie i służby porządkowe. Wszystkim tym kierowali ludzie, którym te zadania powierzono po raz pierwszy w życiu. Wywiązywali się doskonale.

W drukarni niewesołe miny. Andrzej poinformował mnie o aresztowaniu jego brata – Maćka Butkiewicza, Pio-

tra Szczudłowskiego, Andrzeja Słonimskiego i A. Madejskiego. Pojechali do Gdańska rozrzucać ulotki. Robili to z rozmachem. Po prostu jeździli samochodem głównymi ulicami i wyrzucali pióropusze ulotek. Imponująco to wyglądało, ale drukarnia straciła czterech ludzi i samochód. Do Stoczni Gdańskiej musieliśmy wysłać następną partię wydruków, a nasza stocznia została zablokowana przez milicję. Paweł Mikłasz przyjechał z Warszawy i twierdził, że nie da się przejechać bez kontroli, a znał się na tym. Postanowiliśmy, że zaczekamy do zmierzchu i, pod pozorem zawału, wezwiemy karetkę pogotowia. Milicji było już więcej. Na dachu biurowca zainstalowaliśmy punkt obserwacyjny, który śledził ich ruchy wokół stoczni, a przygotowane materiały dyskretnie przenieśliśmy do stoczniowej przychodni i czekaliśmy.

Było już ciemno, gdy karetka pogotowia na sygnale wjechała na teren stoczni. Głośno poinformowałem zebranych o nagłym zasłabnięciu kogoś i potrzebie przewiezienia go do szpitala. Ludzie uwierzyli, może i milicja da się nabrać.

Gdynia, dnia 20.08.1980r

STROKOWY BIULETYN INFORMACYJNYPROGRAM

Stocznia im. Komuny Paryskiej w Gdyni

1. Zwracamy się do załóg wszystkich zakładów pracy w Polsce o poparcie tego programu przez podjęcie powszechnego strajku.
2. Żądamy zorganizowania zebrań we wszystkich zakładach i wyłonienia delegatów /1 osoba na 2000 tys. zatrudnionych w zakładzie/ - mniejsze zakłady wysuną wspólnych delegatów.
3. Żądamy przeprowadzenia przez tych delegatów jawnych /przez TV/ negocjacji z rządem w celu uzyskania:
  - dodatku drożyznianego dla wszystkich ludzi pracy w Polsce - wraz z zapewnieniem, że ze wzrostem kosztów utrzymania o taki sam procent wzrosta zarobki
  - natychmiastowego wstrzymania eksportu mięsa z Polski
  - zapewnienie sprawiedliwego rozdziału mięsa przez wprowadzenie systemu kartkowego oraz zniesienie specjalnych przydziałów dla milicji i wojska
  - zorganizowanie wyboru do związków zawodowych w terminie do 25.08.br. Nie ma prawa być w tych wyborach żadnych kandydatów z prezydium tylko z sali. Termin wyborów ma być publicznie ujawniany przez TV.
  - odblokowania łączności telefonicznej i dróg.

Do czasu przyjęcia tego programu przez rząd zakłady nie powinny podjąć pracy.

Zwracamy się z apelem aby służby publiczne pracowały nadal - aby nie utrudniać sytuacji ludzi pracy.

Dotyczy to służby zdrowia, wodociągów, gasu, elektryczności, LOP, PKP - tylko czynne linie dalekobieżne, poczty i telefony, niezbędne zaopatrzenie w art. podstawowe.

Powinni natychmiast strajkować pracownicy transportu miejskiego oraz kolei miejskiej.

KOMITET STRAJKOWY

Stocznia Komuny Paryskiej w Gdyni

Wolna Drukarnia Stoczni Gdynia

Przygotowany dzień wcześniej Program Stoczni im. Komuny Paryskiej

Ekipa pogotowia była wtajemniczona, więc wszystko szło sprawnie. Gdy otrzymaliśmy sygnał o kontroli wjeżdżającego samochodu, wypuściliśmy karetkę. Zaskoczeni milicjanci porzucili dokumenty kontrolowanego i wskoczyli do radiowozów. Blisko 40 minut ścigali tę karetkę, wzywając posiłki. Gdy przejeżdżała przez bramę Stoczni Gdańskiej, było ich już kilkanaście.

A u nas robiło się coraz ciasniej. Pod stoczną podjeżdżały kolejne radiowozy. Ekipa na dachu dostrzegła także wozy opancerzone. Na szczęście było już późno i większość ludzi spała. Jednak coś się szykowało – tylko co? Zwiększyliśmy obsadę ochrony drukarni. Obsadziliśmy systemy alarmowe, zgromadziłem najaktywniejszych.

– Powoli podjeżdżały wozy bojowe – poinformowano mnie z dachu. Poleciałem włączyć całe oświetlenie na terenie stoczni i uruchomić agregaty prądotwórcze. W stoczni rozbłysły potężne jupitery i zrobiło się jasno jak w dzień. Milicja znieruchomiała. Trwało tak może pół godziny i zaczęła się cofać. Ktoś tam zapewne uznał, że nie powiodło się zaskoczenie.



## Czwartek, 21 sierpnia

Lecące z nieba ulotki wyjaśniły mi zdarzenia poprzedniej nocy. Nie udało się inaczej, to chcą rozmawiać. Zastanawialiśmy się, dlaczego Gdynia? Jedyne rewolucyjny strajk!? Bo mówimy o niepodległości? Drukarnia – to było to. Wolne słowo. Nikt nie miał możliwości przekazywania informacji, aż tu nagle mieliśmy ją my, rewolucjoniści. Aż do tamtej chwili nie było takiej opcji, by na masową skalę mówić otwarcie o prawach obywatelskich. A tutaj pojawiły się „groźniejsze” hasła i ludzie nieśmiało przypominali sobie o wolności i niepodległości. To była GDYNIA. Polska Gdynia. Gdy na moje polecenie zajęliśmy drukarnię, wiedzieliśmy, jaką władzę mamy w rękach.

Dzień przebiegał jak każdy kolejny, strajkowy dzień. Trwały jeszcze spotkania przedstawicieli niektórych zakładów z komisją Pyki – tak informowała reżimowa prasa. My robiliśmy wszystko, aby te mniejsze i słabsze zakłady pracy skupić wokół naszej stoczni. Do mających wątpliwości wysyłailiśmy naszych przedstawicieli, by dodali im otuchy, ale to nie wystarczało. Podstawowym problemem tych małych zakładów były kłopoty aprowizacyjne. Nie mieli własnych stołówek i dostaw żywności. Utrzymywali się często z zasobów własnych rodzin, a te też miały kłopoty. Na rynku panował niedobór artykułów. Wszystko podporządkowane było strajkowi. Wystąpiłem więc przed załogą i zaproponowałem, by wspomóc te zakłady. Propozycja przyjęta została aplauzem.



Wizyta władz rządowych i partyjnych. Po lewej siedzą: Andrzej Kołodziej, Zbigniew Mrozowski, Zdzisław Ślesarow, Piotr Mikołajczyk, Tadeusz Dławiński, Władysław Pawelec, Henryk Woźniak; po prawej: Tadeusz Skowron, Willi Fandrej, Kazimierz Litzbarski, Tadeusz Fiszbach, Zbigniew Maciejewski, Bogdan Bagiński.

Przecież my mieliśmy wszystkiego pod dostatkiem, a nawet w nadmiarze. I tak w tych trudnych warunkach rodziła się solidarność, ta zwykła, międzyludzka – może ważniejsza od tej politycznej. Nie było gotowych recept, jak w takich sytuacjach postępować. Jednak najprostszym odruchem serdeczności i wsparcia był największym darem. Od tego momentu żaden zakład, który zwrócił się do nas, nie pozostał bez naszej konkretnej pomocy. Dowodem tego były liczne podziękowania dla Komitetu Strajkowego i załogi, wygłaszane do końca strajku z wózka, przed całym audytorium.

Nagle skandal. Lokalna popołudniówka „Wieczór Wybrzeża” opublikowała kłamliwy tekst o sytuacji w naszej stoczni: podobno część załogi wyłamała bramę, chcąc opuścić zakład, dokonujemy kradzieży żywności w mieście, a załoga trzymana w stoczni jest siłą. Były to oczywiście kłamstwa, a ich efekt – przeciwny do zamierzonego. Nastąpiła bowiem bezprzykładna konsolidacja załogi. Wszyscy poczuli się dotknięci do żywego. Jak to! – te bzdury przecież o NICH. Wykorzystałem to natychmiast i pod pręgierzem stanęła pozostająca jeszcze część kierownictwa stoczni. Co prawda, nie mieli oni u nas pełnej swobody – tak jak w Gdańsku – ale gdy nadarzyła się sposobność, postanawiam ich usunąć. Nikt nie potrafił powiedzieć, co przyniosą kolejne dni strajku. Nie pomagały błagalne prośby dyrektora. Załoga, nie bez mojego udziału, pozostała nieugięta. Znakomita większość tych, którzy jeszcze się uchowali, zmuszona została opuścić stocznię. I tak Komitet Strajkowy stał się faktycznym zarządcą przedsiębiorstwa.

Po ukazaniu się tej skandalicznej informacji postanowiliśmy wspólnie z Komitetem Strajkowym uchylić nieco bramę i wpuściliśmy delegację władz wojewódzkich, by naocznie przekonały się, jak naprawdę wygląda sytuacja w naszej stoczni. Zastrześliśmy przed ich wizytą, że nie może być mowy o jakichkolwiek rozmowach, bo na to jest miejsce w Międzyzakładowym Komitecie Strajkowym. Wraz z delegacją władz przybyła ekipa dziennikarzy

## Mieszkańcy Trójmiasta !!!

W związku z masową dezinformacją przedkładamy wam informacje o aktualnej sytuacji strajkowej

**strajki trwają !**

Aktualnie strajkuje ok. 320 zakładów Trójmiasta, strajki są typu okupacyjnego. Został utworzony Międzyzakładowy Komitet Strajkowy z siedzibą w Gdańskiej Stoczni im. Lenina i on jest naszym jedynym przedstawicielem do rozmów z władzami.

Strajkowe Komitety Zakładowe utrzymują porządek w zakładach pracy.

Jest porządek, nie ma żadnych incydentów, możecie być spokojni o nas.

## WYTRZYMAMY !!!

**MIĘDYZAKŁADOWY KOMITET  
STRAJKOWY**

Wolna druś strnia Stoczni GDTNIA  
21.08.80 r.

Kolejna ulotka „Wytrzymamy”



Rodzinne spotkania przy bramie...

tygodnika „Czas”, dzięki której mamy pamiątki tamtych czasów, bo dziennikarze, w przeciwieństwie do władz, zachowali się w porządku. Przedstawiciele władz przyjęliśmy jak gości, za co oni odpłacili nam oszustwem, wydając następnego dnia ulotkę, w której podano fałszywą informację, jakoby Stocznia Gdynia przedłożyła własne postulaty komisji rządowej. Nie było w tym cienia prawdy, zamysł był prosty – wprowadzić zamęt wśród strajkujących. Intryga się nie powiodła i dziś pozostała tylko fotografia utrwalająca tamten fakt.

Wieczorem dowiedzieliśmy się, że do MKS-u powrócili przedstawiciele zakładów pertraktujących z komisją Pyki, a wśród nich Stoczni Remontowej i Północnej w Gdańsku.

Tym samym skończyła się niechlubna era komisji wicepremiera na Wybrzeżu Gdańskim. Następnego dnia rozpoczęła działalność komisja pod przewodnictwem wicepremiera Jagielskiego. Kończyła się też moja bieżąca działalność w naszej stoczni. Codzienne wielogodzinne obrady prezydium MKS-u w Gdańsku, a także rozmowy z komisją rządową, pozwalały mi jedynie na ograniczony kontakt z załogą.

Codziennie późnym wieczorem przyjeżdżałem do Gdyni i z radością odkrywałem, że ludzie czekali, abym z obrad w Gdańsku zdał relację osobiście. Nie wystarczała im bezpośrednia transmisja – musiała to być moja osobista relacja. Ja również odczuwałem potrzebę takiego bezpośredniego kontaktu z „własną załogą”. Było to dla mnie namacalne poczucie jedności i ładowało moje biologiczne akumulatory.



... i przez płot

## STRAJKOWY BIULETYN INFORMACYJNY ŻĄDANIA STRAJKUJĄCYCH ZAŁÓG

zakładów pracy i przedsiębiorstw reprezentowanych przez  
Międzyzakładowy Komitet Strajkowy

Międzyzakładowy Komitet Strajkowy reprezentuje również załogi zakładów pracy i instytucji, których funkcjonowanie jest niezbędne społecznie. Komitet ów ma na celu doprowadzić do rozmów, które spełnią oczekiwania strajkujących załóg.

Jednym z pierwszych warunków rozpoczęcia rozmów jest odblokowanie wszystkich telefonów.

Żądania strajkujących załóg reprezentowanych przez Międzyzakładowy Komitet Strajkowy są następujące:

1. Akceptacja niezależnych od partii i pracodawców wolnych związków zawodowych, wynikająca z ratyfikowanej przez PRL Konwencji nr 87 Międzynarodowej Organizacji Pracy dotyczącej wolności związkowych.
2. Zagwarantowanie prawa do strajku oraz bezpieczeństwa strajkującym i osobom wspomagającym.
3. Przestrzegać zagwarantowaną w Konstytucji PRL wolność słowa, druku i publikacji, a tym samym nie represjonować niezależnych wydawnictw oraz udostępnić środki masowego przekazu dla przedstawicieli wszystkich wyznań.
4. a) Przywrócić do poprzednich praw:
  - ludzi zwolnionych z pracy po strajkach w 1970 i 1976 r.
  - studentów wydalonych z uczelni za przekonania.b) Uwolnić wszystkich więźniów politycznych ( w tym Edmunda Zadrożyńskiego, Jana Kozłowskiego i Marka Kozłowskiego ).
- c) Znieść represje za przekonania.
5. Podać w środkach masowego przekazu informację o utworzeniu się Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego oraz opublikować jego żądania.
6. Podjąć realne działania mające na celu wyprowadzenie kraju z sytuacji kryzysowej poprzez:
  - a) podawanie do publicznej wiadomości pełnej informacji o sytuacji społeczno-gospodarczej
  - b) umożliwienie wszystkim środowiskom i warstwom społecznym uczestniczenia w dyskusji nad programem reform.
7. Wypłacić wszystkim pracownikom biorącym udział w strajku wynagrodzenie za okres strajku jak za urlop wypoczynkowy z funduszu CRZZ.
8. Podnieść wynagrodzenie zasadnicze każdego pracownika o 2000 zł na miesiąc jako rekompensatę dotychczasowego wzrostu cen.
9. Zagwarantować automatyczny wzrost płac równoległe do wzrostu cen i spadku wartości pieniądza.
10. Realizować pełne zaopatrzenie rynku wewnętrznego w artykuły żywnościowe a eksportować tylko i wyłącznie nadwyżki.
11. Znieść ceny komercyjne oraz sprzedaż za dewizy w tzw. eksporcie wewnętrznym.
12. Wprowadzić zasady doboru kadry kierowniczej na zasadach kwalifikacji a nie przynależności partyjnej oraz znieść przywileje MO, SB i aparatu partyjnego poprzez:
  - równanie zasilków rodzinnych
  - zlikwidowanie specjalnych sprzedaży, itp.
13. Wprowadzić na mięso i przetwory kartki - bony żywnościowe ( do czasu opanowania sytuacji na rynku ).
14. Obniżyć wiek emerytalny dla kobiet do 50 lat a dla mężczyzn do lat 55 lub przepracowanie w PRL 30 lat dla kobiet i 35 lat dla mężczyzn bez względu na wiek.
15. Zrównać renty i emerytury starego portfela do poziomu aktualnie wypłacanych.
16. Poprawić warunki pracy Służby Zdrowia, co zapewni pełną opiekę medyczną osobom pracującym.
17. Zapewnić odpowiednią ilość miejsc w żłobkach i przedszkolach dla dzieci kobiet pracujących.
18. Wprowadzić urlop macierzyński płatny przez okres trzech lat na wychowanie dziecka.
19. Skrócić czas oczekiwania na mieszkanie.
20. Podnieść diety z 40 zł do 100 zł i dodatek za rozłąkę.
21. Wprowadzić wszystkie soboty wolne od pracy. Pracownikom w ruchu ciągłym i systemie 4-brygadowym brak wolnych sobót zrekompensować zwiększonym wymiarem urlopu wypoczynkowego lub innymi płatnymi dniami wolnymi od pracy.

## W prezydium Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego

W Stoczni Gdańskiej nie czułem się tak dobrze, jak w Gdyni, mimo że nie był to dla mnie obcy teren. Pracowałem tu dwa i pół roku i znałem wielu stoczniowców. I nie wiem, czy to za zakończenie strajku 16 sierpnia, czy odmienność strajku sprawiała, że czułem się tu dziwnie obco. Nie rozumiałem postawy Komitetu Strajkowego, który podporządkowany był dyrektorowi. Po kilku rozmowach ze znajomymi ze zdziwieniem odkryłem, że o włączeniu radiowęzła decyduje dyrektor.

- Drukarnię mamy taką jak wy - z dumą opowiadał mi Zbyszek Lis z Komitetu Strajkowego - ale dyrektor nam jeszcze nie dał kluczy.

Zaskoczony byłem takim dziwnym współdziałaniem strajkujących z dyrektorem. No cóż, to nie mój teren.

Gdy w czwartek 22 sierpnia zjawiłem się w Stoczni Gdańskiej, przywitał mnie mecenas Jacek Taylor. Znaliśmy się z przedsierpniowych procesów. Szybkim ruchem wyjął jakieś formularze i położył przede mną:

- To są pełnomocnictwa na wypadek, gdyby coś nie wyszło. Podpisz, bo jak by was zamknęli, to mogą nas nie dopuścić.



Negocjacje z udziałem wicepremiera Mieczysława Jagielskiego

Musiałem mieć dziwną minę, ponieważ szybko dodał:  
– Wszyscy wierzymy, że wygramy, ale to wiesz, tak na wszelki wypadek.

Przez moment przemknęło mi przez myśl: No tak, wolni to na razie tylko się czujemy... Ale zaraz potem zdałem sobie sprawę z tego, że po tym, co nawywijałem w „Komunie”, w razie przegranej nic mi nie pomoże. Jednak podpisałem.

Prace MKS-u zostały wielokrotnie szczegółowo opisać, więc oszczędzę sobie powielania tego. Jednak chciałbym przytoczyć dwa momenty nieakcentowane, a nawet świadomie pomijane w relacjach opisujących strajk w Gdańsku. Wielu moich znajomych uznaje je za momenty wstydlive, o których może lepiej nie wspominać. Ja zaś uważam, że były to poważne sygnały wskazujące na przyszłe niebezpieczeństwa, mogące istnieć i w związku.



## Niedziela, 24 sierpnia

Tego dnia oficjalnie powołana została Komisja Ekspertów Przy Międzyzakładowym Komitecie Strajkowym w Gdańsku pod przewodnictwem Tadeusza Mazowieckiego. Szlachetna inicjatywa – tak się wszystkim wydawało. Warszawscy intelektualiści przybyli, by wesprzeć strajkujących robotników. Było miło, lecz tylko jeden dzień.

Już następnego dnia dr hab. Jadwiga Staniszkis – członek teŝże komisji – poprosiła członków prezydium o poufną rozmowę. Udaliśmy się więc w niepełnym składzie. Tylko ci zaufani, bez Wałęsy, do opustoszałej hali wydziału W-3. Tam usłyszeliśmy relację z narady komisji ekspertów, która odbyła się poprzedniego dnia w ścisłym gronie. Informacja była dla nas szokująca. Dowiedzieliśmy się, że eksperci nie przyjechali nam doradzać, lecz na mocy umowy z przedstawicielami władz – by przejąć kontrolę nad strajkiem.

– Musicie być bardzo czujni, ponieważ będą wam wmawiać, że wolne związki zawodowe są nieosiągalne w tym systemie politycznym – mówiła nam pani Staniszkis. Złożyła teŝ oświadczenie, że występuje z zespołu i postanawia wspierać nas jako osoba niezależna, jeśli to zaakceptujemy.

Tak wdepnęliśmy. Komunikat o powołaniu ekspertów poszedł w świat. Odwołać ich nie sposób, bo nikt tego nie zrozumie. Pozostało nam zdwoić uwagę i poszukać innych mądrych ludzi. Wtedy postanowiliśmy poprosić o wsparcie

Lecha Kaczyńskiego i Jana Olszewskiego, bez publicznego rozgłaszania tego faktu. Historia jednak pokazała, że „eksperci” potrafiли przejąć kontrolę nad „Solidarnością” i wykorzystać ją maksymalnie dla realizacji własnych celów politycznych. Ale to już wszyscy znamy.

## **STRAJKOWY BIULETYN INFORMACYJNY**

Gdańsk dn. 24. 08 1980 r.

# **KOMUNIKAT**

### **MIĘDZYZAKŁADOWEGO KOMITETU STRAJKOWEGO**

Prezydium Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego odbyło posiedzenie z udziałem zespołu ekspertów. Przedmiotem dyskusji były sprawy ruchu związkowego, którymi zajmuje się pkt 1 - szy żądań strajkujących załóg. Zespół ekspertów przedstawił szkicową odpowiedź na pytanie, w jaki sposób stworzyć nowe, niezależne związki zawodowe oraz jakie powinny być spełnione gwarancje zarówno założenia Samorządnych Związków Zawodowych, jak i ich funkcjonowania. Po dyskusji i dodatkowych wyjaśnieniach ekspertów, Prezydium MKS zwróciło się do zespołu ekspertów z prośbą o przygotowanie następnym analiz i materiałów.

### **SKŁAD KOMISJI EKSPERTÓW PRZY MIĘDZYZAKŁADOWYM KOMITECIE STRAJKOWYM W GDAŃSKU**

Przewodniczący:	redaktor	Tadeusz	Mazowiecki
Członkowie:	doc.	Bronisław	Geremek
	dr hab.	Jadwiga	Staniszki
	doc.	Tadeusz	Kowalik
	dr	Waldemar	Kuczyński
	red	Andrzej	Wielowieyski
	dr	Bohdan	Cywiński

Wyżej wymienione osoby reprezentują następujące specjalności: prawo i nauki polityczne, ekonomię, socjologię i politykę społeczną. Komisja pozostaje w stałym kontakcie z innymi specjalistami w całym kraju.

Międzyzakładowy Komitet Strajkowy

Wolna Drukarnia Stoczni Gdynia  
(Druk bezpłatny)

Gdańsk, dnia 25 sierpnia 1980 r.

## Czwartek, 28 sierpnia

Około godziny 13 Wałęsa przemawiał przy drugiej bramie: – Paraliż nie jest nam potrzebny. Niech cała Polska pracuje, załatwimy tak, jak powiedzieliśmy w pierwszym dniu. Załatwimy wszystko wspólnie. Położyłem swoją głowę na szalę, ale pamiętajcie o moich dzieciach...

Ludzie bili brawo. Nie wiedzieli, co oznaczały te słowa, a była to zapowiedź co najmniej częściowego odwołania strajku. Nie wiedzieli też, że Wałęsa rozpoczął bardzo niebezpieczną grę.

Ok. godz. 14 podniosłem słuchawkę stojącego na stole telefonu (systematycznie sprawdzaliśmy, czy jest łączność międzymiastowa), a w niej usłyszałem jakąś rozmowę. Padały słowa o odwołaniu strajku. Zacząłem przysłuchiwać się uważniej. Rozpoznałem głos Bogdana Lisa i sekretarza wojewody. Rozmawiali o jakimś nagraniu wystąpienia telewizyjnego, w którym Wałęsa miał apelować o zawieszenie strajków! Natychmiast zacząłem szukać Borusewicza. Bogdan sądził, że to jakiś kawał, ale natychmiast zwołaliśmy prezydium. Wałęsa był przekonany do słuszności swojej koncepcji. Pokrętnie mówił coś o trudach życia w kraju, o własnych dzieciach i o potrzebie ograniczenia akcji strajkowej. – Paraliż nie jest nam potrzebny. Niech cała polska pracuje, załatwimy tak jak powiedzieliśmy w pierwszym dniu... – Kto mu nakładł takich bzdur do głowy?! – zadawałem sobie pytanie. – Przecież jeśli odwołamy strajk bez podpisania



Wielu odwiedzających stocznnię zostawiało składki na fundusz strajkowy.

porozumienia, to załatwimy, nie tylko dla siebie, wieloletnie więzienia.

Wałęsa jednak koniecznie chciał wystąpić w telewizji. Ekipa czekała na terenie stoczni. W Dzienniku Telewizyjnym o 19.30 miał odczytać apel o przerwaniu strajków w całym kraju, ponieważ władze obiecały mu rozmowy w terminie późniejszym. Przecież to samobójstwo! Ale w tej głupocie wspierali go doradcy i wówczas to, po raz pierwszy i jedyny podczas strajku, zostali, delikatnie mówiąc, poproszeni o zachowanie milczenia lub opuszczenie zebrania prezydium MKS. Trwająca kilka godzin ostra dyskusja nie przyniosła rezultatu. Wałęsa uparcie trwał przy swoim. Było już późno

wieczorem i minął czas antenowy planowanego wystąpienia. Zmęczeni rozeszliśmy się z nadzieją, że noc minie spokojnie. Jednak było to poważne ostrzeżenie. Wałęsa po raz drugi próbował doprowadzić do zakończenia strajku bez osiągnięcia zasadniczego porozumienia. Postawa doradców wzbudziła w nas poważne wątpliwości w ocenie ich intencji. Zrozumiałem wówczas, że za naszymi plecami trwają jakieś targi polityczne, których znaczenia wówczas chyba nikt nie rozumiał. Lecz te dwa wydarzenia z tamtego okresu utkwily mi głęboko w pamięci. Ilekroć więc – w przyszłości – usłyszę Wałęsę, wypowiadającego się o nieomyślności swojej kolejnej wizji czy koncepcji, a słynni eksperci będą opowiadać banały o „geopolitycznym uwarunkowaniu” naszego kraju, będzie to dla mnie sygnałem, że przygotowywane jest kolejne oszustwo polityczne w imieniu „Solidarności”.

## Komitet strajkowy

Członkowie Komitetu Strajkowego przy Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni

1. Andrzej Kołodziej	K-3
2. Leszek Krauze	K-3
3. Bronisław Sucharski	K-2
4. Zbigniew Mrozowski	K-5
5. Grzegorz Kozak	W-7
6. Henryk Pietruk	K-2
7. Franciszek Rusinek	K-3
8. Włodzimierz Kuczkowski	K-6
9. Bogdan Bojko	W-2
10. Władysław Pawelec	K-1
11. Edmund Lesnów	K-2
12. Czesław Zarzecki	K-3
13. Wiktor Przybecki	K-5
14. Stanisław Nawrocki	K-6
15. Mieczysław Ziętek	W-1
16. Mieczysław Grzegorzczyk	W-2
17. Marian Stachura	W-3
18. Henryk Wodniak	W-4
19. Marian Tyczka	W-5
20. Roman Koziczkowski	W-5
21. Jan Przyjemczak	W-6
22. Jan Świnoga	W-7

23. Henryk Woźniak	W-8
24. Tadeusz Piwko	HZ
25. Andrzej Kozicki	TK
26. Piotr Onuszek	TK
27. Mieczysław Welke	NJ
28. Mieczysław Krasieński	TM
29. Paweł Tarczyński	HM
30. Tadeusz Berendt	TG
31. Zdzisław Ślesarow	AG
32. Tadeusz Pławiński	TE
33. Karol Prowiński	JW.
34. Jan Pankiewicz	PKT
35. Piotr Mikołajczyk	TT
36. Henryk Mierzejewski	
37. Janusz Zawodniak	
38. Grzegorz Prochnia	TL
39. Mariusz Różański	TK

Sporządzono w Gdyni dnia 20.08. 1980 roku

We wszystkich strajkujących zakładach obowiązywał pewien stały scenariusz:

najpierw powoływano komitet strajkowy, ogłaszano strajk i formułowano listę postulatów. W Stoczni Gdynie ten schemat był odmienny. Rozpoczęliśmy od strajku, następnie przedstawiliśmy postulaty, a dopiero w czwartym dniu powołaliśmy Komitet Strajkowy. Co prawda podejmowałem wcześniej próby utworzenia reprezentacji strajkujących, jednak trudno byłoby to nazwać komitetem strajkowym.

Od początku była przy mnie pewna grupa młodych ludzi. Towarzyszyli mi oni w początkowych działaniach, ale byli z własnej woli i nie reprezentowali swoich wydziałów. W większości byli to równie młodzi, jak ja, chłopcy, którym imponowała nietypowa sytuacja i kierowała nimi głównie ciekawość. Po za tym każdego dnia skład tej grupy (z nielicz-



Gdy któryś zakład miał problemy bytowe, brakowało żywności, dzieliliśmy się.

nymi wyjątkami) był inny. Tak więc *de facto* pierwsze trzy dni strajk prowadziłem sam. Uznawałem ten stan za korzystny. Z załogą znalazłem wspólny język i potrafiłem tak rozmawiać, by zaakceptowała każdą moją decyzję. Ale co innego mówić do tłumu, a co innego ustalać wspólne stanowisko z kilkunastoma obcymi mi osobami, z których każda może mieć odmienne zdanie. Niemniej jednak po trzech dniach takiego solowego działania i kierowania ponad ośmioma tysiącami ludzi, których pierwszy raz widziałem, naprawdę miałem dosyć. Tak więc w poniedziałek 18 sierpnia postanowiłem stworzyć Komitet Strajkowy choćby na siłę. Tym



bardziej że od początku strajku w Gdańsku nie spałem ani minuty i czułem, że słaniam się na nogach ze zmęczenia.

Dzień zapowiadał się pogodny, a i nastroje strajkujących były jakby radośniejsze. Niewątpliwie to msza św., a szczególnie słowa ks. Jastaka tak pozytywnie wpłynęły na wszystkich. Ranek przyniósł nam jeszcze jedną dobrą nowinę – kadra inżynierska postanowiła czynnie nas wesprzeć. To było bardzo ważne dla mnie, ale przede wszystkim dla ludzi, którym poczucie jedności całej załogi było potrzebne. Zaraz po śniadaniu przystąpiliśmy do wyborów. Poleciłem wykonanie tablic z symbolami wszystkich wydziałów. Wszyscy mieli podzielić się na sektory i zgromadzić wokół symboli własnych wydziałów. Następnie poszczególne wydziały miały wydelegować swoich przedstawicieli, proporcjonalnie do liczby zatrudnionych na danym wydziale. Szło nam to jak po grudzie. Trudna była ta pierwsza lekcja demokracji. Wszyscy żądali demokracji w państwie, ale nikt nie wiedział, jak się to robi w praktyce. Uczyliśmy się pilnie i po kilku godzinach mieliśmy wybrany komitet strajkowy.

Wprowadzenie członków komitetu w sprawy organizacyjne strajku było tylko formalnością. Strajkowaliśmy już czwarty dzień. Dyrektora mieliśmy pod kluczem, a większość kierownictwa stoczni była za bramą. Na szczęście w skład komitetu weszli ludzie doskonale znający stocznię i jej problemy, tak więc podział zadań obyć mógł się bez mojego udziału. A ja poczułem wielką ulgę, jakby mi ktoś zdjął z ramion stukilowy ciężar.

Sytuację polityczną mieliśmy klarowną. Istniał już MKS, więc komitet musiał wydelegować przedstawicieli. Od początku zostali nimi Henryk Mierzejewski i Andrzej Kozicki. Najaktywniejszym członkiem komitetu okazał się Tadeusz Pławiński, zatem naturalnie przypadło mu w udziale najwięcej obowiązków. Do zadań organizacyjnych Komitetu Strajkowego należało:

- zabezpieczenie funkcjonowania całego zakładu (prąd, woda itp.),

- zabezpieczenie jednostek pływających, stojących przy nabrzeżu,
- ochrona całego mienia zakładu,
- zapewnienie względnych warunków socjalnych strajkującym,
- organizacja wyżywienia dla całej załogi (stołówka wydawała ok. 8 tys. posiłków trzy razy dziennie i mieliśmy własną wytwórnię wody sodowej),
- zabezpieczenie opieki medycznej strajkującym,
- kontrola wyjść i przepływu przekazywanych towarów (raz tylko zostałem poproszony o komisijną likwidację alkoholu, który ktoś dostarczył w paczkach dla stoczniowców. Nie ustalono pochodzenia, ale nie wyglądało to na dar kolegi, bo że były to głównie koniaki; publicznie rozbiliśmy to wszystko na oczach zebranych przed bramą i już potem o takich zdarzeniach nie słyszałem),
- umożliwienie kontaktów z rodzinami (przez cały okres prowadziliśmy autentyczny strajk okupacyjny),
- zapewnienie przepływu informacji,
- pomoc dla drukarni w organizowaniu przerzutów wydrukowanych materiałów,
- organizacja życia kulturalnego oraz innych zajęć zgromadzonym w stoczni,
- kontakty i wspieranie strajkujących załóg gdyńskich zakładów pracy.

Nie były to łatwe zadania – w stoczni zgromadzonych było ponad osiem tysięcy ludzi, którym trzeba było przede wszystkim wypełnić czas wolny, a tego wszyscy strajkujący mieli w nadmiarze. W poniedziałek, gdy powstał Komitet Strajkowy i dotarła do nas informacja o strajkach w Szczecinie, było oczywiste, że strajk zapowiada się na dłużej.

Co robić z taką masą, przywykłych do ciągłego zajęcia, mężczyzn zgromadzonych na tak małej przestrzeni, w sytuacji pewnego stałego napięcia psychicznego? Pierwszą decyzją było zorganizowanie stałych mszy św., codziennie o jednakowej porze, co doskonale mobilizowało wszystkich.

Należało przygotować teren, orkiestra stoczniowa ćwiczyła nietypowy dla niej repertuar.

Z dnia na dzień zmieniał się główny plac strajkowy. Najpierw pojawiły się ławki, potem ustawiono wiatę. Wstawiono tam radio i telewizor. Wiata na placu stała się głównym salonem strajkowym. Tutaj słuchano wiadomości radiostacji zachodnich, oglądano telewizję, przekazywano wszystkie ważne komunikaty.

Zadziwiającą sprawą jest, że przez cały czas trwania strajku nie słyszałem o żadnym konflikcie między strajkującymi. Nie było sporu o to, czego słuchać lub co oglądać. Była decyzja członka komitetu – robimy to lub tamto i wszyscy ją akceptowali bez sprzeciwu.



Czym zainteresować takie masy ludzi nieprzywykłych do bezczynności?

Z czasem zaczęli pojawiać się artyści. Byli wśród nich domorośli twórcy i byli artyści zawodowi, jak choćby z Teatru Dramatycznego, z Szymonem Pawlickim w roli głównej. W miarę upływu dni strajkowych zmieniał się repertuar tych występów. Ludzie nabierali odwagi i zaczęli mówić coraz śmielej. Najpierw były to skargi na trudne warunki życia, potem krytyka władz, dalej propozycje naprawy państwa, aż w końcu pojawiły się głosy o krzywdach stalinowskich i nieśmiało przypomnienie o Niepodległości Polski. Słowem wszystko zmierzało we właściwym kierunku. Była to żywa lekcja historii, jaką zaserwował Komitet Strajkowy. Bardzo ważna lekcja, podczas której wielu z uczestników po raz pierwszy usłyszało prawdę o zbrodni katyńskiej czy zbrodniach stalinowskich w komunistycznej Polsce. Były to ważne akcenty, gdyż nie tylko uczyły ludzi patriotyzmu czy historii, ale pozwalały oderwać się choć na chwilę od nurtującego wszystkich pytania – JAK zakończy się nasz strajk?

Jedną z ważkich inicjatyw Komitetu Strajkowego było wysłanie 27 sierpnia delegacji do Episkopatu Polski, z prośbą o wyjaśnienie w sprawie niefortunnego wystąpienia prymasa Wyszyńskiego, które było transmitowane przez telewizję. Z inicjatywą taką wystąpił ks. Hilary Jastak, który jak nikt dbał o strajkujących i on napisał list do Prymasa. W efekcie delegacja przywiozła odpowiedź, w której stwierdzono, że wystąpienie Prymasa zostało ocenzone. A była to sprawa wówczas niezwykle ważna dla strajkujących.

Do naszej stoczni codziennie zgłaszały się delegacje zakładów strajkujących z Gdyni i okolic. Dla jednych Gdańsk był zbyt daleko, innym nie odpowiadała atmosfera panująca w Stoczni Gdańskiej. Rzeczywiście – jak pamiętam – zbyt mało było tam zwykłej solidarności i życzliwości dla innych, niż głosi się to obecnie. Stocznia Gdańska nastawiona była prawie tylko na odbiór od innych aktów solidarności względem siebie i przyjmowanie datków na budowę pomnika. Może to dziwne, lecz przez tyle dni pobytu w Stoczni Gdańskiej jakoś nie słyszałem choćby jednej deklaracji wygłoszonej publicznie, w której



Triumfujący Lech Wałęsa

to właśnie stocznia zwróciłaby się z aktem solidarności wobec kogoś. Dlatego przedstawiciele małych zakładów czuli się tam trochę wyobcowani.

U nas było inaczej. Każdy przybyły mógł podzielić się z załogą swoimi troskami i radościami i liczyć na szczerą życzliwość. Istniało poczucie swoistej wspólnoty. Nie było podziału na mniej i bardziej ważnych. Wszyscy byli równi. Gdy ktoś miał przejściowy kryzys z przetrwaniem, jechali tam przedstawiciele Komitetu Strajkowego Stoczni i swoim wsparciem pomagali wybrnąć z opresji. Gdy któryś zakład miał problemy bytowe, brakowało żywności, dzieliliśmy się. Jeśli kto miał czym, sam odbierał, gdy nie – dowoziliśmy



Koniec strajku

własnym transportem. Nie było u nas artykułowania: Stocznia, Port, Dalmor, Radmor czy MPK. To była strajkująca Gdynia, to było jedno i wszyscy byli równi.

W tej dziedzinie współdziałania i wzajemnego się wspierania Komitet Strajkowy Stoczni Gdynia spisał się doskonale. Takie postępowanie wznicało wzajemną ufność, rodziło poczucie jedności i siły. A wszystko razem rodziło potrzebę solidarności, ale tej zwykłej – międzyludzkiej. I to się w Gdyni udało. Ze strajku wynieśliśmy gotowość i chęć współdziałania, dlatego tworząca się w Gdyni „Solidarność” była jakościowo inna, mniej konfliktowa, jakby lepsza bardziej dojrzała.

Do ostatniego momentu strajku wszystko było precyzyjnie dopracowane. Komitet opracował nawet plan opuszczenia stoczni przez poszczególne wydziały, tak by nie zablokować kulejącej po strajku komunikacji. Wszystko – jak na Gdynię przystało – musiało być dograne w szczegółach, zatwierdzone i zapisane.

Gdy przyjechałem do Gdyni po podpisaniu Porozumienia z Komisją Rządową, wszystko było już uporządkowane, jak gdyby w stoczni nic się działo. Tak dziwnie ucichł gwar tysięcy ludzi, pusty plac. Spotkaliśmy się w budynku dyrekcji, by sobie podziękować za dobrze wykonaną pracę. Teraz dopiero poczułem zmęczenie. Myślałem już tylko o wygodnym łóżku.



Pustoszejąca stocznia

## Wolna Drukarnia Stoczni Gdynia

O „Wolnej Drukarni Stoczni Gdynia” można by napisać całą obszerną pracę. Nie chcę tutaj zajmować się szczegółami, ponieważ ten temat wymaga rzetelnego podejścia, a wielu spraw związanych z drukarnią nie rozwikłaliśmy do dziś. Jednak opowieść o Sierpniu 80 w Stoczni im. Komuny Paryskiej bez kilku odrębnie skreślonych słów o drukarni nie oddawałoby pełnego obrazu naszego strajku.

„Wolna drukarnia Stoczni Gdynia”, była jedną z niewielu drukarni posiadanych przez strajkujące załogi, a na pewno była pierwszą na Wybrzeżu. Pierwsze ulotki, które opuściły tę drukarnię, noszą datę 15.08.1980 r.

Najbardziej popularna wśród mieszkańców Trójmiasta ulotka, zatytułowana „Mieszkańcy Trójmiasta”, a kończąca się hasłem: „WYTRZYMAMY” i drukowana w kilku wersjach różniących się tylko informacją o ilości strajkujących zakładów, wyszła w najwyższym nakładzie: ok. 700 tysięcy egzemplarzy.

Wszystkie ulotki gdyńskiej drukarni charakteryzowały się wysokim poziomem technicznym, dorównującym ulotkom rządowym, których autorzy dysponowali przecież dużo lepszą bazą poligraficzną. W sumie w drukarni stoczniowej w Gdyni wydano ok. 2 mln ulotek. Miały one charakter informacyjny, natomiast antystrajkowe ulotki rządowe były typowo propagandowe. To przesądziło o przegranej tych



drugich. Nachalna, wręcz znienawidzona przez strajkujących, propaganda nie miała najmniejszych szans w walce z oszczędną, ale rzetelną informacją.

Zasięg ulotki z podpisem „Wolna Drukarnia Stoczni Gdynia” był ogromny. W początkowej fazie strajku osiągała inne strajkujące zakłady Trójmiasta, później wyszła na ulice miast województwa gdańskiego, a w końcu dotarła do wielu zakątków kraju. Kolportażem zajmowali się specjaliści łącznicy, przygodni przechodnie, stoczniowcy wychodzący na przepustki, a także rodziny ich odwiedzające. Środki transportu były przeróżne: damskie torebki, samochody osobo-



Wolna Drukarnia Stoczni Gdynia. Po prawej: Andrzej Butkiewicz

we, karetki pogotowia ratunkowego, pociągi podmiejskie i dalekobieżne, a także holowniki morskie.

*Oczywiście, strajkujący zdawali sobie sprawę, jak potężną bronią dysponują, i odpowiednio ją chronili przed wszelką prowokacją. Być może dzięki temu strajkujący, a także popierający strajk, czyli cały naród, posiadali informacje, które przyczyniły się do powodzenia całej akcji i potrafiły utrzymać solidarność w społeczeństwie w tym najbardziej gorącym lecie w całej powojennej historii Polski – tak o naszej drukarni pisał w 1981 roku Edward Szmit, pracownik stoczni Gdynia. Niewiele można dodać i dzisiaj po latach. Wówczas nie napisano całej prawdy z kilku powodów, a może przede wszystkim dlatego, że obsadę drukarni stanowili ludzie z zewnątrz. Młodzież ówczesnej opozycji.*

Sama idea uruchomienia drukarni zrodziła się w mojej głowie natychmiast, gdy dowiedziałem się, że jest taka na terenie stoczni. Niewątpliwie nie bez znaczenia był fakt, że przed sierpniem zajmowałem się drukowaniem niezależnych pism. Znałem więc dobrze wagę słowa drukowanego. Natychmiast więc zmontowaliśmy z Andrzejem Butkiewiczem ekipę drukarzy z grona naszych znajomych. Była to dla mnie zbyt ważna inicjatywa, by powierzyć ją przypadkowym ludziom. Tak więc szefem strajkowej drukarni został Andrzej – były student ekonomii. Wśród stałych pracowników byli:

Maciej Butkiewicz – licealista,

Tadeusz Kijewski – student ekonomii, Andrzej Słomiński – lekarz, Jerzy Rajchel – licealista,

Bogdan pseudonim „Morda” – student filozofii, Stanisław Zych – stoczniowiec z Wisły,

Anna Sokołowska – maszynistka, Paweł Mikłasz – szef niezależnego wydawnictwa im. Konstytucji 3 Maja z Warszawy i dwóch pracowników biura konstrukcyjnego naszej stoczni.

Jednak najważniejsze dla nas osoby, bez których nie powstałaby „WOLNA DRUKARNIA STOCZNI GDYNIA” to: pani Maria Koszarska – drukarz gdyńskiego „Nowatora” i pan

Sabatowski – specjalista od maszyn poligraficznych, który potrafił uruchomić celowo uszkodzone maszyny i dbał o nie przez cały okres strajku.

Większość nie opuściła drukarni przez cały okres jej funkcjonowania. Tu jedli, spali i pracowali, a była to najbardziej zapracowana ekipa podczas strajku. Wszyscy ci ludzie pracowali później w podziemnych strukturach „Solidarności”. Wszyscy byli internowani bądź aresztowani. Dziś spotykam tylko panią Marię. Pan Sabatowski dawno już odszedł do lepszego świata. A młodzież – gdzieś za oceanem.

## Poczta strajkowa

Motto:

*Osamotnienie jest nasieniem lęku.*

Gdy niepewności pierwszych dni i nocy strajku, przebliski nadziei i jej depresje, zaczęły przybierać kontury twardej rzeczywistości, zamkniętej w nieokreślonym czasie trwania, towarzyszyła im chęć i potrzeba kontaktu z ludźmi, z rodzinami, z tym, co działo się za zamkniętą bramą. Nie każdy mógł zobaczyć za nią bliskich, wyczytać z ich oczu i krótkich zdań prawdę o tym, co, jak zaczyn Nowego, bardziej przeczuwanego niż dostrzeganego, napełniło zacisze domów, otwartość ulic, pozorną martwość hal fabrycznych.

Byłoby niewytłumaczalne i niewiarygodnie dziwne, gdyby w tej atmosferze zamknięcia nie narodził się pomysł tak oczywisty i prosty, znany ludzkości od dawien dawna – stworzenie poczty. Było już ich wiele – lotnicze, balonowe, plebiscytowe i obozowe, okupacyjne i podziemne. Tu, w Stoczni Komuny Paryskiej pojawiła się jej nowa postać – poczta strajkowa, przesyłająca nie tylko wiadomości, ale i służąca temu, z czego wyrosła – STRAJKOWI.

Stało się to 20 sierpnia. W dniu tym po raz pierwszy na kopertach i kartach pojawił się znak poczty strajkowej. Nieefektowny i niezbyt starannie wykonany, od tego dnia towarzyszył wszystkim przesyłkom, jakie przez pocztę strajkową przeszły w ciągu 11 dni jej działania. Była widomym

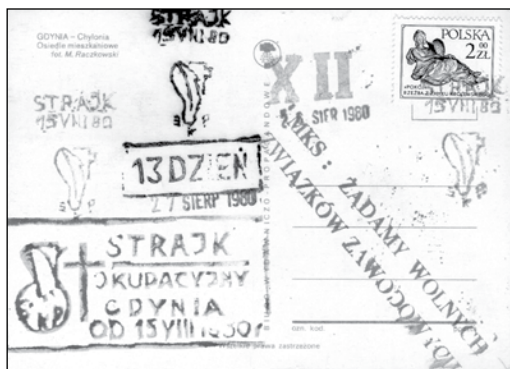
znakiem protestu, wyczekiwania i radości zwycięstwa strajkujących. Zmiennością kolorów akcentowała każdy dzień, który minął i który miał nadejść. Pełniła rolę kasownika tam, gdzie były znaczki Poczty Polskiej, i rolę znaczka tam, gdzie ich nie było.

Drugiego dnia, 21 sierpnia, Poczta Strajkowa pracowała, jak normalny urząd, w pełnych godzinach od 9.00 do 12.00 i od 15.00 do 18.00, przy sporej frekwencji interesantów-stoczniowców. Ale nic nie zapowiadało tego, co miało się dzieć na poczcie w dniach następnych. Takiego bowiem zainteresowania Poczta Strajkowa i jej działalnością nikt się nie spodziewał. Już trzeciego dnia nie zdołano załatwić wszystkich interesantów w ustalonych godzinach pracy. Od tej pory dewiza „Poczta pracuje dopóty, dopóki nie załatwi się wszystkich interesantów” stała się codziennością.

Po zakończeniu pracy w holu między budynkami Biura Konstruktoryjnego a budynkiem Biura Technologicznego pracownicy poczty pracowali często do późnych godzin nocnych, pieczętując przesyłki powierzone ich pieczy. Pozostawiały je wydziały stoczni, sąsiadujący Port, Stocznia Remontowa i ludzie z miasta poprzez swo-



Pamiętkowe kartki

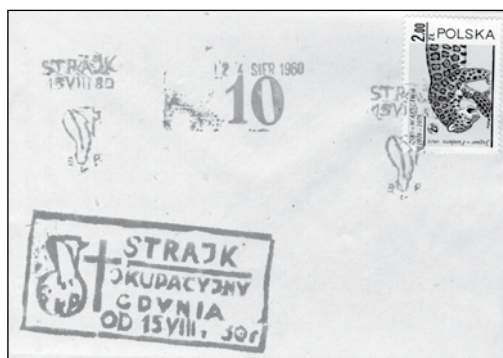
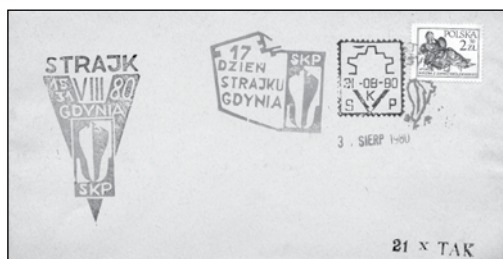


ich bliskich i znajomych w stoczni. Następnego dnia już od rana można było odebrać listy i kartki opieczetowane w nocy. A punktualnie o godzinie 9.00 Poczta Strajkowa rozpoczynała swój normalny, choć coraz bardziej wydłużający się „dzień pracy”. Podziwu godna była dyscyplina i cierpliwość, z jaką stoczniowcy czekali w długiej kolejce, która formowała się długo przed rozpoczęciem pracy poczty. Panował w niej wzorowy porządek, utrzymywany przez samych czekających.

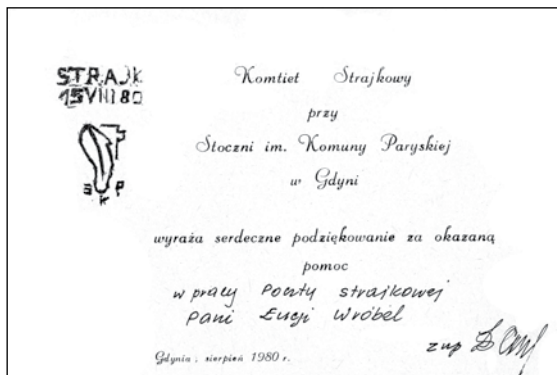
Pracownicy Poczty Strajkowej to w pierwszych dniach głównie pracownicy Biura Projektowo-Konstrukcyjnego, ale później reprezentowali już wszystkie wydziały i służby Stoczni. Szczególnie pomocny był udział pań – pracownic stoczni, tych, które strajkowały i tych, które specjalnie przychodziły z miasta, aby pomagać na poczcie. Słowo „Poczta” otwierało bramę.

Już pierwszego dnia zorganizowane zostało doręczanie poczty, zarówno na terenie Trójmiasta, jak też wysyłka ich przez Poczty Polską na obszar całego kraju. Wielu ludzi stojących za bramą zwracało się do ekspedytora poczty z propozycją roznoszenia listów i kartek. Ten, spontaniczny po-

czątkowo, udział przybrał później formę zorganizowanego i sprawnie działającego mechanizmu, zatrudniającego wielu stałych, godnych zaufania posłańców. Dzień po dniu wzrastała ilość przesyłek wrzucanych do jednej z dwóch niebieskich skrzynek pocztowych. Jedna z nich gromadziła przesyłki rozwożone na terenie Trójmiasta, druga – przesyłane dalej do miast i miejscowości w całym kraju. Te pierwsze po wyjęciu ze skrzynki pieczętowane były pieczęcią „PO-SŁAŃCEM”. Listy i kartki poza Trójmiasto wysyłane były za cichą zgodą Urzędów Poczтовых w Trójmieście. Im to zawdzięcza Poczta Strajkowa dotarcie do Warszawy, Wrocławia, Poznania, Kalisza, Łodzi, Krakowa i wielu innych miast i miejscowości. Listy te i kartki dochodziły do adresatów bądź opieczątowane tylko pieczęcią Poczty Strajkowej, bądź także pieczęciami Urzędów Poczty Polskiej. Te ostatnie stanowią prawdziwe rarytasy filatelistyczne. Wszędzie tam, gdzie docierały przesyłki Poczty Strajkowej, budziły prawdziwą sensację i radość. Już po kilku dniach wieści o tym, że poczta dociera do wielu miast, spowodowały gwałtowny wzrost ilości przesyłek wrzucanych do obu skrzynek pocztowych.



Pamiętkowe koperty



## Podziękowanie za pracę w Poczcie Strajkowej

sztuk. Ilość kopert i kartek opieczątowanych tylko pieczęciami strajkowymi szacuje się na ok. 200.000 szt. Nic więc dziwnego, że Poczta Strajkowa zaczęła pracować po 12-14 godzin na dobę. To, co początkowo wydało się rozrywką w monotonnej, choć napiętej atmosferze strajku, stało się ciężką pracą. Nie ograniczono jednak aż do ostatniego dnia ani ilości przyjmowanych do opieczątowania przesyłek, ani czasu pracy. Poczta stała się własnością ogółu. W jej pracy, w postawie czekających były życzliwość, zrozumienie sytuacji i humor. Zmęczenie i wysiłek pracowników Poczty nagradzany często był dobrym słowem i uznaniem, jak to, które usłyszał „naczelnik poczty”:

– Panie Pocztylionie, to prawdziwa poczta: listy doszły!

I to „Panie Pocztylionie”, wydarte z dawnej epoki dźwięków trąbki pocztowej, wpasowane w rzeczywistość słowami uznania, promieniało nieuchwytnym ciepłym wdziękiem.

Poczta Strajkowa robiła także karierę międzynarodową. Przez pięć ostatnich dni, korespondenci zagraniczni, zgromadzeni w Stoczni Gdańskiej, otrzymywali po 50 kopert z pieczęciami i hasłami Poczty Strajkowej, ważnymi danego

Popularność Poczty Strajkowej przybierała też inną formę. Koperty i karty opieczątowane pieczęciami Poczty Strajkowej zaczęto sprzedawać koło Hali Targowej, gdzie osiągały cenę od czterdziestu do stu złotych za sztukę.

Łączna ilość przesyłek wysłanych Poczta Strajkową i dalej Poczta Polską wyniosła ok. 800 sztuk. Wszystkich przesyłek ze znaczkami Poczty Polskiej, opieczątowanych pieczęciami Poczty Strajkowej, było ponad 80.000



dnia. Były one rozchwytywane i zawsze było ich mało. Trzeba bowiem wyjaśnić, że Poczta Strajkowa nie poprzestała tylko na swych funkcjach właściwych takiej instytucji. Od 13 dnia strajku koperty i kartki opatrywane były pieczęciami propagującymi cele strajku. Jego hasła mówiące o tym, o co stocznia walczyła i czego oczekiwała. Od 22 sierpnia kolejne liczby, którymi pieczętowano przesyłki, wskazywały kolejny dzień tych cichych, statycznych, lecz pełnych napięcia zmagani.

Odosobnienie strajkujących z dnia na dzień stawało się coraz bardziej symboliczne – wyrażało się tylko zamkniętą bramą. Dla ogólnej atmosfery rosnącej nadziei i mocy strajkujących, poparcia całego społeczeństwa, brama już nie stanowiła żadnej przeszkody. W tworzeniu tej, obejmującej i jednoczącej wszystkich, atmosfery Poczta Strajkowa może sobie przypisać maleńki udział. Jej prace trwały jeszcze do późnej nocy, wtedy gdy Stocznia już opustoszała po zakończeniu strajku. Urząd, choć samozwańczy, pełnił swą rolę do końca.

Dla swych pracowników za ich oddanie i entuzjazm, za czas poświęcony, Poczta Strajkowa wydała znaczek okolicznościowy. W literze „V”, wkomponowanej w sylwetkę statku, zapisany był nasz zapal, wysilek, nieprzespane noce, zwątpienie i nadzieja.

## Ks. prałat dr Hilary Jastak

Dla nas, strajkujących w sierpniu 1980 roku, postacią najważniejszą i niezapomnianą był i pozostanie ks. Jastak. Przez jednych zwany „Królem Kaszubów”, przez drugich „wojującym księdzem”. Był na pewno jednym i drugim, i jeszcze kimś więcej. Z pewnością całe swoje życie bardzo droga mu była wolność Polaków i do niepodległości Polski niezłomnie dążył.

Los złączył nas w bardzo trudnym dla nas, strajkujących, momencie. On to właśnie bez wahania, gdy inni nam odmówili, przybył do naszej stoczni, by wesprzeć nas duchowo i moralnie. I umocnił nas, utwierdził w nas sens naszych zmagania i obudził nadzieję na zwycięstwo.

Śmiało mogę dziś powiedzieć, że gdyby nie obecność ks. Jastaka wśród nas w tamtych dniach i jego mocna, zdecydowana postawa, to nie wiem, jakie byłyby dalsze losy strajku.

To on był pierwszym kapłanem, który zdecydował się odprawić mszę św. dla strajkujących w ich zakładzie pracy, w komunistycznym państwie, nie pytając nikogo o pozwolenie. Jego racją była potrzeba ludzi.

To on wspierał nas w strajku nie tylko moralnie. Za zgodą Rady Parafialnej przekazał na potrzeby strajku poważne środki finansowe wtedy, gdy najbardziej tego potrzebowaliśmy, w pierwszych dniach strajku, i udostępnił swój kościół jako oficjalny punkt informacji i kolportażu materiałów drukowanych przez Wolną Drukarnię Stoczni Gdynia.

To on, gdy strajkujący zwątpili w postawę władz Kościoła po nadanym przez telewizję wystąpieniu prymasa Wyszyńskiego, napisał list i wysłał z nim stoczniowców do Episkopatu, prosząc o wyjaśnienie sprawy.

To on tydzień po strajkach wysłał wraz z mieszkańcami Gdyni list dziękczynny do papieża Jana Pawła II.

Nie sposób przecenić roli ks. Jastaka jako współtwórcy tamtego naszego zwycięstwa, a także jego pomocy w trudnych czasach lat 80. Zawsze był z tymi, których krzywdziła komuna. Dlatego ksiądz Jastak zasługuje na szczególne wyróżnienie. Nie czuję się na siłach, by własnymi słowami oddać wiernie charakter tego wspaniałego Księdza, Człowieka i Niezlomnego Rzecznika Niepodległej Polski. Myślę więc, że najlepiej opowie osobie on sam słowami, które wypowiedział w wywiadzie dla stoczniowców w 1991 roku.

*W malowniczym pojezierzu kaszubskim, w Kościerzynie, stolicy Kaszub urodziłem się w roku 1914. Moje dzieciństwo przypadło na czas pierwszej wojny światowej. Bogobojni rodzice cieszyli się szczęściem dzieci. Mój ojciec, Jakub Jastak po zakończeniu wojny przejmował z p. Klemensem Lniskim w Kościerzynie agendy z rąk zaborcy pruskiego. Po tym piastował różne społeczne funkcje i urzędy. Był członkiem sejmiku powiatowego, zastępował starostę, spełniał urząd burmistrza.*

*Powołanie do kapłaństwa – w moim przekonaniu – mieli w pierw rodzice, gdyż uczestniczyli żywo w powszechnym kapłaństwie wiernych przez namaszczenie duchem Chrystusowym. Mówi o tym dziś, o powszechnym kapłaństwie ludzi świeckich Sobór Watykański II w swoich dekretach i konstytucjach.*

*Po zdaniu matury podjąłem wolną i świadomą decyzję wstąpienia do Wyższego Seminarium Duchownego w Pelplinie, aby osiągnąć sakrament kapłaństwa Chrystusowego, bez żadnego nacisku rodziców.*

*Droga do kapłaństwa była uciążliwa i usłana przeszkodami. Gdy byłem klerykiem VI roku studiów teologicznych, wybuchła druga wojna światowa. Hitlerowcy wymordowali*

większość duchowieństwa diecezji chełmińskiej, a między innymi wszystkich księży parafialnych, księdza proboszcza w Kościerzynie i prefekta Seminarium Nauczycielskiego księdza dr. Leona Heyka, pisarza kaszubskiego, przyjaciela naszego domu rodzicielskiego. Okupant umęczył też mego serdecznego kolegę, kleryka Teodora Polpińskiego, syna rodziny robotniczej.

Będąc przez hitlerowców poszukiwany, ukrywałem się wraz z moim bratem Edmundem, klerykiem w kurniku naszej nieruchomości. Nakazanego meldunku w magistracie nie dokonaliśmy, gdyż nasz nauczyciel Józef Willma, krewny rodziny Willmów w Gdyni, którzy ofiarowali w roku 1933 plac pod budowę kościoła Najświętszego Serca Jezusowego w Gdyni, spełniając funkcję tłumacz dla Niemców, przestrzegł nas, abyśmy nie meldowali się w urządzie mimo ostrego „Beruf”, bo gestapowcy nas wywiozą do pobliskiego lasu i jak wielu innych tam rozstrzelają.

W jesieni 1939 r. Niemcy hitlerowskie podjęły akcję wysiedlania z Kościerzyny licznych mieszkańców do Generalnej Guberni, na Podlasie. Kiedy oprawcy z organizacji Selbstschutz przyszli wczesnym rankiem po naszą matkę, znajdującą się na liście, wówczas ujawniła ona, że ma jeszcze dwóch synów. Niezorientowani w zamiarach gestapo zakrzyknęli „Alle raus” – wszyscy wyjść. Z podręczną walizką wywieziono nas, bitych pałkami gestapowców, pociągami nieogrzewanymi, bez jedzenia i napoju do GG, na Podlasie. Podróż trwała trzy dni.

W GG pracowałem jeden rok w ogrodnictwie szkoły gospodarstwa domowego w Chyliczkach pod Warszawą. W tym okresie umocniłem swoje powołanie, przyglądając się życiu księdza kapelana szkoły, prałata Wincentego Balula, byłego więźnia łagrów sowieckich, świątobliwego apostoła miasta Piaseczno pod Warszawą.

Za jego uporczywym wstawiennictwem zostałem przyjęty do WSD w Warszawie w drodze wyjątku. Święcenia kapłańskie przyjąłem z rąk arcybiskupa Stanisława Galla w katedrze Archidiecezji Warszawskiej w dniu 7 czerwca 1941 roku.

Jakkolwiek święcenia przyjąłem dla diecezji chełmińskiej, to jednak Kuria Arcybiskupia w Warszawie udzieliła mi przywileju

*zajmowania stanowiska wikariusza i prefekta w parafiach podwarszawskich (księży w Warszawie było wówczas dużo).*

*Pracując kolejno w kilku parafiach, brałem udział w tajnym nauczaniu, jako wykładowca na poziomie szkół średnich. Patronowałem „Szarym Szeregom” i AK w obwodzie Grójec „Głuszc”. Niebezpieczeństwo aresztowania było wielkie, ale Opatrzność Boża czuwała nad swoim ułomnym sługą.*

*Do diecezji chełmińskiej i do Kościerzyny wróciłem jeszcze przed zakończeniem II wojny światowej – dwa dni po opuszczeniu Kościerzyny przez okupanta hitlerowskiego – dnia 11 marca 1945 roku.*

*Wpierw pracowałem kilka miesięcy w Pogódkach w charakterze administratora parafii, potem Kuria Biskupia Chełmińska, na nowo zorganizowana, wyznaczyła mi stanowiska prefekta i wikariusza w Toruniu, w parafii N.M. Panny.*

*Od 1 lutego 1946 r. zostałem powołany na stanowisko Dyrektora Okregu „Caritas” w Gdyni diecezji chełmińskiej oraz na prefekta i duszpasterza akademickiego Wyższej Szkoły Handlu Morskiego.*

*Od 1 stycznia 1949 biskup chełmiński Kazimierz Józef Kowalski mianował mnie proboszczem nowo utworzonej parafii NSPJ w Gdyni.*

*W latach posługiwania w kościelnym „Caritas” i w parafii doznawałem nieustannych ucisków, represji ze strony władzy administracji państwowej reżimu komunistycznego. Na wszelkie sugestie, abym współpracował z władzą państwową odpowiadałem NIE.*

*Wiosną 1950 roku zostałem uwięziony i osadzony w więzieniu UB w Gdańsku. Po kilku miesiącach zostałem zwolniony bez udowodnienia przestępstwa, ale poddany nadzorowi M.O. do jesieni 1950 roku.*

*Lata 1956-1980, w związku z budowa kościoła, plebanii, wieży i innych społecznych działań, były naznaczone ustawicznymi wezwaniami do urzędów w Gdyni i w Gdańsku, długotrwałymi kontrolami, rozprawami przed kolegiami orzekającymi, postępowaniami wyjaśniającymi przeprowa-*



Kościół Najświętszego Serca Pana Jezusa w Gdyni

dzanymi przez MO, SB i prokuraturę, jako podejrzany o różne wykroczenia i przestępstwa.

W czasie tych ucisków, szantaży i prześladowań wierny Lud Boży i mieszkańcy Gdyni okazali się niezłomnymi obrońcami swego duszpastorza i świadkami prawdy. Trudno więc było władzom komunistycznym mnie znievolić.

Nie mogę powiedzieć, że w niedzielę 17 sierpnia 1980 roku byłem jedynym kapłanem, który w czasie strajku okupacyjnego robotników na Wybrzeżu odprawił mszę św. na terenie zakładu pracy w powojennej Polsce. Natomiast na pewno byłem pierwszym kapłanem, który podjął decyzję odprawienia mszy św. w stoczni na prośbę stocznio-

ców w sobotę 16 sierpnia. Proboszcz właściwy i kompetentny odmówił tej posługi, gdyż został ostrzeżony przez władze administracji państwowej.

Jest prawdą, że nie pytałem o pozwolenie żadnej władzy państwowej.

Nie porozumiewałem się też z moim biskupem w Pelplinie, gdyż wszystkie środki komunikacji, łącznie z telefonami, były zerwane.

Jeżeli zaś jeden z księży proboszczów w Gdańsku odprawił mszę św. w Stoczni Gdańskiej, to uzyskał delegację od swego

księdza biskupa w Oliwie i pozwolenie od wojewody gdańskiego, i to dopiero w niedzielę 17 sierpnia o godz. 7 rano, jako skutek całonocnej interwencji gdańskich stoczniowców.

W Gdyni natomiast publikatory w Stoczni ogłaszały w przeddzień, całą sobotę o moim postanowieniu przyjscia do strajkujących robotników ze mszą św. w niedzielę.

W świetle tych faktów można powiedzieć, że byłem pierwszym kapłanem w Polsce, który powziął decyzję i poszedł z posługą kapłańską, oczekiwany przez strajkujących robotników...

... Chciałbym podkreślić, że to właśnie ja dziękowałem Bogu i nadal dziękuję za danie mi tej łaski i za postawę robotników w tych dniach napięcia i utrapienia w walce o wolność i sprawiedliwość.

W liście wysłanym na ręce Księdza Prymasa Polski, Kardynała Wyszyńskiego z datą 27 sierpnia 1980 roku, doręczonym przez delegację stoczniowców pisałem szczegółowo w kilkunastu punktach o godnej i wzorowej postawie robotników gdyńskich w czasie strajku, niemniej zdecydowanej. Pisałem między innymi, że robotnicy dali nam wszystkim swoim przykładem rekolekcje, które zasługują na uwagę i pochwałę.

Z okazji piątej rocznicy wydarzeń sierpniowych redaktorka „Gwiazdy Morza” przeprowadziła wywiad z kilku księżmi z Wybrzeża na temat przeżyć, spostrzeżeń i udziału w czasie strajkowych dni sierpniowych. Powtórzyłem wówczas moje słowa, umieszczone w liście do ks. Prymasa Polski o rekolekcjach danych przez stoczniowców gdyńskich. Redaktorka włożyła te słowa w usta innego księdza z Gdańska – rzekomo mówiącego w ten sposób o stoczniowcach w Gdańsku – zniekształciła w ogólności mój wywiad.

Będąc rozżalonym z tego powodu, odmawiałem od tego czasu udzielania wywiadu wszystkim zgłaszającym się do mnie redaktorom z Polski i z zagranicy.

Dzisiaj czynię wyjątek. Udzielam wywiadu Panu Redaktorowi z pełnym zaufaniem i szacunkiem dla całego zespołu redakcyjnego Biuletynu Informacyjnego i dla wszystkich czytelników.

*Na pańskie pytanie o reakcję władz państwowych i kościelnych po odprawieniu pierwszej mszy św. w dziejach stoczni gdyńskiej podaję, że władza państwowa jakby zamilkła. Niemniej swoimi kanałami naświetliła to zdarzenie w Pelplinie w sposób negatywny, krytyczny, i to już w niedzielę w godzinach popołudniowych. Toteż ksiądz Biskup był zaniepokojony i prosił o wyjaśnienie, a poniekąd ważniejsi kurialiści wyrazili dezaprobatę dla mojej postawy.*

*Będąc przekonany głęboko o słuszności mojej postawy, zgodnej z sumieniem kapłańskim bronilem swojej racji tak z punktu widzenia kanonicznego, jak i z prawa cywilnego. Wiadomo było, że strajkujący, zdeterminowani robotnicy byli zagrożeni niebezpieczeństwem utraty życia. Był bowiem przygotowany desant na stocznię i flota wojenna radziecka stała w pogotowiu na redzie. Przyznali to w późniejszych latach sekretarz Partii KC Kania i sekretarz KW Tadeusz Fiszbach.*

*Na skutek mojej silnej argumentacji nieporozumienie z władzą kościelną zostało zlikwidowane. Władze państwowe zaś w tym wypadku nie zastosowały wobec mnie żadnej sankcji karnej. Jedynie korespondent polski radzieckiej „Literaturnoj Gazety” z 25 sierpnia 1980 roku, potępiając strajkujących, podał w artykule pt. „Terror pod osłoną ołtarza”, że „Znany w naszych krajach z zagorzałego antykomunizmu ksiądz Hilary Jastak wygłosił kazanie w Stoczni im. Komuny Paryskiej i udzielił robotnikom błogosławieństwa, jakiego udziela się przed rozpoczęciem wojny”.*

*Proboszcz parafii portowej w Gdyni o. Edward Ryba, redemptorysta, zakonnik gorliwy, odmówił stoczniovcóm udziału w mszy św. 17 sierpnia 1980 roku. Zagroził mu przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej, Krzeczkowski, że pójście ze mszą św. do stoczniovców będzie traktowane przez władze administracyjne jako sabotaż i że o.o. redemptoryści zostaną pociągnięci do odpowiedzialności karnej i administracyjnej. Wobec tego o. Ryba nie chciał narazić zgromadzenia o.o. redemptorystów na szkody i prześladowania. W uzgodnieniu zaś z delegatem Kurii Biskupiej z Pelplina*



przyjął przewodniczenie liturgii Mszy św. na okres kilkunastu dni, poczynawszy od 18 sierpnia w godzinach. Nasze układy z o. Rybą były zawsze konfraterskie i przyjazne. Współpracowaliśmy obaj duszpastersko harmonijnie z „Solidarnością”.

Bezpośrednio po odprawieniu mszy św. w stoczni, zwróciła się do mnie delegacja robotników portowych i stoczni remontowej „Nauta”, bym także dla nich odprawił mszę św. Uczyniłem to ochotnie.

Poświęciłem też Krzyż postawiony przez strajkujących robotników. Ten fakt związał mnie również w wymienionych zakładach pracy. Podobnie jak od „Solidarności” Stoczni im. Komuny Paryskiej, tak również od „S” Stoczni Remontowej „Nauta” otrzymałem z podziękowaniem piękne wydawnictwo pt. „Solidarność – sierpień 1980” oraz inne pamiętki. W ostatnich latach łączą mnie silniejsze więzi wzajemnej życzliwości z pracownikami Stoczni Gdyńskiej i ich związkami zawodowym „S”, a także ze Społecznym Komitetem Budowy Pomników Ofiar Grudnia 1970 r. Komitet ten bowiem mianował mnie swoim członkiem honorowym, jako trzeciego z kolei po Księdzu Prymasie Tysiąclecia Kardynale Stefanie Wyszyńskim i po prof. Januszu Groszkowskim prezesie PAN w Warszawie.

Po ogłoszeniu stanu wojennego w grudniu 1981 roku moje kontakty z członkami „S” wzmogły się. Interweniowałem u różnych instancji władzy administracyjnej, prokuratorской i sądowniczej w sprawach oskarżonych, uwięzionych, osadzonych i internowanych. Skoroszyty akt są pełne skarg, zażaleń, interwencji, korespondencji. Admiral Mar. Woj. Ludwik Janczyszyn zagroził mi aresztowaniem, wydając polecenie Prokuraturze Gdyńskiej.

W sierpniu 1982 r. Władze państwowe, chcąc się zemścić na mnie, aresztowały pod kościołem dwóch moich wikariuszy i pracownika świeckiego. Oskarżono ich w czasie doraźnego sądu – po dziesięciu wyreżyserowanych sprawach – o wystąpienia antypaństwowe i skazano na kary więzienia. Mam przekonanie, które podziela wiele osób, że zomowcy mieli dokonać aresztowania mojej osoby, ale nie udało im się tego zre-

alizować. Prawdopodobnie pomylili się co do osoby, aresztując świeckiego pracownika.

Gdy księża zostali osadzeni w więzieniu karnym w Potulicach, nie pozwolono mi ich odwiedzać w czasie siedmiomiesięcznego ich tam pobytu. Na każdym kroku szykanowano mnie. Kierownik Wydziału wyznań w Gdańsku wystąpił do Kurii Biskupiej Chełmińskiej z ostrzeżeniem usunięcia mnie ze stanowiska proboszcza parafii za obronę uwięzionych studentów braci Wyszkwoskich i odprawienie mszy św. w ich intencji, przy udziale licznych studentów i wiernych z Gdyni i całego Wybrzeża.

Po ciężkich przeżyciach i prześladowaniach, zachorowałem i przebyłem kilka operacji w szpitalu, wyczerpany fizycznie. Ukończywszy 70. rok życia, wstąpiłem z wnioskiem do Księdza Biskupa Chełmińskiego o przyznanie mi stanu emerytalnego. Postępując zgodnie z zaleceniem Soboru Watykańskiego II, Ks. Biskup przyjął mój dwukrotny wniosek i przyznał mi emeryturę od 1 lipca 1984 roku.

Od tego czasu zainteresowanie moją osobą ze strony władz bezpieczeństwa zmalało. W związku z przyjazdem Ojca św. do Gdyni byłem inwigilowany, kilka razy nawiedzany w mojej rezydencji przez panów z teczkami pod pozorem kolportowania ulotek antypaństwowych i dokonania rzekomej kradzieży zegarka w moim mieszkaniu.

W obecnym okresie przeżywam z wszystkimi Polakami troskę o dalsze losy Kościoła i Ojczyzny na tle kryzysu gospodarczego i bezpieczeństwa dla rodaków, zagrożonych przez zorganizowane gangi i mafie, wykorzystujące dla swoich przestępczych celów ustroj demokratyczny.

Tak o swoim życiu i działaniu mówił dla stoczniowców gdyńskich Ksiądz Jastak w 1991 roku. Ten wspaniały człowiek i kapłan odszedł od nas na zawsze, lecz pamięć o Nim pozostanie.

## Po roku

Gdańsk 27 lipca 1981

Komisja Zakładowa NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

Stocznia im. Komuny Paryskiej

G D Y N I A

ul. Czechosłowacka

*Warunkiem utrwalenia niezależności „Solidarności” jest dopuszczalność krytyki wszystkich organów przedstawicielskich, jak i działaczy związku, gdy swoim działaniem mogą doprowadzić do utraty niezależności lub niewłaściwej reprezentacji interesów rzesz szeregowych członków związku.*

*Najnowsza historia naszej Ojczyzny dostarcza nam wielu przykładów upadku nawet najzdrowszych inicjatyw i ruchów społecznych z powodu ograniczania demokratycznych mechanizmów kontrolnych, jak i zaniechania „dla dobra sprawy” krytyki czołowych działaczy i najwyższych organów. Los taki spotkał między innymi Rady Robotnicze już kilkakrotnie, po roku 1947, 1956 i 1970 w Szczecinie. Branżowe Związki Zawodowe, które z taką zaciekłością krytykowaliśmy w Sierpniu, były kiedyś przynajmniej w części niezależne od władz. To, że zostały uzależnione całkowicie, jest w części winą także mas członkowskich, które niedostatecznie kontrolowały swoich przedstawicieli. Podobne zjawisko obserwuję w szeregach „Solidarności”, gdzie coraz częściej autentyczne organy przedstawicielskie przekształcają się w ośrodki dyspozycyjne. W szybkim tempie przybywa nam przewodniczących, którzy*

twierdzą, że skoro raz wyborcy obdarzyli ich zaufaniem, to teraz mają prawo podjąć każdą decyzję bez konsultacji.

Od szeregu miesięcy najważniejsze dla naszego związku decyzje zapadają w gronie ekspertów warszawskich (Mazowiecki, Geremek, Celiński), bez wpływu na nie czołowych działaczy związku. Schemat taki na stałe wrósł w nasze związki. Znowu znaleźli się tacy, którzy lepiej od nas wiedzą, co dla nas jest najlepsze. Jeżeli taki ma być mechanizm decyzyjny w naszym związku, to w ciągu najbliższych lat organy przedstawicielskie przekształcą się w ośrodki dyspozycyjne, dla których szeregowi członkowie będą potrzebni jedynie do wykonywania poleceń. Nie zgadzam się z decyzją WZD naszego regionu, powierzenia tak daleko idących uprawnień w podejmowaniu decyzji jednej osobie. Każdy przewodniczący, jeżeli uzyska uprawnienia do bierania sobie współpracowników według własnego uznania, doberze tylko takich, którzy zawsze będą się z nim zgadzali.

Styl pracy tak wybranego organu będzie się identyfikował z charakterem osoby, która będzie przewodniczącym. Decyzja ta jest sprzeczna nie tylko z obowiązującym nas wszystkich statutem, ale i z zasadami demokracji tak przez nas głoszonymi. Uważam, że nikt nie może decydować o nas bez nas, nawet Lech Wałęsa. Jest on tak samo człowiekiem i tak samo jak każdy z nas może się mylić, tylko że błędy przywódcy związku uderzają bezpośrednio w miliony ludzi. Pracowałem z Lechem wystarczająco długo, by poznać jego styl pracy. Uznałem za swój moralny obowiązek poinformowanie przynajmniej tych, którzy obdarzyli mnie zaufaniem w czasie walki, że związek nasz (czołowi działacze) może obrać złą drogę. W 1970 roku L. Wałęsa był jednym z tych, którzy wyprowadzili gdańskich stoczniovców na ulice miasta. Jednak gdy doszło do otwartej walki, w czasie ataku stoczniovców na KM MO, przeszedł on na stronę milicji. To on w towarzystwie oficerów milicji, stojąc w jednym z okien tejże komendy, wzywał atakujących do odwrotu. W odpowiedzi posypał się grad kamieni i okrzyki: zdrajca. Bez względu na to, czym się kierował, postępowanie takie zawsze nazwę zdradą: – 15 sierpnia, pierwszego dnia strajku w „Komunie”, wybraliśmy delegację Komitetu Strajkowego, która pojechała do

Stoczni Gdańskiej z deklaracją poparcia strajkujących oraz z propozycją utworzenia wspólnego Komitetu Strajkowego. Delegacja ta otrzymała krótką, ale jednoznaczną odpowiedź Lecha: „Stocznia Gdańska jest tak silna, że poradzi sobie sama i nie potrzebuje niczyjej pomocy. A jak Gdynia chce strajkować, to niech strajkuje sama”. 16 sierpnia Lech Wałęsa podpisuje porozumienie z dyrektorem Stoczni Gdańskiej odwołujące strajk w Stoczni, doprowadzając tym do częściowego załamania się strajku w zakładach Trójmiasta.

- 28 sierpnia Wałęsa przekazuje Wojewodzie Kołodziejskiemu tekst apelu do społeczeństwa, którym chce odwołać strajki w całym kraju. Pięć godzin trwa tłumaczenie mu, że to błąd.
- 2 października Wałęsa pod naciskiem wojewody podejmuje decyzję o odwołaniu strajku ostrzegawczego, ustalonego na dzień 3 X 80. Przekazuje Kołodziejskiemu tekst wystąpienia, które ma nagrać dla telewizji. Zwołuję prezydium – po dwóch godzinach Wałęsa wycofuje się.
- 28 marca gotowość strajkowa. W mieszkaniu Celińskiego Wałęsa wspólnie z Mazowieckim i Geremkiem ustala, że strajk zostanie odwołany bez względu na wynik porozumienia – o czym informują Rakowskiego. Cały Naród jeszcze dwa dni czekał w napięciu na wynik, zdawałoby się najtrudniejszych, negocjacji.

Kontakty bez upoważnienia związku z Kanią i Jaruzelskim (w cztery oczy), rozrzutność w wydawaniu pieniędzy związkowych (pobyt we Włoszech, w hotelu „Solec” w Warszawie), tolerowanie bałaganu organizacyjnego w MKZ-cie, a nawet przeciwstawianie się próbom zaprowadzenia porządku, na pewno sprzyja różnego rodzaju spekulacjom, ale wcale nie wystawia dobrego świadectwa naszemu przywódcy.

Jeżeli pozbędziemy się autentycznych organów kontrolnych i stłumimy krytykę działaczy, by nie przyćmić blasku ich zasług, to natychmiast spotkamy się z samowolą na każdym szczeblu władzy związku. Wówczas na pewno za późno będzie, by coś zmienić.

**Andrzej Kołodziej**

Gdy w niespełna rok po pamiętnym „Sierpniu” postanowiłem przedłożyć tak krytyczną opinię o sytuacji w „Solidarności” – związkiem faktycznie kierowali doradcy ze swoją sztandarową postacią, Andrzejem Celińskim, a szarą eminencją na dworze Wałęsy był Mieczysław Wachowski – nie wiedziałem jednak, że zjawiska te będą tak trwałe.

Niniejszy tekst przedstawiłem podczas Walnego Zebrania Delegatów na Pierwszy Krajowy Zjazd NSZZ „Solidarność” w Stoczni Gdyni 27 lipca 1981 roku. Podczas wystąpienia, które transmitowane było dla całej stoczni, w swoich wypowiedziach posunąłem się znacznie dalej. Niestety, niewielu potraktowało poważnie moje słowa. Mówiłem o niebezpiecznych mechanizmach decyzyjnych w „Solidarności”, o dziwnej roli Wachowskiego czy nielojalności Wałęsy.

To wówczas – po raz pierwszy – ogłosiłem publicznie, że Wałęsa był współpracownikiem bezpieki po 1970 roku. W tamtym czasie żyło jeszcze wielu świadków wydarzeń 70 roku. On sam nie odważył się temu zaprzeczyć. Wskazywałem, jak bardzo niebezpieczna może być samowola Wałęsy w kontaktach z ówczesną władzą w sytuacji, w której Jaruzelski groził wprowadzeniem stanu wyjątkowego. Wówczas uważałem, że są to sprawy ważne i podstawowe dla nas. Dziś mamy to już za sobą i jakoś nie sprawia mi satysfakcji, że wówczas tak bliski byłem prawdy o nadchodzącej przyszłości. Lecz zanim do tego doszło, musiała powstać „Solidarność” i o tym wspomniałem w czasie chciałbym wspomnieć.

Dlatego dzisiaj, w dobie inflacji słów, pustych deklaracji i nierealizowanych obietnic, chciałem w skrócie przypomnieć o czymś, co zawsze było dla mnie ważne.

O tym, jak rodziła się, wylaniała się z mroków komunizmu wspinała międzyludzka solidarność, a przede wszystkim jak Honoru Sierpniowego Strajku broniła Stocznia Gdynia w czasach, gdy Wałęsa nas zdradził.

## Epilog

Strajk sierpniowy w stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni był najczystszy i najbardziej autentyczny robotniczej rewolucji. To Stocznia Gdynia, jako pierwszy strajkujący zakład, zażądała wolnych związków zawodowych i pierwsza wystąpiła z postulatami politycznymi. Nie uwikłaliśmy się w intrygi polityczne z dyrekcją. Nasza postawa była jasna i czysta, byliśmy zdecydowani walczyć o wyznawane przez nas wartości. I tego oczekiwaliśmy od innych.

Bardzo szybko zgłębialiśmy zasady demokracji. W okresie zaledwie dwóch tygodni z jednoosobowej dyktatury wypracowaliśmy w pełni demokratyczny, sprawnie działający system zarządzania przedsiębiorstwem w jakże trudnych okolicznościach. Wszystkie ważne decyzje podejmowane były jawnie, po uprzedniej konsultacji z całą załogą. Zasady wyborcze ustalaliśmy sami i stosowaliśmy się do nich. Prawa i nakazy wynikające z nadzwyczajnej sytuacji, w jakiej byliśmy, ustanawialiśmy wspólnie i konsekwentnie ich przestrzegaliśmy. Widzieliśmy nie tylko własne potrzeby, ale przede wszystkim potrzebę pomocy innym, słabszym. Rodziła się wśród nas swoista wspólnota, taka zwyczajna solidarność. Tak mogło się rodzić państwo solidarne. Niestety, w naszych kalkulacjach nie uwzględniliśmy interesów elit politycznych Warszawy. Dlatego za naszą bezkompromisowość i surowość zasad byliśmy krytykowani przez tych, którzy tego nie potrafili albo też nasze szczerze intencje

postanowili wykorzystać dla własnych celów politycznych. Klasycznym przykładem jest Stocznia Gdańska, wówczas potępiająca nas za radykalizm, ponieważ nie potrafiła przetrwać trzech dni strajku, a dziś przypisująca te cechy własnemu działaniu, przekłamując historię dla potrzeb własnych.

Wielokrotnie zadawano mi pytanie: – Czy strajk sierpniowy nie był choć w części inspirowany przez władze? Naiwnością byłoby sądzić, że w państwie totalitarnym cokolwiek w dziedzinie polityki odbywa się bez wiedzy czy udziału służb specjalnych. Tak było i tym razem. Fala strajków, jaka przetaczała się przez Polskę latem 1980 roku, na pewno nie była dziełem przypadku. Dziś jest wiadomo, że przynajmniej niektóre z nich były dziełem prowokacji. Z pewnością pojedyncze lokalne strajki, łatwe do opanowania, miały rozładować narastające niezadowolenie społeczne wywołane pogłębiającym się kryzysem ekonomicznym. Prawdopodobnie miały też doprowadzić do „wymuszonych” zmian politycznych. Tak zastał nas sierpień. Sezon urlopowy. Wielu ludzi nie przebywało w miejscu swojego zatrudnienia. Można było więc przypuszczać, że nie dojdzie do zbyt wielkiej mobilizacji ewentualnych strajkujących zakładów. Każdy fachowiec w tej dziedzinie uznałby, że przedwczesne wywołanie nieprzygotowanego strajku zakończy się krótkotrwałym sporem i niewielkimi ustępstwami na rzecz robotników. Miało to zadziałać jak swoisty wentyl bezpieczeństwa.

Prowokacyjne usunięcie Ani Walentynowicz ze Stoczni Gdańskiej wydaje się być tego dowodem. W następstwie takiego kroku miał być krótki strajk, w wyniku którego pani Ania powróciłaby do pracy, a stoczniovcy otrzymaliby niewielką podwyżkę. I tak narastające napięcie w największym na Wybrzeżu gdańskim zakładzie pracy mogło prysnąć jak bańka mydlana. Postępowanie Wałęsy w pierwszych dniach strajku jest dowodem na to, że był on sterowany. Odмова tworzenia wspólnego Komitetu Strajkowego, unikanie postulatów politycznych, dążenie do szybkiego zawarcia porozumienia z dyrektorem w obawie przed narastającą



falą strajków w Trójmieście, jest bardzo wymowne. Niezrozumiałe dla nas wówczas jego postępowanie dziś staje się bardzo przejrzyste. Podpisanie porozumienia z dyrektorem w Stoczni Gdańskiej 16 sierpnia 1980 roku miało doprowadzić do załamania się strajków w innych, mniejszych zakładach pracy Wybrzeża. Miało, ale tak się nie stało. Dlaczego?

Do pewnego momentu wszystko szło według planu, ale kto mógł przewidzieć, że po podpisaniu skandalicznego porozumienia resztki honoru stoczni obronią trzy niewiasty (Ania, Alinka i Henia) i garstka przypadkowych, zatrzymanych przez panie stoczniowców. Kto mógł przewidzieć, że w Stoczni Gdyni znajdzie się nikomu nieznanym młody człowiek, który podporządkuje sobie dziesięcioletnią żonę i narzuci jej zaakceptowanie niespotykanych dotąd żądań politycznych.

To takie nieprzewidywalne zjawiska miały decydujący wpływ na dalsze losy strajku. Ten sobotni przełom, determinacja i wola walki wbrew zamierzeniom Wałęsy i Bóg wie kogo jeszcze, spowodowały w następnych dniach lawinę strajków. Nastąpiło to błyskawicznie i było ich zbyt wiele, by można było nimi sterować z zewnątrz.

Pewną niechlubną rolę mieli tu odegrać tak zwani doradcy, przysłani z Warszawy. Pod pozorem pomocy intelektualnej mieli za zadanie odwieść nas od radykalnych żądań politycznych. Ale to się nie powiodło. Gdy pojawili się w stoczni, strajkujący uwierzyli już w zwycięstwo i nie sposób było to zmienić. Grupa działaczy z WZZ-ów, która kierowała strajkiem, była dobrze przygotowana i zdecydowana walczyć do osiągnięcia nakreślonego celu. Wobec rozlewającej się fali strajków w całej Polsce, władze w Warszawie znalazły się w bezprecedensowej sytuacji, której w początkowym okresie nie potrafiły rozwiązać. Zapewne taki stan wahania potrwałby dłużej, gdyby nie pojawiła się pewna sprzyjająca im okoliczność. Otóż, śmiem twierdzić – za Kornelem Morawieckim – że Porozumienie Sierpniowe podpisałyśmy tak szybko dzięki... agentom. Dziś, gdy odtajnione zostały dokumenty z tamtych czasów, wydaje się to bardzo logiczne. Trzy główne ośrodki

strajków sierpniowych kontrolowane były przez agentów. W Gdańsku był Wałęsa, w Szczecinie Jurczyk, a w Jastrzębiu Sienkiewicz. Co do roli, jaką pełnili w tamtym okresie ci trzej faceci, dziś znane dokumenty nie pozostawiają żadnych wątpliwości.

Idąc dalej tym tropem, uznać możemy, że taki stan rzeczy pozwalał Warszawie przypuszczać, iż dalsze poczynania mającego powstać nowego ruchu zawodowego pozostaną pod całkowitą kontrolą. Przypomnę w tym miejscu, że wówczas tylko w Porozumieniu Gdańskim była mowa o tworzeniu Niezależnego Związku Zawodowego, i to tylko w skali regionalnej. W Szczecinie postanowiono jedynie o nowych wyborach w ramach istniejących związków zawodowych. Takie rozumowanie niepozbawione więc było podstaw. Można rzec, że komuniści uchylili nam drzwi, a o reszcie zdecydowały nasze przymioty narodowe. Gdy poczuliśmy powiew wolności, byliśmy nie do zatrzymania i po miesiącu było nas dziesięć milionów. A to już było coś, czego nikt nie przewidział.

# Żyję w walizce...

Z Andrzejem Kołodziejem  
rozmawia Małgorzata Sokołowska



● Miał pan 18 lat, gdy zaangażował się w działalność opozycyjną, 21 – gdy zorganizował strajk w Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni i został wiceprzewodniczącym Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego. Rok później siedział pan w więzieniu w Czechosłowacji, w wieku 26 lat zorganizował „Solidarność Walczącą” w Trójmieście, a zanim skończył trzydziestkę, był najbardziej poszukiwanym przez milicję człowiekiem w Polsce. „Wrogiem publicznym” numer jeden.

Świadomie wybrałem taką drogę życia. Dusilem się w tym ustroju, chciałem żyć normalnie i byłem przekonany, że będzie to możliwe tylko w wolnej Polsce. Wielkim wstrząsem było dla mnie to, co wydarzyło się w grudniu 1970 r. na Wybrzeżu. Byłem wtedy jeszcze szczeniakiem, ale dobrze to pamiętam. Rozumiałem urywki tego, co mówiono w radiu i co mówili rodzice ukradkiem, żeby dzieci nie słyszały. Zdałem sobie jednak sprawę, że władza kazała strzelać do ludzi, którzy chcieli jeść. I nikt wtedy nie wierzył (jak usiłowała wmawiać ludzom PZPR), że były to grupy chuliganów. Podziwiałem, że robotnicy zdołali się przeciwstawić władzy, podziwiałem tę ich jedność i determinację. W mojej wyobraźni powstał obraz wielkiej stoczni, pełnej wspaniałych, solidarnych ludzi... A ja żyłem daleko od tego, gdzieś w małej mieścinie w Bieszczadach, gdzie ludzie zaspokajają swe codzienne potrzeby, ale na nic więcej ich nie stać. Zastanawiałem się, czy życie musi być takie, jakie nas otacza tu, w tym grajdole. Raziło mnie samograniczanie się ludzi. Młodzi, do 16-17. roku życia, patrzyli

na świat jeszcze trochę idealistycznie, ale im bliżej było końca szkoły, tym bardziej zaczynali obniżać pułap ambicji i dążeń. Rezygnowali z wcześniejszych marzeń i dopasowywali się do istniejących schematów.

A potem był rok 1976. W czerwcu wybuchły strajki w Ursusie i Radomiu. Bito i więziono ludzi. Rodziło się we mnie poczucie bezsilnej wściekłości i nienawiści do komuny, która z ludźmi robi, co się jej podoba. A później irytowały mnie te gierkowskie wiece. Nawet dla mnie, siedzącego gdzieś tam w bieszczadzkiej wsi, było jasne, że to wszystko było sztuczne, pozorowane. Znałem przecież mechanizm zmuszania ludzi do udziału w pochodach pierwszomajowych. Gdy powstał KOR, nie bardzo rozumiałem, co to jest, ale zaimponowało mi, że znaleźli się ludzie, którzy chcieli się tej władzy jawnie przeciwstawić, nie bali się i pragnęli pomóc robotnikom.

### ○ Kiedy wyjechał pan z Bieszczadów?

Dość wcześnie zacząłem myśleć o usamodzielnieniu się od rodziców. A gdy miałem szesnaście lat, już się mocno wyrывałem. Zdecydowałem, że wyjadę zaraz po skończeniu szkoły zawodowej. Wiedziałem, że jako ślusarz prawie wszędzie dostanę pracę. Chciałem jechać do innego świata, do tej stoczni, do tej siły, do tej masy ludzkiej. Chciałem być wśród tych wspaniałych ludzi, na których kilka lat wcześniej zwróciły się z podziwem oczy całej Polski. Przekonany byłem, że tam ludzie żyją inaczej, że tam człowiek może być bardziej wolny. I gdy wejdę między nich, będę się mógł czegoś nauczyć i lepiej czuć.

W ostatnie wakacje przed podjęciem pracy jeździłem po południowej Polsce, byłem w Krakowie i Wrocławiu. Odwiedziłem jeszcze Warszawę i stamtąd pojechałem do Gdańska.

Już z dworca zobaczyłem potężne dźwigi stoczni. To tu była właśnie ta stocznia, ta potęga. Miałem wyuczony zawód, byłem młody, nie było więc żadnych trudności z uzyskaniem zatrudnienia. Załatwiłem ileś tam formalności,

przeszedłem badania lekarskie i od września 1977 r. zacząłem pracę. Moi nowi koledzy okazali się bardzo sympatyczni. Jednym z nich był Roman Detlaf, wyrzucony po 1970 roku ze stoczni w Gdyni za udział w strajku. Ale gdy zapytałem go, jak to było wtedy, w Grudniu, powiedział:

– Ty się lepiej tym nie zajmuj. Tu działy się różne rzeczy. Wielu ludzi za to mnóstwo wycierpiało.

Ale potem poszliśmy gdzieś po pracy i opowiadał mi, jak było. Gdy mówiłem mu, jak ja to widziałem, o tej wspólnałości, trochę się śmiał.

– Niestety, tak to ani nie wygląda, ani nie będzie. I bardzo uważaj, z kim rozmawiasz. Już widzę, że wcześniej czy później narobisz sobie kłopotów.

Szybko dotarło do mnie, że w wyobraźni zbudowałem sobie mit tej stoczni. Były to tylko idealistyczne wyobrażenia o ludziach, którzy siedem lat po Grudniu jeszcze po prostu się bali. I niczym nie różnili od tych, wśród których wyrosłem i od których chciałem uciec. Wtedy jeszcze mocniej zdałem sobie sprawę z tego, że jeśli to mi się nie podoba i nie chcę tego zaakceptować, jeśli chcę żyć inaczej, to sam muszę się starać to zmienić. Wiedziałem już, że także w Trójmieście działa Komitet Obrony Robotników, a później dowiedziałem się o Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela.

**○ O tym jest ta właśnie książka. O Wolnych Związkach Zawodowych i o strajku sierpniowym. W 1981 r. odszedł pan z MKZ-u.**

Wielu działaczy miało już wtedy poczucie walki z wiatrakami, bo tak można określić próby przeciwstawienia się pewnym mechanizmom kierowania związkiem. Mnie też trudno było się z tym pogodzić, widziałem zło i czułem, do czego prowadzi, ale zdawałem sobie sprawę, że nie mam na to prawie żadnego wpływu. Wiedziałem, że dalej wszystko będzie szło tak, jak tego chce kilku ludzi, którzy decydowali o związku i praktycznie za związek. Uważałem, że bez sensu

jest moja obecność w związku, gdy nie zgadzam się z podejmowanymi decyzjami, a nie mogę im przeciwdziałać.

Był to okres wysuwania kandydatur przed wyborami do władz „Solidarności”. Postanowiłem, że nie będę kandydował i po wyborach zajmę się inną działalnością. Już wtedy jednoznacznie widziałem potrzebę przygotowania się do działań bardziej konkretnych, bo było dla mnie jasne, że „Solidarność” albo podporządkuje się władzy, albo zostanie rozbita w momencie, gdy się sama zdemobilizuje. Wiedziałem, że w obu wypadkach czeka nas działalność konspiracyjna. Może podobna do takiej, jaką prowadziliśmy przed Sierpniem, może w innej formie, ale w każdym razie trzeba było się do niej przygotować.

Byłem idealistą i pragnąłem wierzyć w zwycięstwo szlachetnej idei. Już w pierwszych dniach września 1980 roku wiedzieliśmy o Wałęsie prawie tyle, co dzisiaj publikuje IPN. Było to porażające, ale nikt nie chciał reagować. W prezydium była nas tylko połowa, a i to tylko pozornie. Był taki plan, by ujawnić fakt, że Wałęsa jest agentem. Niestety, nie doszliśmy do porozumienia. Przeciw był Bogdan Lis, a za – Joanna Gwiazdowa. Miało to podobno szkodzić w karierze. Komu? I tak plan pozostał w sferze dyskusji.

Wróćmy jednak do okresu przed wyborami. W kwietniu 1981 r. doszło do tego, że całe prezydium gdańskiego MKZ-u podało się do dymisji. Przyczyną były decyzje podejmowane jednoosobowo przez Wałęsę. Czuliśmy, że nie mamy na nic wpływu i mieliśmy tego dosyć. To właśnie wówczas, na specjalnym posiedzeniu Wałęsa powiedział coś, co można uznać za przyznanie się do współpracy z bezpieką. Na moje pytanie, jak zachował się w grudniu 1970 roku, gdy sprzedawał własnych kolegów, odpowiedział:

– Każdy może się przecież pomylić. – I wyszedł.

To wówczas zapadła decyzja o dymisji. Wszyscy moi koledzy z tamtych czasów świadome wybrali karierę u boku „Wała”, a ja, przekonany o jego nieuczciwości, poszedłem własną drogą.

W prezydium zasiadali wtedy ci sami ludzie, którzy byli w prezydium Międzyzakładowego Komitetu Strajko-



wego w Sierpniu, a więc ci, którzy doprowadzili wówczas do zwycięstwa.

Decyzja o ustąpieniu wywołała szok wśród działaczy w zakładach pracy. Ich przedstawiciele zaczęli nas namawiać, abyśmy wycofali decyzje, bo rozkłada to związek. Wyjaśniliśmy im, że trudno jest czuć się dobrze w roli długopisu, który kto inny trzyma w ręce, i podpisywać rzeczy, z którymi się nie zgadzamy. Co innego, gdyby decyzje podejmowała większość – wtedy trzeba by się podporządkować. Ale decydował o wszystkim jeden człowiek, reszta tłumaczyła mu bezskutecznie, że popełnia błędy i robi źle.

Ulegliśmy jednak namowom. Powiedzieli, że porozmawiają z Wałęsą i skłonią go do liczenia się ze zdaniem ogółu. Prosimi, żebyśmy przynajmniej doprowadzili związek do wyborów i namówili nas i Wałęsę na szczerą rozmowę. Odbyła się ona w Gdańsku w jakimś sadzie.

Dzień przed tą rozmową, wieczorem dowiedziałem się o pewnych przygotowaniach, jakie czynił Celiński. Zbierał ludzi z większych zakładów pracy, którzy mieliby ewentualnie wejść w skład nowego prezydium. W rozmowie z Wałęsą Celiński ustalił, że przygotowana zostanie nowa ekipa, Wałęsa najpierw zgodzi się ze wszystkim, co my powiemy, a dwa tygodnie później wystąpi publicznie z wnioskiem o usunięcie całego prezydium, bo nie dajemy mu pracować. Dowiedziałem się o tym od sekretarki Wałęsy, którą zbulwersował ten plan. Nie powiedziałem o tym nikomu, bo najpierw chciałem posłuchać, co będzie mówił Wałęsa. Zgodził się z naszymi uwagami, przeprosił za dotychczasowe postępowanie i obiecał, że teraz będzie bardziej wrażliwy na nasze opinie. Gdy skończył, zapytałem, czy może powiedzieć, co teraz robi Celiński. Trochę się zmieszał, ale nie był pewny, czy o tym wiem. Powiedziałem więc, że Celiński przygotowuje grupę ludzi, którzy mają nas zastąpić za dwa tygodnie, i że on wystąpi z wnioskiem o usunięcie prezydium. Po dłuższej pauzie Wałęsa powiedział:

– No, przecież musiałem się jakoś bronić.

W okresie wyborów większość działaczy była przekonana, że „Solidarność” jest już tak trwałym elementem polskiego krajobrazu politycznego, że nic jej nie grozi. Lansowano więc teorię, że do władz związku trzeba wybierać nie ludzi bojowych, lecz nastawionych na spokojną pracę.

Wtedy razem z Borusewiczem zaczęliśmy przygotowywać zabezpieczenie techniczne na wypadek akcji władz przeciw „Solidarności”. Do moich obowiązków od początku należało zabezpieczanie centrali „Solidarności” w sytuacjach bardziej gorących. Zajmowałem się też zbieraniem informacji o ewentualnych działaniach przeciw związkowi ze strony władzy. Wiązało się to również ze zorganizowaniem sieci łączności z dużymi zakładami pracy oraz sieci informatorów w różnych rejonach kraju. Była to jedyna „cicha” struktura związku. Szczególnie ważne było uzyskiwanie dostępu do bardzo istotnych dla nas informacji o tym, co dzieje się w policji i wojsku. Chodziło o to, żebyśmy orientowali się na bieżąco i mogli na czas wykryć zagrożenia. Taka była moja normalna działalność, a z Borusewiczem przygotowaliśmy zaplecze dla związku na wypadek stanu wyjątkowego. Chodziło o bezpieczne mieszkania, zaplecze techniczne, głównie poligraficzne – maszyny z kompletami matryc, zapasy papieru i farby. Były już przygotowane ulotki do wojska, policji i ludności, na których trzeba było tylko wpisać datę. Po wyborach zaproszono Borusewicza i mnie na spotkanie z nowym prezydium Zarządu Regionu Gdańskiego „Solidarności”. Chcieli, abyśmy przekazali informacje na temat zabezpieczenia związku. Powiedziałem Bogdanowi, że na to spotkanie nie pójdę. Uważałem, że tym ludziom nie można przekazać naszych kontaktów i źródeł informacji, aby nie narażać tych, którzy mają do nas zaufanie. Gdy spytał, dlaczego miałoby to tych ludzi narażać, opowiedziałem mu zdarzenie sprzed paru dni. Zażądano ode mnie kluczy od urządzonego przeze mnie specjalnego pomieszczenia, z którego była utrzymywana cała łączność, gdzie był cały sprzęt. Powiedziano mi, że trzeba to usunąć z biura „Solidarności”, bo związkowi jest to niepotrzebne. Rozmawiałem z Wałęsą i powiedziałem mu,

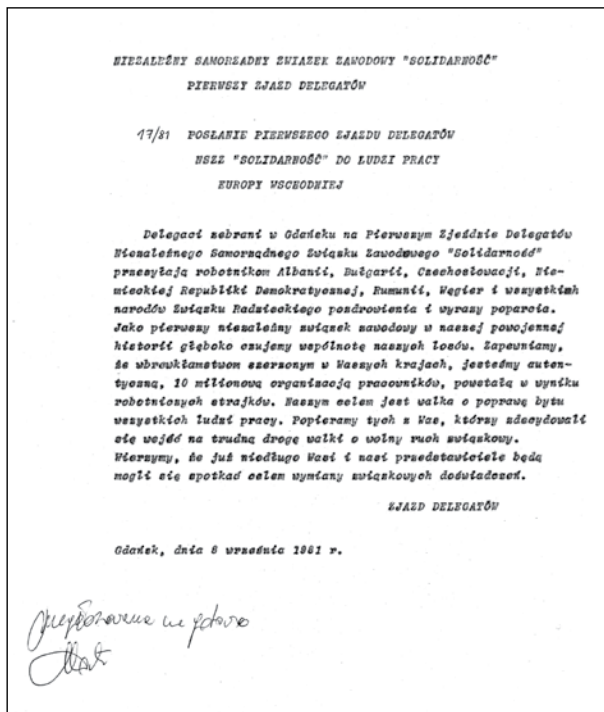
że jest to podejście absurdatne. Jest to sprzęt organizacyjny, konieczny dla bezpieczeństwa związku.

– Trzeba to robić z głową i wykorzystać to, co już jest – mówiłem. – Nie wyobrażam sobie, jak chcecie się zabezpieczyć przed atakiem na związek, nie mając niezależnej łączności. Chcesz liczyć na telefony, które ubecja natychmiast zablokuje? Tu mamy sieć łączności z dużymi zakładami pracy i różnymi służbami cywilnymi. Ja tego nie zabiorę na plecy i nie wyniosę, bo władza od razu to wszystko skonfiskuje.

Wąłęsa nie bardzo rozumiał te sprawy, a jeden z jego najbliższych współpracowników dał mi trzy dni na zabranie sprzętu i zagroził, że jak tego nie zrobię, sprowadzi milicję i przy niej każe otworzyć drzwi.

Wziąłem wtedy głęboki oddech i zapytałem sam siebie: – Gdzie ja właściwie jestem? Czy nie pomyliłem instytucji? – Trzasnąłem drzwiami i wyszedłem bez słowa. Powiedziałem Bogdanowi Borsewiczowi, że w świetle tego wszystkiego nie zamierzam niczego przekazywać. Jest to własność „Solidarności”, a nie moja. Może to kiedyś wykorzystają. A innych informacji im nie przekażę. Bogdan poszedł na to spotkanie. Parę godzin później przyszedł i powiedział, że krew mu się zagotowała. Pierwszym punktem narad było: „Co robić i jak się zachować, aby nie dopuścić do strajków w wypadku zamykania działaczy?”. Bogdan nie wytrzymał, powiedział im, co o tym myśli i wyszedł. Za nim wyszedł Lis i powiedział, że zamierzał zająć podobne stanowisko. Później dowiedzieliśmy się, że właśnie Lis i Andrzej Kosicki przygotowali ten temat.

Krótko potem usłyszeliśmy, że ktoś nas pomawia o zabieranie sprzętu dla KOR-u. Tłumaczyliśmy, że sprzęt ten jest chowany na wypadek akcji antyzwiązkowej. Są to nie-duże ilości, więc „Solidarność” nie straci, a musi mieć jakieś zaplecze. Nie udało się jednak ich przekonać i na zjeździe zażądano zwrotu sprzętu. W listopadzie wrócił więc do siedziby „Solidarności”, a już 13 grudnia 1981 r. znalazł się w rękach bezpieki.



Słynne Posłanie do Ludzi Pracy Europy Wschodniej

Takie postawy, jak Kornela Morawieckiego, który na zjeździe nawoływał do przygotowania obrony związku na wypadek stanu wojennego, były wtedy bardzo odosobnione.

● Dość często wyjeżdżał pan na południe kraju i do Czechosłowacji.

W centrali „Solidarności” odpowiadałem za kontakty i tworzenie struktur regionalnych związku, dlatego wielokrotnie osobiście sprawdzałem stan faktyczny realizacji moich ustaleń z przedstawicielami tych regionów. Śląsk był największym i bardzo waż-

nym regionem, a dowiedzieliśmy się, że Jarosław Sienkiewicz kontaktuje się z sowieckimi agentami. Często więc tam bywałem. Przy okazji dowiedziałem się, że wielu mieszkańców przygranicznych terenów pracuje po stronie czeskiej. Mój duch rewolucjonisty nie pozwolił mi tego zaniedbać. Natychmiast zaproponowałem przenoszenie materiałów „S” na tamtą stronę. Znaleźli się chętni. Nie zastanawiałem się wówczas, czy mogą wśród nich być agenci. Jeśli chcieliśmy wygrać z komuną, to musieliśmy szukać kontaktów i podejmować ryzyko. Dostarczałem więc chłopakom bibułę i czasem pieniądze na podróż.

## ROZMOWA Z ANDRZEJEM KOŁODZIEJEM

Drugą sprawą byli studenci czeszy uczestniczący w strajku łódzkim. Miłym zaskoczeniem było dla mnie, gdy do Gdańska przybyła delegacja strajkujących prosić o pomoc nasz związek, a w jej składzie byli Czesi. Pomogłem im uzyskać wsparcie nie tylko duchowe, ale i materialne. I to im zaproponowałem przerzut materiałów w języku czeskim (z jedną z tych osób, Lindą Winsh siedziałem potem w tym samym więzieniu w Pradze). Gdy zrezygnowałem już z pracy związkowej, zajmowałem się już czym innym. Sam wydawałem publikacje, ale już nie związkowe, a przeszedłem już całkowicie w nurt niepodległościowy i antysowiecki.

Po *Apelu do ludzi pracy Europy Wschodniej* trochę po koczaku wybrałem się do Czech. Wówczas nie wiedziałem, że od

*A. Kołodziej* *MEPE*

V Pradze dne 22. října 1961 177

PRO BUDOVU PŘEDSÍDĚ  
PRACOVNÍHO STRÁNKY

Výsledek 4.1/1  
Počet listů: 1  
Přílohy: 2

Sp. j. M-001040/03-1/81

20. listopadu 1961

*lystky z 3 zmiňují*

*23. 11. 1961*

Václav: Zasedání posadky k PLR st. příjel.

Vážený souzruhu,

v příloze zasílám posadky k PLR státnímu příslušníku Andrzeji KOŁODZIEJOWI, které se nacházejí ve fondu sdělní správy.

Se souzružským pozdravem

generál. BDR. Vladimír Stránek

Vypracoval: \_\_\_\_\_  
Skladil: \_\_\_\_\_  
Vypsal: *Černý*  
Datum: \_\_\_\_\_

INFORMACE - Andrzej KOŁODZIEJ nar. 29. 11. 1929

s PLR

Představitel PRV rezidentury čs. kontrarozvědky ve Varšavě vytěšením spolupracovníka "KO-6863" získal následující poznatky k osobě představitele KORU PLR KOŁODZIEJOWI (foneticky).

Zamovaný dne 19. 8. 1960 předložil návrh, aby každý stávající závod vybral jednoho delegáta na 1000 zaměstnanců s cílem uskutečnit konferenci v Gdaňsku, která by zvolila nový stávkový výbor předsedá stávkového hnutí v PLR, a který by současně projednával všechny požadavky a vedení státu.

Prostřednictvím spolupracovníka "KO-11771" byla dne 29. 10. 1960 získána informace s pokračujícího jednání představitelů nesváziálních odborů "SOLIDARNOŚĆ" v Gdaňsku. V diskusi zazněly rozpory jak dále řešit situaci, zda jít do stávky nebo ne. Většina diskutová byla proti stávce, kterou označovali za poslední možnost obrany a že nyní je třeba použít jiné formy nátlaku na stát. Delegace ze 17 krajů podporovaly stanovisko WALKESY, odvolat se k nejvyššímu soudu proti rozhodnutí Varšavského soudu doplnit jejich statut o některé politické otázky. Delegace z 5 krajů navrhovaly podat odvolání přímo SBMMU.

Představitel KOR a nesváziálních odborů z Gdyně KOŁODZIEJ ve svém vystoupení obvinil vládu, že si dělá co chce, že ovlivnila jednání Varšavského soudu a proto je třeba nechat a jít do stávky, neboť ai to kladají praxou. Dále uvedl, že vedoucí dílnu strany neuznával, neboť strana neřídí stát, ale řídí ho dělnická tří-

Raport dotyczący inwigilacji Andrzeja Kołodzieja i jego rodziny (liczący ok. 4 tys. stron), podpisany przez rezydenta czechosłowackiego wywiadu w Polsce, rok 1981

kilku miesięcy interesuje się mną czeski wywiad wojskowy. Odwiedziłem Ostrawę, Frydek Mistek, Cieszyn, Pragę, a potem...

**○ Szesć dni po przekroczeniu granicy został pan aresztowany.**

Na szczęście nie miałem już nic przy sobie. Później, w areszcie śledczym w Pradze, pokazano mi zeznania dwóch Polaków, których przesłuchiowano w kraju. Były tam nazwiska, kwoty pieniędzy, jakie miałem przewieźć, i dość dokładny spis materiałów. Więcej nie wiedzieli, więc usiłowali mi coś przyszyć, od próby przedostania się na Zachód do przemytu broni do Polski. Ale nie mogli mnie o nic zahaczyć, choć prawo w Czechosłowacji było bardzo rozciągliwe. W końcu odpowiadałem za nielegalny pobyt w Czechosłowacji. Czesi chcieli mnie odwieźć do Polski, ale nie zgodził się na to ówczesny prokurator generalny PRL Czubiński. Dwa razy występował oficjalnie do władz czechosłowackich, aby zatrzymały mnie u siebie ze względu na sytuację w Polsce, a potem skazały i żebym wyrok odsiedział w Czechosłowacji.

Dla Czechów było to sytuacja dość niewygodna. Do niczego się nie przyznałem i niczego nie mogli mi udowodnić. W takich wypadkach aresztowanego odsyłało się do Polski, gdzie za nielegalne przekroczenie granicy groziło tylko kolegium do spraw wykroczeń. Już wcześniej prowadzący śledztwo musiał zrezygnować z zarzutu, że chciałem przedostać się na Zachód, bo wtedy w Polsce bardzo łatwo było otrzymać paszport. Uczepiono się więc zarzutu, że przebywałem na terenie Czechosłowacji nielegalnie. Ale też nie bardzo wiedziano, co z tym zrobić. Dopiero wprowadzenie w Polsce stanu wojennego rozwiązało ręce prowadzącemu śledztwo.

**○ Wyczuwał pan tam, w czechosłowackim więzieniu, przygotowania do stanu wojennego?**

Coraz bardziej niewybredne paszkwile na „Solidarność”, zamieszczane przez partyjne „Rude Pravo”, jedyną gazetę,

jaką mogli czytać więźniowie aresztu śledczego, utwierdzały mnie w przekonaniu, że zbliża się jakieś rozwiązanie siłowe. Na dwa dni przed trzynastym grudnia zauważyłem, że na pobliskim lotnisku międzynarodowym pod Pragę zmieniono tor lotów samolotów cywilnych. Widać to było z okna celi. Siedzący razem ze mną Pepik z Budziejowic (szpieg skazany na 25 lat, był oficerem czeskiego wywiadu) wywnioskował, że musiano otworzyć awaryjny pas startowy na lotnisku wojskowym. Twierdził, że lotnisko wojskowe używane jest tylko w nocy, gdy nie latają samoloty pasażerskie, a w dzień używa się go tylko w nadzwyczajnych sytuacjach. A więc musiało to być związane z czymś, co działo się w Polsce. Pepik miał rację, bo wkrótce więźniowie usłyszeli ryk startujących samolotów wojskowych, sygnalizujący

wprowadzenie stałego dyżuru w powietrzu. Praktycznie byłem już pewien, że coś się w Polsce dzieje. Ostatnie wątpliwości się rozwiały, gdy w nocy z niedzieli na poniedziałek usłyszałem nerwową bieganicę na korytarzu i sprawdzono, czy jestem w celi. A w poniedziałek rano nie dali nam gazety.

Po południu wzięli mnie na przesłuchanie. Było tam chyba z dziesięciu oficerów. Atmosfera zupełnie inna niż przedtem. Pewni siebie, niektórzy z nogami na stole, oznajmili mi, że w Polsce został wprowadzony stan wojenny i teraz sobie ze mną

Správa vyšetřování StB VAZBA

Vyšetřovací souřadst: \_\_\_\_\_ 1  
 \_\_\_\_\_ prokuratura v \_\_\_\_\_ 14  
 \_\_\_\_\_ soud v \_\_\_\_\_ 24

**STENOGRAM**

**A) Vyšetřovací spis**  
 Číslo: *VS-ČVŠ-12/4-11*

**B) Trestní spis**

prot: *obč. Andrzej Roman KOŁODZIEJ, nar. 16. 11. 1957*  
*Lagorze - PzR*

pro: *tr. čin vzniknutá na území republiky podle*  
*§ 140 t. zákona*

Všechny listy  
 13. 9. V. 2008  
 Městský úřad Brno, I. 4. 100  
 Městský úřad Brno

V

Pr \_\_\_\_\_  
 Pl \_\_\_\_\_  
 T \_\_\_\_\_

**34433 MV**  
 34433

MV 6. 141. 532

Stenogram z przesłuchania, 1981 r.

porozmawiają. Dali mi jeszcze gazetę, abym mógł się upewnić. Usiadłem i przeczytałem sobie dokładnie komunikat o wprowadzeniu stanu wojennego. Potem wstałem, podziękowałem i powiedziałem, że teraz mogą mnie odprowadzić do celi. Na to oni, że przestaną się ze mną cackać. Powiedziałem, że to już sobie wkalkulowałem. Wtedy jeden z nich mnie uderzył. Odepchnąłem go i zacząłem się awanturować: – Możecie i w ten sposób, ale nie za darmo, dla swej satysfakcji możecie mi dać po pysku, ale i tak nic z tego wam nie przyjdzie. – Odprowadzili mnie do celi, ale zapowiedzieli, że sobie ze mną porozmawiają inaczej. Ja na to, że im się nie uda i następnego dnia rozpocząłem głodówkę, żądając zakończenia śledztwa.

No i po pięciu dniach tej głodówki przyszedł naczelnik aresztu i ktoś z prokuratury generalnej. Dali mi pismo, że śledztwo zostanie zakończone 22 grudnia, czyli za kilka dni. Wyjaśnili, że zwłoka spowodowana jest tym, że prowadzący śledztwo miał wypadek samochodowy, a jego obecność jest konieczna. Niedługo wyjdzie ze szpitala i formalnie zakończy śledztwo.

Do końca stycznia siedziałem jeszcze w Pradze, potem przewieziono mnie do aresztu w Ostrawie i tam w kwietniu odbyła się rozprawa. Zostałem skazany na 21 miesięcy – najwyższy wyrok, jaki w danych okolicznościach (sądzony po raz pierwszy) można było wymierzyć za nielegalny pobyt w Czechosłowacji. Moją działalność polityczną w Polsce przed stanem wojennym uznano za okoliczność obciążającą, a czyn za społecznie wysoce szkodliwy.

– Jak możecie mnie sądzić za działalność polityczną w „Solidarności”, w czasie gdy organizacja ta była legalna i działała zgodnie z obowiązującym w Polsce prawem? – spytałem.

– Panie Kołodziej, pan dobrze wie i ja dobrze wiem, w jakim układzie żyjemy. W Układzie Warszawskim, a ta wasza „Solidarność” to i nasza sprawa: dążyliście przecież do tego, aby taka działalność rozszerzyła się na inne kraje Europy Wschodniej. Gdyby potrwała jeszcze rok, to i my moglibyśmy mieć tę „Solidarność” tutaj. Dlatego wspólnym interesem władz polskich i naszych było jej zniszczenie.



Prokurator zapytał jeszcze, czy chcę się odwoływać od wyroku.

– Tak – powiedziałem. – Z okna w celi, bo przecież inne odwołanie w Czechosłowacji nie ma sensu.

○ 21 grudnia w tzw. trójpolówce, czyli połączonych w jedno „Głosie Wybrzeża”, „Dzienniku Bałtyckim” i „Wieczorze Wybrzeża” ukazała się na drugiej stronie informacja, że A. Kołodziej został aresztowany na terytorium Czechosłowacji. Następnego dnia w telewizji o 21.15 był program „Kto jest kto? – Andrzej Kołodziej”. O czym był ten film?

– Klasyczna propaganda tamtych czasów. Film przygotowali Czesi I w takiej był wersji. Myślą przewodnią było przekazanie, że jeden z przywódców „Solidarności” uciekł z kraju po ogłoszeniu stanu wojennego. Tymczasem siedziałem tam już od 19 października, a więc prawie dwa miesiące. Są tam sugestie przemytu broni dla „S” i potępiające mnie wiece czeskich studentów. Świadomie wyemitowano to dwa dni przed świętami, gdy w Polsce ludzie walczyli resztką sił. Typowy przykład sowieckich metod wojny psychologicznej.

○ Po wyroku odsiadywał pan karę w Ostrawie?

Przewieziono mnie do więzienia karnego w Pradze. Tam osadzono na oddziale dla więźniów z krajów realnego socjalizmu (więźniów obozu wschodniego). Zaraz na początku zostałem odpowiednio potraktowany przez naczelnika.

– Ja tu dyktuję warunki i ustalam zasady. Temu trzeba się bezwzględnie podporządkować. Wiem, kim jesteście, nie będę się z wami bawił i rzucę na kolana.

– Jeśli pan tak myśli, to pan się myli.

– Macie się do mnie zwracać „panie majorze”.

– Nigdy nie byłem w wojsku i nie znam się na stopniach, nie umiem tego odróżnić i będę się tak zwracał, jak uznam to za stosowne.

– To ja wam pokażę, ja was złamię.

Po tej rozmowie miałem przez jakiś miesiąc spokój. Tymczasem przeprowadzono reorganizację wydziału dla cudzoziemców. Oddział polski połączono z oddziałem, na którym siedzieli Jugosłowianie, Rumuni, Bułgarzy i Rosjanie. Grupowym więźniów, spełniającym funkcję pomocnika strażnika, był Jugosłowianin, cieszący się nienajlepszą opinią wśród towarzyszy niedoli. Pewnego dnia nazwałem go konfidentem, za co po raz pierwszy skazano mnie na trzydzieści dni karceru.

### **○ Więzienia w Czechosłowacji były cięższe niż w Polsce?**

Wierna kopia sowietów z czasów stalinowskich. Trudno to opowiedzieć, a jeszcze trudniej było przeżyć. Racje żywnościowe głodowe, za byle przewinienie groziło do trzydziestu dni karceru, a specjalnie dobierani spośród więźniów pomocnicy strażników, w zamian za pewne przywileje, znęcali się nad współwięźniami. Obowiązujący na wolności przymus pracy, stosowany był oczywiście także w więzieniu. Cudzoziemcy pracowali przy ręcznym składaniu książek dużego formatu. Polaków od tej pracy odsunięto, gdy okazało się, że wpisują do książek różne hasła. Zatrudniono ich przy pakowaniu szpilek do pudełek. Waga szpilek w każdym opakowaniu musiała być ustalana z dokładnością do dwóch gramów, ale za pomocą wagi szalkowej o większej tolerancji. Polacy przymocowywali też agrałki lub spinki do włosów do kartoników. Normy były bardzo wyśrubowane. Karą za niewykonanie normy było zmniejszenie racji żywnościowej, a w wypadku notorycznych bumelantów – karcer. Nigdy nie wykonałem więcej niż 30% normy, a kiedyś udało mi się obniżyć ten wynik do 2%. Naczelnik szalał. Krzyczał, że Polacy nigdy nie umieli porządnie pracować.

– Polacy chcą pracować i bardzo dobrze pracują, kiedy wiedzą, że coś za tę pracę mają. Ale tu, w więzieniu, nie będą na was pracować – odpowiedziałem.

- No to dostaniecie paragraf za odmowę pracy.
- Ja nie odmawiam pracy. Pracuję, a że więcej zrobić nie mogę, to już nie moja wina.

Taką postawą regularnie zarabiałem na karę karceru. W sumie przesiedziałem w karcerach ponad pół wyroku, jednorazowo od dwudziestu do trzydziestu dwóch dni. Inni Polacy też przestali się bać kar wewnętrznych i nie wyrabiali normy. Doprowadziło to do załamania się więziennego współzawodnictwa pracy i planu produkcji. Oskarżono ich o bunt i w więzieniu. Odbył się sąd dyscyplinarny. Ja i jeszcze jeden Polak zostaliśmy skazani na trzy miesiące pobytu w specjalnym obozie karnym. Warunki były tam tylko trochę lepsze niż w karcerze, ale trzeba było pracować od piątej rano do ósmej wieczór. Po dwóch tygodniach uznano, że mam demoralizujący wpływ na więźniów, którzy za moim przykładem zwolnili tempo pracy. Przewieziono mnie stamtąd na izolację specjalną do aresztu śledczego w Litomierzycach, gdzie spędziłem ostatnie trzy i pół miesiąca kary.

W czechosłowackich więzieniach karcer to betonowa cela z betonowym stołkiem i pryczą skonstruowaną z metalowych kątowników, na których leżą drewniane deski. Okno zasłonięte blachą, aby nie dochodziło tam światło dzienne. Żarówkę zapalali strażnicy tylko na krótki czas posiłku. Ilość jedzenia była obliczona tak, aby więzień nie umarł z głodu. Na śniadanie pół szklanki czarnej kawy, na obiad cztery do pięciu łyżek zupy z dwiema łyżkami ryżu, ziemniaków lub knedla, a na kolację dwie łyżki resztek z obiadu. Raz na dzień 100 g chleba, czyli jedna grubsza kromka. Za każdym razem po trzytygodniowym pobycie w karcerze chudłem o mniej więcej dwadzieścia kilogramów. A potem puchłem. Człowiek tak wygłodzony, gdy zje nieco więcej niż poprzednio, szybko nabiera ciała. Lecz gdy wciśnie palec w ciało, pozostaje w tym miejscu na jakiś czas dołek, bo ciało jest jakby gąbczaste.

Wielu ludzi nie wytrzymało psychicznie w karcerze już nawet po kilku dniach. Pomagał mi wewnętrzny spokój i nastawienie, żeby nie liczyć dni, nie myśleć o życiu na wolności

i nie robić żadnych planów na przyszłość. Liczyłem swe kroki w celi. Chodząc od jednej do drugiej ściany, przebywałem dziennie odległość 30-40 kilometrów – 12500 do 15000 razy długość celi. W takich warunkach traci się poczucie czasu. Spacer do stanu uśpienia. Krótki sen na pryczy ze stalowych kątowników i pojedynczych desek – jak drabina. Potem budził mnie ból i lodowate odrętwienie. I znowu spacer do zmęczenia. Byle nie myśleć o tym, gdzie jestem. I tak się żyło.

Naczelnik więzienia nie otrzymał jednak satysfakcji, że sprawdzili się jego słowa, nie złamał mnie. Gdy zmarł Breżniew (10 listopada 1982), skazany zostałem na dwanaście dni karceru za „brak należytej powagi w czasie ogłaszania tej wiadomości”. Potem przyszedł naczelnik i powiedział, że jeśli go o to poproszę, zostanę zwolniony. Odpowiedziałem: – Dziękuję, ale ja się tu bardzo dobrze czuję, bo przynajmniej nie muszę codziennie pana oglądać – zarobiłem dalsze dwadzieścia dni karceru.

Nie złamali mi ducha, straciłem jednak wiele zdrowia w tych czechosłowackich karcerach. Zimą, gdy w celi zamarzała woda i nie pomagało szybkie chodzenie, aby się rozgrzać, nabawiłem się zapalenia stawów. Głodowe racje żywnościowe i całkowity brak witamin spowodowały zaburzenia systemu trawienia, wypadanie włosów i szybkie psucie się zębów. Aby móc leczyć zęby, trzeba było mieć zezwolenie od naczelnika, a to leżało poza zasięgiem moich możliwości. Bez pozwolenia można było tylko usunąć ząb. Kilka wyrwano mi w więzieniu, z dziesięć dalszych, które kruszyły się i były tak zepsute, że nie nadawały się do leczenia, musiałem usunąć po powrocie do Polski. Tak straciłem połowę uzębienia. Moje niegdyś bardzo gęste włosy wychodziły całymi kępkami. Oczy, przyzwyczajone w karcerze do ciemności, stały się nadmiernie wrażliwe na światło i w jasny dzień nie mogę się już poruszać bez ciemnych okularów.

○ **Czy docierały do celi jakieś wieści z kraju, echa stanu wojennego?**

Tak, w postaci artykułów praskiego „Rudego Prava”. Zdo-  
byłem też sympatię więźniów jugosłowiańskich, którzy pod-  
rzucali mi artykuły z prasy wychodzącej w ich kraju, dużo  
szerszej i obiektywniej przedstawiającej wydarzenia w Polsce.  
Gdy wracałem z karceru mieli dla mnie zawsze plik artyku-  
łów i tłumaczyli je na czeski. Wiedziałem więc o oporze, o po-  
stępkach tak zwanej normalizacji i o emigracji wielu działaczy.

Po kolejnym wyjściu z karceru, Jugosłowianie przemyci-  
li mi swoją gazetę. Chyba to była „Borba” – pisana była cyry-  
licą, a ja nie uczyłem się rosyjskiego dla zasady. Ale były tam  
fotografie z Arłamowa internowanego Wałęsy... Rodzinne  
spotkanie przy kominku, Wałęsa na rybach itp. Pytali, jak  
to jest? Kim jest ten Wałęsa? A mnie trafiał szlag – bo co im  
miałem powiedzieć – że sprzedał „Solidarność” w którą oni  
też wierzyli? Na szczęście szybko wróciłem do karceru i ten  
bolesny temat poszedł w zapomnienie.

Żyłem nadzieją, że kiedyś wyjdę, ale nie robiłem planów  
na przyszłość. Nie wiedziałem, czy po powrocie do Polski  
zostanę uwięziony, co robią moi koledzy i w jakich realiach  
dnia codziennego przyjdzie mi działać. Przypomniałem so-  
bie natomiast, jak byłem rozczarowany, widząc, że to, co wy-  
walczyli robotnicy, rozmywało się w wyniku sporów, dyk-  
tatorskich zapędów niektórych działaczy i biurokratycznego  
podejścia części aparatu wykonawczego. Analizowałem po-  
sunięcia władz PRL, które starały się uwikłać związek w roz-  
wiązywanie setek drobnych spraw, u podstaw których leżały  
najczęściej prowokacje. Miałem tyle czasu, że mogłem sobie  
wszystko przypomnieć wiele razy i bardzo dokładnie. Po-  
mogło mi to w uporządkowaniu w myślach wielu wydarzeń,  
przeanalizowaniu pewnych zależności i mechanizmów,  
stworzeniu sobie jasnego obrazu różnych spraw i wyciągnię-  
ciu konkretnych wniosków na przyszłość.

Nie roztkliwiałem się nad swoim losem, traktowałem go  
jako logiczną konsekwencję działania. Wiedziałem przecież,  
że prędzej czy później znajdę się w więzieniu, więc ten etap  
swego życia miałem wcześniej niejako „zaplanowany”.

W sierpniu 1982 roku naczelnik wezwał mnie na rozmowę i zapytał, dlaczego nie staram się o widzenie z rodzicami.

– Pan dobrze wie, jaka jest sytuacja w Polsce. Mam zresztą wiele rodzeństwa, więc rodzice mają się kim zajmować. A poza tym znam dobrze pańskie praktyki i obawiam się, że ze względu na dużą odległość rodzice mogliby się spóźnić, a pan odesłałby ich spod bramy.

– Tak na pewno nie będzie. Chcę, żeby pan napisał podanie o widzenie.

– Nie będę pisał, mogę siedzieć spokojnie bez widzenia do końca wyroku.

– No to wyznaczę termin widzenia na siódmego września, a jak pan nie napisze podania, to my napiszemy.

– Możecie sobie pisać, ja do tego ręki nie przyłożę. Rodzice też wytrzymają. Do końca nie zostało dużo czasu, a nie chcę panu sprawić satysfakcji, że o coś proszę.

Zapomniałem już o tej rozmowie, gdy kilka tygodni później (siedziałem znów w karcerze) otworzono drzwi i kazano mi wyjść. Wyglądałem, jak zawsze w karcerze, jak człowiek z epoki kamienia łupanego, silnie zarośnięty, brudny. Pozwolono mi się umyć i ogolić. Przyniesiono nowe ubranie, abym się mógł przebrać, i dopiero wtedy zaprowadzono do pokoju, w którym byli już dwaj uzbrojeni strażnicy, naczelnik więzienia, tłumacz, tak zwany wychowawca więzienny i... rodzice. Radość i wzruszenie przemieszały się z troską, gdy zobaczyłem, jak ojciec posiwił w czasie, kiedy siedziałem w więzieniu. Chciałem się dowiedzieć jak najwięcej, ale nieskrępowanie można było mówić tylko o rodzinie.

Mama czuła się bardziej swobodnie i z góry traktowała tych ze służby więziennej, nie pozwalając się wtrącać i wyklócając się o wiele rzeczy. Również przeciągała to widzenie i później włożyła do paczki, którą zostawiała dla mnie, o wiele więcej rzeczy niż było wolno. Tak zagadała naczelnika, że w końcu jej uległ. Później jednak zemścił się, przetrzucając wszystko w paczce tak, że większość żywności nie nadawała się już do jedzenia.

W czasie pobytu w czechosłowackich więzieniach miałem jeszcze jedne odwiedziny. Do aresztu śledczego w Litomierzycach przyjechał sekretarz ambasady PRL w towarzystwie kogoś wyglądającego na ubeka. Z niezłe ukrywaną troską pytał o szczegóły życia więziennego.

– Nie musicie się o mnie troszczyć, bo damę sobie radę, a kara zbliża się już do końca – powiedziałem. – Ale powinniście zainteresować się losem Polaków, którzy siedzą na oddziale dla cudzoziemców w więzieniu praskim.

Opisałem, co się tam dzieje, i podkreśliłem, że obowiązkiem ambasady jest wymuszenie poprawy ich bytu. – Oni nie mają nawet możliwości napisania do ambasady. Są traktowani szczególnie źle przez strażników, którzy niezależnie od tego, czy mają do czynienia z kryminalistami, czy z politycznymi, odgrywali się za „Solidarność”.

Gdy mówiłem to sekretarzowi ambasady, powiedział, że nie przyjechali do mnie dla przyjemności, tylko z polecenia ambasadora Jagielskiego, który znał mnie osobiście w czasie, gdy był szefem komisji rządowej do rozmów w stoczni. Powiedziałem, że nie potrzebuję żadnej pomocy. A oni na to, że otrzymali wiadomości, że władze czechosłowackie mają ze mną poważne kłopoty, że próbowałem zorganizować jakiś bunt w więzieniu praskim i że za to mnie stamtąd usunięto. Odparłem, że to absolutna bzdura, że siedzę sobie spokojnie i raczej ja miałbym prawo uskarżać się na władze czechosłowackie za to, że mnie trzymają, zamiast wypuścić. Podziękowałem za rozmowę i kazałem się wyprowadzić do celi. Nie miałem ochoty dłużej z nimi rozmawiać, tym bardziej że zaczęli wypytywać, co zamierzam robić po wyjściu z więzienia. Uważałem, że to moja sprawa i nie będę swego życia omawiał z nimi.

### Kiedy wrócił pan do Polski?

Po odsiedzeniu całego wyroku, 19 lipca 1983 roku, przewieziono mnie z Litomierzyc do Pragi i stamtąd samochodem osobowym, pod eskortą, zabrano na przejście graniczne

**MINISTERSTVO SPRÁVEDLNOSTI ČR**  
**Vešlárdká 16, 128 10 Praha 2**  
**Odber odliedkávání**

VÁS DOPIS J:  
 ZE DNE:  
 NAŠE ŠI: 9370084-ODSR-COSIKS

VYŠLIZUJE: Mgr. Lajnar  
 TEL.: +420 211997966  
 FAX: +420 211997967  
 E-MAIL: oedk@mpj.justice.cz

Doprosení  
 Vážený pan  
 Andrzej Roman Kolodziej  
 ul. Buzyniákiego 8  
 81 214 Gdynia  
 Polska

V Praze dne 12. 4. 2005

Vážený pane,

Ministerstvo správedlnosti přeběžlňá, mimosoudní podle zákona č. 58/1969 Sb. o odpovědnosti za škodu způsobenou rozhodnutím orgánů státní nebo jeho nesprávným úředním postupem, projednálo Vaši žádost na náhradu škody ze dne 15. 2. 2004, kterou jste adresovali Nejvyššímu soudu ČR.

K posouzení Vaši žádosti ai Ministerstvo správedlnosti vyřadilo příslušný spis zn.: 4 T 2282 o Okresním soudu ve Frýdku – Místku. Z tohoto spisu vyplývá, že jste byl rozsádkem Okresního soudu ve Frýdku – Místku ze dne 4. 3. 1982 uznán vinným ze spáchání trestného činu vniknutí na území republiky podle § 110 tehdy platného trestního zákona a byl Vám uložení trest odnětí svobody v délce 21 měsíců nepodmíněně; tento rozsudek nabyl právní moci dne 20. 3. 1982. Uložený trest odnětí svobody jste vykonal v době od 19. 10. 1981 do 19. 7. 1983, když do výkonu trestu Vám byl usnesením Okresního soudu ve Frýdku – Místku ze dne 22. 3. 1982 započítán pobyt ve vazbě od 19. 10. 1981 do 22. 3. 1982. Nejvyšší soud ČR rozsudkem ze dne 11. 5. 2001, sp. zn.: 11 Tz 275/2000, na základě návrhu pro porušení zákona uveřejněný odsuzující rozsudek Okresního soudu ve Frýdku – Místku zrušil a podle ustanovení § 226 písm. b) trestního řádu Vás v plném rozsahu zprostil obžaloby.

Váledem k výše uvedenému Vám v souladu s ustanovením § 6 odst. 1 zákona č. 58/1969 Sb. vzniklo právo na náhradu škody způsobené rozhodnutím o trestu, neboť jste vykonal trest odnětí svobody a v pondělím řízení jste byl zproštěn obžaloby.

Ministerstvo správedlnosti máže v rámci mimosoudního projednání žádosti na náhradu škody uspokojit pouze takové požadavky, které jsou dostatečně doložené a zohlednění nesporé co do základu a výše. Nesporým je nutno vešle odpovědnostního titulu, v daném případě rozhodnutí o trestu, učinit i naplnění dalších zákonných podmínek pro vznik odpovědnosti státní za škodu, tedy vznik škody (výše její výše) a existence příčinné souvislosti mezi odpovědnostním titulem a vznikem škody.

Váled k tomu, že Váš požadavek na náhradu škody není nijak důkazně podložen, nete je v rámci mimosoudního projednání učinit ze strany Ministerstva správedlnosti.

nesporým a mimosoudně jej uspokojit. K uvedenímu je nutno dodat, že možný rozsah náhrady škody je ve smyslu ustanovení § 20 zákona č. 58/1969 Sb. definován zákonem č. 40/1964 Sb., občanský zákoník. Konečtější jeho ustanovení § 442 a násl., ze kterých vyplývá, že škoda se skládá ze škody skutečné (zmenšení majetku) a z ušlého zisku. Zákon č. 58/1969 Sb. ani obecna ustanovení o odpovědnosti za škodu v občanském zákoníku tedy nepřesují odliedkání semajetkové újmy, a to nejen ve formě finančního zafodostáčení, ale ani ve formě jiné.

Tímto odliedním pokládáte jednání o mimosoudním vyrovnání u Ministerstva správedlnosti za skočené a tím, že nebylo možno návrhu vyhovět. Stanovisko Ministerstva správedlnosti k vznesenímu návrhu není rozhodnutím, která lze přetroumat ve smyslu procesních předpisů. Případný další postup upravuje ustanovení § 10 a § 26 zákona č. 58/1969 Sb., která stanoví základní podmínky soudního projednání věci.

S pozdravem

Za správnost: Vedoucí oddělení odliedkování  
 v z. Mgr. Tomáš Lajnar v r.

Jan Menci



## Przeprosiny czeskiego Ministerstwa Sprawiedliwosci, rok 2005

pod Kudową Zdrojem. Tak jak w czasie poprzednich prze-  
 nosin z jednego więzienia do drugiego, również i teraz sku-  
 to mi ręce kajdankami połączonymi krótkim łańcuchem ze  
 skórzanym pasem na biodrach, uniemożliwiając poruszanie  
 rękoma. Na granicy rozkuto mnie i przekazano funkcyjona-  
 riuszom Służby Bezpieczeństwa z Wałbrzysza.

Na Komendzie Wojewódzkiej w Wałbrzyszu usiłowali  
 mnie przesłuchać na temat mojego pobytu w Czechosłowacji.  
 Oczywiście, odmówiłem: – Odsiedziałem wyrok do końca  
 i nie mam nic do powiedzenia. Jeżeli macie coś do mnie, od-  
 prowadźcie mnie do celi, a jeśli nie, to wypuśćcie na wolność.

Powiedzieli, że mnie wypuszczą, bo i tak za trzy dni  
 będzie amnestia, ale zaczęli się interesować, w jaki sposób



wrócić do domu. Wiedzieli, że Czesi odebrali mi wszystkie pieniądze i jestem bez grosza. Zaproponowali pieniądze na podróż. Zdecydowanie odmówiłem.

Powiedziałem, że mogę iść nawet pieszo w Bieszczady, ale od nich pieniędzy nie wezmę. W końcu dali spokój, ale zrobili mi jeszcze rewizję i zabrali jakieś drobiazgi. Z Wałbrzycha udało mi się dojechać do Wrocławia na gapę, a w pociągu z Wrocławia zgłosiłem konduktorowi, że nie mam pieniędzy. Zapytałem, czy może mi wypisać bilet kredytowy, wyjaśniając, że wracam z więzienia. Zapytał – z Solidarności?

– Tak – odpowiedziałem.

Powiedział mi tylko, że potem zmieni się drużyna konduktorska i on już nie pomoże. I tak jakoś dotarłem w Bieszczady.

Nagła zmiana po opuszczeniu więzienia i powrocie do rodzinnego Zagórza, była zabójcza. Mój organizm nie wytrzymał i zachorowałem na bardzo ostre palenie płuc. Gorączka dochodziła do 40 stopni. Było upalne lato, a ja dusiłem się i nie mogłem oddychać. Resztką sił uderayłem pięścią w podłogę i mama wzywała sąsiadkę (koleżankę z pogotowia), dostawałem jakieś zastrzyki. I tak w koło. Po ok. trzech tygodniach walki gorączka zaczęła spadać, lecz minęło dalszych sześć tygodni, zanim mogłem wstać w z łóżka.

### ○ Zaraz potem wrócił pan do działań związkowych, a następnie opozycyjnych.

Tak, pod koniec września 1983 roku odwiedziła mnie przyjaciółka Alinki. Zapytała, czy nie zechciałbym wrócić do Gdańska. Pytała w imieniu Bogdana Borsewicz. Nie miałem wątpliwości i stawilem się na umówione spotkanie. W ciągu tygodnia miano przygotować mi bezpieczne mieszkanie. Na ten czas zatrzymałem się u Anny Walentynowicz. Nic jeszcze nie robiłem, byłem więc „czysty”, a poza tym wtedy, parę miesięcy po amnestii, wielu działaczy poruszało się swobodnie i nie było atmosfery konspiracji ani strachu przed bezpieczeństwem. Szybko zacząłem orientować się w nowej sytuacji. Dowiedziałem się, jak

działają struktury podziemnej „Solidarności” oraz poznałem nastawienie działaczy i formy działalności. Przedstawiono mi racje przemawiające za takim właśnie działaniem.

Z wieloma rzeczami zacząłem się od razu nie zgadzać. Uważałem, że jest to stawianie tylko na przetrwanie. Nie mogłem się również zgodzić z tendencją do kontrolowania wszelkich poczynań opozycyjnych. Uważałem, że jest to linia absurdalna i twierdziłem, że można coś wywalczyć tylko za pomocą strajków i silnych nacisków na władzę. Przecież, jeśli historia ostatnich dziesięcioleci miała nas czegoś nauczyć, to właśnie tego, że władza komunistyczna ustępuje tylko przed siłą i wszelkie zmiany na lepsze, choć krótkotrwałe, wprowadzono pod naciskiem społeczeństwa.

Bogdan powtarzał mi zalecenia z Warszawki, powiedział, że strajk generalny można wywołać bardzo łatwo, wystarczy apel TKK i kraj stanie. Uważałem, że to naiwne. Powiedziałem, że wiele spraw zaprzepaszczono wcześniej i że teraz ludzie na strajk nie pójda. Twierdziłem, że trzeba wiele zrobić w dziedzinie odbudowywania świadomości, trzeba ludziom wskazać cele, pokazać perspektywy. A przede wszystkim nie wolno powstrzymywać żadnych akcji, które mogą rodzić się samoistnie. Przeciwnie, trzeba je popierać i wzmacniać. Jednak, mimo odmiennych poglądów, powiedziałem, że jeśli trzeba zrobić coś konkretnego, będę robił. Wiedziałem bowiem, że niezależnie od koncepcji politycznych, pewne struktury trzeba zawsze mieć, bo mają one decydujące znaczenie. Wodzowie mogą przecież w pewnym momencie uznać, że ich koncepcja była błędna, i będą chcieli ją zmienić, chodzi więc o to, aby w takim momencie nie zaczynać wszystkiego od początku.

Zająłem się sprawami druku i budową sieci kolportażu bibuły. Pracowałem też nad zabezpieczeniem materiałowym podziemia w Gdańsku. Usiłowałem przekonać Bogdana i innych, że możliwe jest rozszerzenie zasięgu Radia „Solidarność” i robienie również programów telewizyjnych. Uważałem, że konieczne jest sprowadzenie dobrego sprzętu do podsłuchiwania ubecji. Nie udało mi się jednak ich o tym przekonać.

Podobny brak zrozumienia wykazali wobec mojej propozycji bezpłatnego rozprowadzania bibuły. Książki to inna sprawa, ale ponieważ dużo ludzi płaciło jeszcze składki związkowe, uważałem, że bibuła należy się im bezpłatnie. Byłem zdania, że ludzie będą kupować jej coraz mniej, a tym samym bardzo zmniejszy się zakres naszego oddziaływania.

Raził mnie również brak zainteresowania kierownictwa „Solidarności” losem ludzi, którzy działali, wpadli, a teraz wyszli z więzień. Większość z nich zostawiano samym sobie, nie próbując wciągnąć do działania. Uważałem, że jest to bardzo niedobre, bo byli to ludzie sprawdzeni i można ich było wykorzystać dla dobra sprawy. Wielu z tych pozostawionych na uboczu ludzi podejmowało decyzję o emigracji. Wielokrotnie zwracałem więc uwagę na to, że nie wystarczy krytykować tych, którzy emigrują, trzeba im coś zaoferować. Wtedy mówiłem Bogdanowi, że jeśli dalej tak będzie, to w końcu pozostanie tylko on i będzie musiał robić wszystko sam. On jednak nie tylko miał inne niż ja zdanie na ten temat, ale także nie podobały się mu inicjatywy niezależne. Nie tylko je krytykował, lecz starał się je hamować. Bolało mnie to, tym bardziej że w czasie tworzenia wolnych związków, strajku w Sierpniu 1980 r. i w okresie legalnego działania związku byliśmy najbliższymi współpracownikami i zawsze dobrze się rozumieliśmy.

Szałę przeważała sprawa starego powielacza. Bogdan kazał mi go odebrać od naszego wspólnego znajomego, któremu kiedyś go zostawiłem.

– Dlaczego mam go odebrać? Masz za mało sprzętu? Przecież, o ile wiem, sprzętu mamy dosyć, a ten powielacz nie jest najlepszej jakości.

– Nie chodzi o brak sprzętu. Zależy mi po prostu, żeby ludzie ze środowiska Gwiazdów nie mieli na czym pisać.

– Co masz przeciwko tym ludziom? Pracowaliśmy z nimi najbliżej przed „Solidarnością” i w czasie „Solidarności” Co się stało?

Nie chciał niczego wyjaśniać. Po prostu zależało mu na tym, aby inni nie drukowali bibuły. A na powielaczu tym

drukowano dwie gazetki zakładowe i gazetkę „Solidarności” Regionu Białostockiego. Stanowiskiem Bogdana byłem zaszokowany i wtedy na dobre postanowiłem zakończyć współpracę.

Przestała mnie też już bawić pozorna walka. Myślałem o zniszczeniu komunizmu. Takie tam sobie mrzonki. Nie wierzyłem już w wolne życie w zakłamanym systemie. A apodyktyczne stanowisko Warszawki było mi obojętne. Już wówczas działanie tylko w związkach zawodowych kojarzyło mi się z lewactwem. Niestety, takie było moje środowisko, ale czułem, że jest mi to obce. Miałem zresztą już wrażenie, że odizolowanie mnie od innych miało stanowić dla Bogdana gwarancję, że nie podejmę innej działalności. Stąd moje czekanie tygodniami na niego, na jego propozycje czy decyzje, stąd całkowite uzależnienie od tego, co postanowi i co mi zleci. Już dużo wcześniej drażniło mnie jego ambicjonalne podchodzenie do działalności, bo uważałem, że każda działalność przeciw komunie jest dobra, a czym więcej jest środowisk, tym łatwiej jest działać, bo ubecja musi rozpraszać swoje siły. Byłem zdania, że jeżeli mamy ludzi uczyć demokracji, a sami nie potrafimy jej stosować, jest to bardzo niepokojące. Miałem wtedy kontakt z Ewą Kubasiewicz i Joanną Gwiazdą, które naświetliły mi dokładnie pewne zjawiska i mechanizmy działające w „Solidarności”. Gdy więc Bogdan już kategorycznie zażądał, abym zerwał ze środowiskiem Gwiazdów, odmówiłem i stosunki między nami zaczęły się definitywnie psuć.

### ● I to był początek przejścia do „Solidarności Walczącej”?

Ewa Kubasiewicz zaproponowała mi kontakty z działaczami „Solidarności Walczącej” z Wrocławia. Zapoznałem się z prasą SW i innymi materiałami, na podstawie których wyrobiłem sobie jak najlepszą opinię o tej organizacji. Jej wyraźny cel: niepodległość Polski, był bardzo bliski memu sercu, a bezkompromisowe stanowisko zdecydowanie bar-

dziej trafiało mi do przekonania, niż coraz mniej jasny program działania kierownictwa NSZZ „Solidarność”. Po paru rozmowach z przedstawicielem SW, który wiosną 1984 roku przyjechał z Wrocławia do Gdańska, na tyle spodobały mi się założenia organizacji oraz zasady i formy jej działania, że zaproponowałem rozpoczęcie, razem z Ewą Kubasiewicz, prac nad utworzeniem oddziału „Solidarności Walczącej” w Trójmieście. Niedługo potem poznałem Kornela Morawieckiego i innych ludzi z SW. Ich poglądy, postawa i ideowość całkowicie przekonały mnie, że SW jest jedyną konkretną i słuszną inicjatywą w Polsce. Stali twardo nogami na polskim gruncie, nie mieli złudzeń wobec komuny i stawiali na konkretne działanie wśród ludzi i dla ludzi. Chodziło im o wyrwanie komunie każdego skrawka, na którym ludzie mogliby odzyskiwać swobodę działania. Zdawałem sobie sprawę z tego, że wówczas była to organizacja jeszcze bardzo słaba, choć mogąca poszczycić się sporymi osiągnięciami i dość szerokim poparciem we Wrocławiu.

Ponieważ zgadzałem się z ideą tej walki i z zasadami głoszonymi przez SW, z zapałem zabrałem się do roboty w Gdańsku. Wiedziałem, że czeka nas długa droga, ale byłem przekonany, że za parę lat będziemy już coś znaczyć.

„Solidarność Walcząca” była jedyną organizacją polityczno-społeczną w Polsce, działającą w konspiracji. Powstała w czerwcu 1982 r. Miała dwanaście oddziałów: we Wrocławiu, Katowicach, Lublinie, Poznaniu, Rzeszowie, Gdańsku, Warszawie, Szczecinie, Jeleniej Górze, Toruniu, Łodzi i Krakowie oraz grupy w wielu mniejszych miejscowościach. Członkiem SW mógł zostać każdy, kto identyfikował się z założeniami i celami organizacji oraz złożył przysięgę w obecności dwóch już zaprzysiężonych członków. Przysięga ta, zobowiązująca bardziej niż zwykłe członkostwo w innych organizacjach, mówiła o głównych celach „Solidarności Walczącej”:

*Wobec Boga i Ojczyzny przysięgam walczyć o wolną i niepodległą Rzeczpospolitą Solidarną, poświęcać swe*



Kotwica „Solidarności Walczącej”

*siły, czas, a jeśli zajdzie potrzeba – swe życie, dla zbudowania takiej Polski. Przysięgam walczyć o solidarność między ludźmi i narodami. Przysięgam rozwijać idee naszego Ruchu, nie zdradzić go i sumiennie spełniać powierzone mi w nim zadania.*

Przysięga była dwuczęściowa: dla członków SW i dla Żołnierzy SW – ta druga część nie była wszystkim znana.

Przewodniczącym „Solidarności Walczącej” był jej założyciel, Kornel Morawiecki. Był jednym z pierwszych, który zauważył, że po szoku z 13 grudnia 1981 roku kierownictwu „Solidarności” zabrakło koncepcji długofalowego działania. Okazało się, że jego opinię podziela dość duża część działaczy związkowych. Wtedy, latem 1982, postanowili utworzyć nową organizację. O ówczesnej sytuacji Kornel napisał: *Uczciwi ludzie znaleźli się na rozdrożu. Jedni, nie bacząc na nową sytuację, dalej próbują iść koleinami związkowego nacisku i porozumienia z władzą, inni ograniczyli się do modlitwy i samodoskonalenia, jeszcze inni nastawili się na pracę od podstaw i „ratowanie substancji”. My wybraliśmy „Solidarność Walczącą”. Być może, gdyby przywództwo podziemnej „Solidarności” było bardziej zdecydowane, SW w tamtym czasie by nie powstała. Ale nie można uważać, że jej powstanie było reakcją na określone „błędy” „Solidarności”. Powstanie i skromny rozwój SW było poszukiwaniem nowych dróg. Działaniami kierował Komitet Wykonawczy, a rolę ośrodka programowego i opiniotwórczego odgrywała Rada SW. Członkostwo było tajne i nieewidencjonowane. Liczbę członków oceniano na od kilku do ponad dwudziestu tysięcy.*

Początki SW na terenie Trójmiasta były podobnie trudne, jak w innych ośrodkach. Brakowało sprzętu i pieniędzy, a działacze „Solidarności” zwalczali nową organizację w przeróżny sposób: od zakazu kolportażu bibuły SW do

szerzenia złośliwych plotek i pomówień. Tworzono atmosferę podejrzeń wokół organizacji i ludzi w niej działających. Nie atakowano działaczy SW publicznie, ale w rozmowach prywatnych poufnie mówiono:

— No wiesz, ja bym na tego Kołodzieja uważał, bo on wygląda mi jakoś niepewnie.

Może to być przykre dla ludzi z „S”, ale była to programowa taktyka kierownictwa podziemnej „S”. W wewnętrznym zaleceniu TTK zabraniało kolportażu pism od niej niezależnych. Zakazywano pomocy strukturom niezależnym od kierownictwa Warszawki. Takie decyzje podejmowali wówczas „przywódcy podziemia”: Bujak, Lis, Frasyniuk za mamową tych samych doradców. Ale to powinny być ich moralne rozterki, jeśli po kontrakcie z komuną jeszcze wiedzą, co to honor i uczciwość. Choć śmiem wątpić.

Przebrnięcie przez pierwszy etap budowy organizacji w Trójmieście było możliwe tylko dzięki wielkiemu samozaparcu działaczy, którzy poświęcali na to wszystkie swe siły i środki.

Mieliśmy na tym etapie wiele problemów bardzo prozaicznych. Mieliśmy na czym drukować, ale czasem nie było pieniędzy na papier czy farbę, nie mówiąc już o pieniądzach na przejazdy dla kolporterów czy łączników. Może to właśnie spowodowało, że w organizacji zostało tylu ideowych, zaangażowanych ludzi, którzy nie mogli liczyć na żadne korzyści i musieli do działania dokładać własne pieniądze.

Ja sam pracowałem wówczas nielegalnie na pracach wysokościowych. Andrzej Gwiazda, który parął się tym przez wiele lat, określał tę pracę jako „wciskanie kitu”. Zjeżdżało się na linach po ścianach wysokich domów i uszczelniało specjalnym „kitem” szpary między płytami, z których zbudowano ściany domu. Była to praca dobrze płatna, z nienormowanym czasem. Miałem więc na utrzymanie i mogłem sporo pieniędzy przeznaczyć na działalność. Nigdy zresztą nie rozgraniczałem pieniędzy swoich od organizacyjnych. Musiałem mieć na życie i działanie, więc gdy nie było pieniędzy

organizacyjnych, wydawałem swoje, gdy nie miałem swoich, wydawałem na życie pieniądze organizacyjne.

W tym okresie powstawało też sporo innych inicjatyw, niezależnych nie tylko od władz, ale i od „Solidarności”: w szkołach, na uczelniach i w innych środowiskach. Tworzył się wtedy ruch „Pomarańczowa Alternatywa”, powstał ruch „Wolność i Pokój”, „Federacja Młodzieży Walczącej”. WiP zresztą miał podobne problemy jak my na początku. Staliśmy już wtedy „na nogach”, ale WiP nie był uznawany przez „Solidarność” za organizację opozycyjną i nawet w więzieniach WiP-owców nie chciano uznać za więźniów politycznych. Jedynym ugrupowaniem, które popierało i brało w obronę tych ludzi, była „Solidarność Walcząca”. Mimo że mieliśmy jeszcze małe możliwości pomocy, przekazywaliśmy im nasze doświadczenia, pomagaliśmy w druku, prowadziliśmy walkę o uznanie za więźniów politycznych osób odmawiających służby wojskowej za względu na przekonania.

Nigdy nie miałem własnych ambicji politycznych, ale zawsze zależało mi, aby zrobić coś konkretnego. Dlatego starałem się nie przejmować niechętną czy nawet wrogą postawą działaczy „Solidarności”. Oczywiście, gdy dowiedziałem się, że ktoś tam znowu „podkłada mi świnię”, nie było to przyjemne, ale wiedziałem już, że takie rzeczy się zdarzają się często, i musiałem się z tym jakoś pogodzić. Zarząd Regionu „Solidarności” w Gdańsku chciał mieć monopol na działalność opozycyjną. I nie było dla nich istotne, czy ludzie się z nimi zgadzają, czy nie, chcieli po prostu, aby nie działali po innej linii, niż oni. Z tym nie mogłem się pogodzić, bo uważałem, że celem działania musi być osłabienie władzy komunistycznej, a w konsekwencji jej obalenie. Nie mogłem pogodzić się z samograniczeniem się „Solidarności” do działania tylko w celu uzyskania relegalizacji związku. Był to bardzo ważny cel i SW całkowicie go popierała, ale w Polsce było jeszcze bardzo wiele innych rzeczy do zrobienia, a załatwić je można dopiero w warunkach niepodległości.





Przykłady trójmiejskich czasopism „Solidarności Walczącej”

„Solidarność Walcząca” nie stanowiła dla „Solidarności” żadnej konkurencji, nie zamierzaliśmy bowiem tworzyć drugiego związku zawodowego. A twierdzenia, że przywłaszczyliśmy sobie nazwę związku, były zupełnie bezpodstawne. Mieliśmy do niej pełne prawo. W projekcie programu „Solidarności Walczącej” stwierdzono: *Wyrosliśmy z powszechnego ruchu społeczno-wyzwoleńczego, z Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność”. Uważamy się za kontynuatorów radykalnego nurtu NSZZ „Solidarność”, nurtu znaczonego na I Krajowym Zjeździe „Postaniem do ludzi pracy Europy Wschodniej.*

Wszyscy czołowi działacze SW mieli silnie „solidarnościowy” rodowód: Kornel Morawiecki był delegatem na Krajowy Zjazd. Ja byłem jednym z twórców związku i zastępcą

Wałęsy w Prezydium w Gdańsku. Jadwiga Chmielowska była członkiem Zarządu Regionu Śląsko-Dąbrowskiego, Ewa Kubasiewicz – Zarządu Regionu w Gdańsku, Zbigniew Bełz był delegatem na zjazd i członkiem Krajowej Komisji Rewizyjnej. Trzon „Solidarności Walczącej” to profesorowie uczelni Wrocławia – współtwórcy „Solidarności”. Tak więc oskarżenie nas o przywłaszczenie sobie nazwy nie miało zupełnie sensu. Zresztą integralną częścią nazwy naszej organizacji było słowo „Walcząca”. Wiadomo więc, że była to inna organizacja, ale jak się chce psa obić, to kij się zawsze znajdzie. Jak nie można nas było krytykować za naszą działalność, bo była skuteczna, to się szukało czegoś innego. W niektórych regionach związku obowiązywał zakaz wstępowania członków „Solidarności” do SW. Mieliśmy więc paradoksalną sytuację: członkiem „Solidarności” mógł zostać członek partii komunistycznej, natomiast członkowi „Solidarności” zabraniano wstępowania do „Solidarności Walczącej”.

Kierownictwo „Solidarności” dążyło zresztą nie tylko do pomniejszania roli SW i utrudniania jej pracy, ale także odsuwało sprawdzonych i pochodzących z wyboru członkowych działaczy związkowych. Tak „wycięto”, na przykład, Andrzeja Górnego.

Jurczyk był pochodzącym z wyboru przewodniczącym Regionu Pomorze Zachodnie –Szczecin „Solidarności”. Był kontrkandydatem Wałęsy w wyborach na przewodniczącego związku na I Zjeździe Krajowym. Zdobył wtedy 201 głosów i zajął drugie miejsce. Po ogłoszeniu wyników powiedział, że stanął do walki wyborczej, *żeby sprowadzić Lecha na ziemię*. Podzielił później los innych działaczy o niezależnych poglądach, którzy zostali uznani za jakies zagrożenie – Gwiazdy, Walentynowicz, Rulewskiego, Słowika czy Kopaczewskiego.

Niezależnie jednak od postawy kierownictwa „Solidarności”, w wielu regionach współpraca między działaczami związku a SW układała się bardzo dobrze, szczególnie na szczeblu zakładowym. Często wydawane były wspólne oświadczenia i podejmowane wspólne działania. Współ-

praca ta znacznie się rozszerzyła po decyzji przywódców „S” o rozwiązaniu struktur podziemnych związku. Wtedy do SW zaczęły się zgłaszać struktury zakładowe, a niekiedy i całych regionów, wyrażając chęć przystąpienia do organizacji i dalszego działania w podziemiu. Działacze tych struktur nie mogli pogodzić się z taktyką „rozbrajania” opozycji i dążeniem do porozumienia z władzą ponad głowami społeczeństwa.

Sprawa była dość delikatna, gdyż, po pierwsze, nie chcieliśmy powodować jakichś konfliktów z działaczami szczebla krajowego „Solidarności”, a po drugie SW nie przyjmowała całych struktur, lecz pojedynczych ludzi. Nie mieliśmy też możliwości „zagospodarowania” tak wielkich ilości ludzi. Proponowaliśmy więc tym strukturom prowadzenie dalszej działalności niezależnie, ale we współpracy z nami, na razie w oparciu o nieformalne porozumienia, a gdy dojdzie do ugody przywódców i doradców „Solidarności” z władzą, w oparciu o oficjalne porozumienie wszystkich tych struktur z „Solidarnością Walczącą”, która zajęłaby się koordynacją działań.

### ● Na czym w praktyce polegała działalność SW?

Codzienna, żmudna i pełna wyrzeczeń, praca działaczy „Solidarności Walczącej” nie była spektakularna. Wydawaliśmy i kolportowaliśmy bibułę, w której informowaliśmy społeczeństwo, o tym co się dzieje, przedstawialiśmy nasze idee i cele, staraliśmy się przełamywać nastroje apatii i zniechęcenia. Uczyliśmy się posługiwać sprzętem, który pomagał zabezpieczyć i ułatwić konspiracyjne działanie. Pomagaliśmy w pracy wielu innym środowiskom niezależnym. Doskonaliśmy łączność i pracę Radia SW, które działało bardzo skutecznie i w wielu miastach oddawane było również na usługi struktur „Solidarności”. Między innymi ekipa Radia SW pracowała w Warszawie dla tamtejszego RKW, nadając program Radia „S”. Jednakże w czasie majowych

strajków (w 1988 roku) w obu „Leninach” – Nowej Hucie i Stoczni Gdańskiej, widoczna była bardzo niezdecydowana postawa przywódców „Solidarności”. To, jak również słabe przygotowanie zabezpieczenia tych strajków, skłaniało nas do tego, aby w przyszłości móc się zajmować również strajkami. Przygotowaniem zaplecza, łącznością, szkoleniem, jak strajk organizować, i podobnymi działaniami. Organizowaniem coraz większej ilości własnych komórek w zakładach pracy, zdolnych do pokierowania akcją strajkową. Wiele takich komórek już mieliśmy i teraz trzeba było je odpowiednio przygotować. Czasu mieliśmy już niewiele i trzeba było się z tym spieszyć, bo rok 1989 mógł się okazać decydujący. Tak więc to, że „Solidarność” nie chciała się przygotować do skutecznych strajków, nie zwalniało to nas z tego obowiązku.

Jedną z akcji „Solidarności Walczącej”, której rezultat mogło widzieć pół miasta, było umieszczenie na ścianie wysokiego domu wielkiego napisu „UWOLNIĆ GWIAZDĘ”. Andrzej Gwiazda został zwolniony w ] 1984 r. na mocy amnestii, ale znów aresztowano go, gdy kilka miesięcy później szedł w pochodzie, aby w rocznicę Grudnia 1970 złożyć wieniec pod pomnikiem poległych stoczniovców. 17 grudnia 1984 r. kolegium do spraw wykroczeń skazało go na trzy tygodnie bezwzględnego aresztu. Na rozprawie zeznawali tylko milicjanci, twierdząc, że Gwiazda, idąc na czele pochodu, niósł transparent o wrogiej treści. Transparent ten, z napisem: „BÓG, HONOR, OJCZYZNA, SOLIDARNOŚĆ” niesiono w dalszych szeregach pochodu. Milicjanci zeznali też, że z pierwszych szeregów pochodu rzucano w ich stronę kamieniami. Było to, oczywiście, wierutne kłamstwo. Nikt kamieniami nie rzucał, uczestnicy manifestacji zachowywali się godnie, a na czele pochodu obok Gwiazdy szedł Wałęsa i inni przywódcy „Solidarności” z wieńcem.

Gdy Gwieździe przedłużono karę o dalsze trzy miesiące, członkowie SW postanowili umieścić hasło „UWOLNIĆ GWIAZDĘ” na bocznej ścianie dziesięciopiętrowego wieżowca, świetnie widocznej z przystanku kolejki Gdańsk-Za-

spa. Było to bardzo blisko mieszkania Wałęsy, a więc cała akcja odbywała się pod bokiem ubecji, kręcącej się zawsze w tej okolicy. Już w czasie malowania tego napisu, pod wiszącymi na linach wykonawcami przeszedł patrol milicyjny. Na szczęście nikt z milicjantów nie spojrział w górę. Na wymalowanie czternastu liter dwumetrowej wysokości wystarczyło kilka minut. W akcji brały udział cztery osoby. Wykonany w nocy napis musiały rano widzieć tysiące ludzi, dojeżdżających do pracy kolejką. Do akcji zamalowania tego hasła, bezpieczeństwa musiała wynająć firmę „Alpinex”, ponieważ inne tego typu firmy odmówiły, a drabiny straży pożarnej nie sięgały do najwyższych liter. Trzeba było jednak kilka razy malować całą ścianę, aby litery przestały być widoczne. Za każde malowanie ubecja płaciła po dwieście tysięcy ówczesnych złotych.

Inna akcja, którą SW zdobyło sobie uznanie mieszkańców Trójmiasta, było zakłócenie pochodu pierwszomajowego. Granat z gazem łzawiącym wrzucono prosto pod nogi pierwszego sekretarza partii w Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni, prowadzącego grupę ze stoczni. Stało się to przy trybunie, z której odbierano pochód. Powstało dość duże zamieszanie i wielu dygnitarzy partyjnych wróciło tego dnia do domów z mocno zaczerwienionymi oczyma.

Członkowie SW przeprowadzili podobne akcje również w samej stoczni w Gdyni. Tam szefem samodzielnej grupy „SW” był Edek Frankiewicz (Ich działania zasługują na odrębny rozdział). Zebrania „wyróżniających” się zakładowych sekretarzy partii odbywały się w pomieszczeniu, które miało tylko małe okienka, umieszczone dość wysoko, potrzebne więc było sztuczne oświetlenie. Do pokoju tego prowadził dość długi, ciemny korytarz. Wrzucono więc do korytarza granaty z gazem łzawiącym i świece dymne oraz wyłączono światło w pokoju. Partyjniacy, oczywiście, otworzyli drzwi, aby wyjść, by sprawdzić, co się dzieje ze światłem, i wtedy do sali narad wdarły się kłęby duszącego dymu. Nie było to groźne dla ich zdrowia, ale niektórzy musieli spędzić parę dni w szpitalu.

Tego rodzaju akcje przeprowadziliśmy w odwecie za jakieś agresywniejsze działania ubecji przeciw załodze stoczni – falę wezwań na przesłuchania lub falę aresztowań.

Kilka odważnych akcji urządzili członkowie „Solidarności Walczącej” po aresztowaniu Kornela Morawieckiego. W kilku miastach młodzi, zdeterminowani ludzie przykuwali się do metalowych rusztowań na dość dużej wysokości, rozwijali transparenty i zrzucali ulotki, w których żądali zwolnienia przywódcy SW i aresztowanej z nim Hanny Łukowskiej-Karniej. Przez megafony informowali zbierających się na dole ludzi o swych żądaniach i o organizacji. Milicja miała duże trudności z dotarciem do nich i zdjęciem ich z rusztowań. W Warszawie i Wrocławiu udało się to im dopiero po kilku godzinach.

Ludzie SW narażali się na poważne ryzyko nie tylko w czasie działań, które można by określić jako „publiczne”, ale także przy codziennej, najczęściej mało efektywnej pracy w podziemiu. Żyli jednak przeświadczeniem o słuszności tego, co robili, wierzyli, że przybliżało to moment, w którym Polacy będą znów mogli decydować o swym losie. Bo, jak powiedział Kornel Morawiecki, *wolność wymaga ofiary, by ją utrzymać, jeszcze większej, by ją odzyskać. I wymaga też pracy. W naszym wypadku żmudnej, podziemnej dłubaniny. Drukarskiego brudu i kolporterskiej zadyszki. Trzeba często zdobyć się na rezygnację z prywatnych pasji, planów osobistych i rodzinnych, po to, żeby zarobić na... kilkuletni wyrok. Ale żeby widać było efekty tych poświęceń, ci, co się na to decydują, muszą zorganizować się do walki, wtedy dopiero będą naprawdę groźni dla komunizmu. Dopiero wtedy będą mogli wpływać na świadomość ogółu.*

○ W 1985 r. zdecydował się pan zejść do podziemia. Kornel Morawiecki ujawnił pana nazwisko jako współprzewodniczącego całej organizacji. Uczynił to ze względów taktycznych, wynikających z narastającej wobec pana nieufności w kręgach B. Borusewicza?

Nie, po naradzie, jaką odbyłem z kolegami po uniknięciu obławy na Żabiance, zdecydowaliśmy, że wyjadę na jakiś czas z Gdańska i powrócę do przygotowanego dla mnie bezpiecznego mieszkania. Zgoliłem wtedy swój obfity i bardzo charakterystyczny zarost. Do Gdańska wróciłem 8 marca 1985 r.

Kilka dni później, na spotkaniu we Wrocławiu zdecydowaliśmy wspólnie (Komitet Wykonawczy „SW”), że skoro ubecja już wie, to po co mam udawać przed ludźmi. Konsekwencją była wzmożona ostrożność w działaniu. Ale to już był chyba chleb powszedni – przynajmniej dla mnie. Nie miało to żadnego związku z B.B., ale niektórych struktur „Solidarności” (Lisa, Merkela, Michnika czy biura brukselskiego) obawiałem się tak samo jak ubecji.

Największym przeżyciem w czasie mojego trzyletniego pobytu w podziemiu była wizyta Papieża Jana Pawła II w Gdańsku. I ja, i wszyscy w Polsce, czekaliśmy, co nasz polski Papież powie w kolebce „Solidarności”, czy wspomni o związku i jakie zajmie stanowisko.

Papież miał kilka mszy i wystąpień w Gdańsku, ale najważniejsze uroczystości były na Zaspie. Mnóstwo ludzi przyjechało spoza Trójmiasta. Już trzy dni wcześniej wszystkie dworce były obstawione, bo przyjeżdżały masy ludzi, a wśród nich młodzież ze sztandarami i transparentami „Solidarności”. Wyłapywano ich, wsadzano do aresztu, a po wizycie Papieża odbywały się kolegia, na których wlepiano wysokie grzywny.

### ○ Do aresztu, „prewencyjnie”, wsadzano też na trzy dni różnych działaczy z Gdańska i Gdyni.

Mobilizacja była pełna. Do Gdańska ściągnięto wtedy z całego kraju siły milicyjne większe niż w stanie wojennym: 23 tys. ZOMO i milicji. W mieście było niebiesko, ale nie zakłóciło to radosnego nastroju ludzi i nie zapobiegło przemyceniu na Zaspę setek flag i transparentów.

Msza święta zaczynała się po południu, ale ludzie zaczęli się schodzić już poprzedniej nocy. Przyszedłem już o 9 i stałem bardzo blisko ołtarza. O jedenastej było ponad

milion ludzi. Uczestniczyli w modlitwach i słuchali nadawanych przez megafony transmisji ze spotkania Ojca Świętego ze służbą zdrowia w Bazylice Mariackiej. Odtwarzane były również fragmenty wcześniejszych homilii i przemówienia Papieża na Westerplatte. Gdy w wypowiedziach Jana Pawła II pojawiały się akcenty bliskie sercu, nad głowami wyrastały setki transparentów „Solidarności”.

Moment przyjazdu Papieża był olbrzymim przeżyciem dla wszystkich. Ale jeszcze większy entuzjazm ogarnął tłumy, gdy z jego ust padło słowo „Solidarność”. Mówił o solidarności między ludźmi i o „Solidarności”, która zrodziła się w tym mieście. Tłumy długo skandowały „Solidarność” i wznosiły okrzyki na cześć Papieża, aż musiał parę razy prosić, aby go dopuszczono do głosu. Nad głowami wiele razy wyrastał las transparentów i flag, który z miejsca, gdzie stałem, wyglądał jak biało-czerwona ściana. Po mszy spontanicznie uformował się pochód i ruszył w stronę Pomnika Poległych Stoczniovców. Ludzie przybyli tam z odpowiednim nastawieniem. Chcieli pokazać swą jedność z Papieżem, a przy tym również wyrazić, że dla Polaków idea „Solidarności” jest wciąż bardzo żywa. Wprawdzie w pochodzie nie było nikogo z kierownictwa „Solidarności”, ale był to pochód imponujący, chyba największa w historii manifestacja solidarnościowa, z udziałem co najmniej ćwierć miliona ludzi. Ponieważ nie było Wałęsy, dziennikarze zagraniczni nie zainteresowali się pochodem.

Szedłem w tym pochodzie, a potem stanąłem i próbowałem policzyć chociaż transparenty. Doliczyłem do czterystu i przestałem, bo pochód wydawał się bez końca, a nie chciałem zostać z tyłu. Musiałem długo biec, aby znów znaleźć się w pobliżu czoła pochodu. Widziałem tam Rulewskiego i kilku ludzi z SW z transparentami. Musiałem się trochę cofnąć, aby mnie nie zobaczyli.

Atmosfera na trasie pochodu była niezwykle podniosła i można ją porównać do atmosfery na terenie Stoczni Gdańskiej pod koniec strajku w sierpniu 1980 r. Ludzie z okien i balkonów wywieszali flagi „Solidarności”, rzucali kwiaty



i serdecznymi gestami i okrzykami pozdrawiali ludzi w pochodzie. Wiele osób stojących na chodnikach miało łzy szczęścia w oczach. Z Ząbki pochód szedł szeroką ulicą Rokossowskiego i doszedł do ulicy Grunwaldzkiej we Wrzeszczu, gdzie został zatrzymany przez milicję. Jest to odcinek długości kilku kilometrów. W momencie zatrzymania pochodu cała jego trasa aż do Rokossowskiego była jeszcze pełna ludzi.

Parę razy na ulicach starej części Wrzeszcza ZOMO próbowało zatrzymać pochód, ale gdy nadchodziło jego czoło, była to taka lawina ludzi, że w ostatniej chwili ZOMO-wcy wsiadali w samochody i odjeżdżali. Na Grunwaldzkiej udało im się utworzyć dużo większą zaporę z wielu szeregów milicjantów. Czoło pochodu podeszło do samych tarcz i usiłowało przepchnąć się przez zaporę. Ludzie nie byli jednak nastawieni agresywnie, wszystko odbywało się bardzo spokojnie, na twarzach demonstrantów widać było jeszcze nastroj święta. Myśląc o swoim bezpieczeństwie, (byłem szefem organizacji podziemnej), musiałem wtedy opuścić pochód i, korzystając z tego, że nie wszystko było jeszcze obstawione przez milicję, wydostać się z rejonu pochodu. Udało mi się w ostatniej chwili, bo również na trasie manifestacji ZOMO wychodziło z poprzecznych ulic, rozdzielając pochód na części. Opowiedziano mi później, że gdy na Grunwaldzką zaczęły zjeżdżać armatki wodne i inne pojazdy ZOMO, Rulewski namówił ludzi, aby spokojnie usiedli na ziemi. Nie uchroniło to ich jednak przed brutalnym atakiem. ZOMO-wcy wpadli między ludzi i zaczęli bicie i zatrzymywanie. Musieli pod koniec dnia pokazać świętującym masom, kto jest panem w tym kraju. A dzień ten dla mnie, i myślę, że dla wszystkich, którzy w tym uczestniczyli, był dniem wolności i solidarności.

### ● Niedługo potem został aresztowany przywódca „SW”

O aresztowaniu Kornela Morawieckiego dowiedziałem się z radia. Choć właśnie wróciłem z podróży, było dla

mnie jasne, że muszę natychmiast jechać do Wrocławia. Nie wiedziałem, gdzie i w jakich okolicznościach go aresztowano, jechałem więc z dużymi obawami i dla bezpieczeństwa wziąłem ze sobą jeszcze kogoś. Chodziło o to, aby można było na miejscu wy badać, czy mieszkania, do których chcę iść, są „czyste”. Okazało się, że wszystko jest w porządku i że poza Hanką i Kornelem nikt inny nie wpadł. We Wrocławiu byłem trzy dni. Załatwiłem sprawy, ustaliłem terminy i pojechałem w swe rodzinne strony.

Miałem szczęście, bo akurat w dniu mojego przyjazdu zdjęto obstawy z mieszkań całej mojej rodziny. Ubecja siedziała w mieszkaniach moich rodziców i zamężnych sióstr nieprzerwanie przez cały tydzień, od czasu aresztowania Kornela. Uznałem, że teren jest dla mnie zbyt niebezpieczny i wyjechałem. Następnego dnia wziąłem do ręki gazetę i znalazłem w niej komunikat biura śledczego, w którym podano, że jestem podejrzany o działalność terrorystyczną.



### **Kiedy został pan aresztowany?**

W styczniu 1988 r. Od 1985 r. ukrywałem się z moją narzeczoną. Ewa Stoja miała małą córeczkę i gdy tamtego dnia jechaliśmy po dziecko, nie wiedzieliśmy, że mieszkanie było namierzone przez SB. W kieszeni miałem tylko skaner do podsłuchiwania bezpieki. Gdy Ewa weszła do środka, słyszałem, że jest źle. Wiedziałem, że nie chodzi o nią i w tej sytuacji nie chciałem zostawić jej samej. Wszedłem. Kilka minut później wyważyli drzwi. Rzucili mnie twarzą do podłogi, ręce na plecy i wynieśli mnie. Buty przywieźli mi rano.

Na komendzie, gdy atmosfera była trochę spokojniejsza, ubecy pół żartem, pół serio powiedzieli, że chyba nie mam do nich pretensji, że potraktowali mnie tak ostro.

– Traktowaliśmy pana jak profesjonalistę i musieliśmy działać szybko. Byliśmy pewni, że ma pan przy sobie broń, a nie chcieliśmy dopuścić do strzelaniny. Wie pan, co o panu mówią pańscy koledzy... Jak dochodzą do nas takie plotki, musimy

traktować je poważnie. Zresztą gdyby role zostały odwrócone i kiedy wy byście nas zamykali, to też byście się nie cackali.

Później próbowano rozpocząć przesłuchanie, ale stanowczo odmówiłem jakichkolwiek zeznań. Nie przyznałem się też do znalezionej przy mnie dowodu osobistego.

– Ten dowód jest przywieziony przez was – powiedziałem.

– Ale to jest pański dowód.

– Nie, to wy przywieźliście go tutaj. Ja zostałem przywieziony z pustymi kieszeniami. Nazywam się Andrzej Kołodziej i z tym dowodem nie mam nic wspólnego.

Na Okopowej przetrzucali mnie z budynku do budynku. Potem się dowiedziałem, że mieli zakaz trzymania mnie w areszcie, ale czekali na jakieś decyzje, a ja już byłem obojętny na to, co dzieje się wokół mnie. Trochę próbowali straszyć, ale powiedziałem, że nie robi to na mnie wrażenia. Później zawieziono mnie do szpitala MSW, gdzie lekarz stwierdził, że jestem zdrowy i nie ma żadnych przeciwwskazań, by mnie aresztować. Po powrocie na Okopową, ale już do innego budynku, zaprowadzono na górę i siedziałem z jakimiś ubekami do rana. Próbowali mnie wkur..., ale to nie dla mnie. Dużo wiedzieli o mnie. Konfidentów nie brakowało. Potem dowiedziałem się, że czekają na zmianę pogody. A tak pięknie sypał śnieg. Dopiero koło południa przyszedł prokurator i wystawił nakaz aresztowania.

Gdzieś koło 14 odprowadzili mnie do celi. Potem przyszedł strażnik, kazał zabrać wszystkie rzeczy i zaprowadził mnie na dyżurkę, gdzie czekało już trzech mundurowych milicjantów. Wypełnili jakieś dokumenty, potem zabrali mi zegarek, pasek i odprowadzili do czekającego radiowozu. Posadzili mnie z tyłu. Z jednej strony położyli na siedzeniu karton z moimi aktami, z drugiej usiadł milicjant, a na przednich siedzeniach pozostali dwaj. Ręce miałem skute kajdankami. Eskortowały nas dwa samochody ubeckie.

Było już ciemno, gdy zbliżyliśmy się do ulicy Rakowieckiej w Warszawie. Z dyżurki prowadzono mnie do celi przez różne korytarze. Rozglądałem się z ciekawością, ale i z niepokojem.

Widziałem już różne więzienia i każde było zupełnie inne. W każdym były też odmienne warunki.

Przeszukali mnie chyba po raz dziesiąty tego dnia i wprowadzili do celi, w której było już dwóch młodych ludzi. Jeden w moim wieku, drugi młodszy. Znali już reżim więzienny, więc zdziwili się, że wprowadzają nowego o tak dziwnej porze.

Któryś z nich poczęstował mnie papierosem i spytał:

– Co tak późno? Ściągnęli cię z jakiejś obławy?

– Nie. Po prostu mieli taki kaprys, więc wzięli mnie i przywieźli.

Więźniowie przyzwyczajeni do takich odpowiedzi nawet się nie zdziwili. Ale powiedziałem im, że jestem z „Solidarności Walczącej” z Gdańska i że dzisiaj mnie aresztowali. Jeden z nich był z Sopotu, znał trochę ludzi, którzy działają, zapytał więc o nazwisko. Przedstawiłem się. Znał mnie ze słyszenia. Od razu zaproponował jakąś pomoc. Powiedziałem, że nie mam nawet szczoteczki do zębów, bo nie pozwolili mi z domu zabrać niczego. Odpowiedział, że tutaj siedzi się raczej dłużej razem, więc nie ma problemu, ma jakieś zapasy i coś mi tam odstąpi.

Tej nocy nie spałem. Próbowałem sobie uporządkować w myśli wszystkie sprawy. Rano trzeba było już zacząć normalne więzienne życie. Pierwszy spacer w czworoboku murów i niewielki kwadrat nieba nade mną. W poniedziałek zaczęły się przesłuchania. Od początku śledztwo przeciw mnie prowadził kapitan Adam Krupa z Biura Śledczego MSW. Pierwsze przesłuchanie było spokojne. Pytania o zdrowie, samopoczucie. Starał się mnie przekonać, że możemy rozmawiać o pogodzie, o sytuacji w kraju, o kłopotach życiowych różnych ludzi. Próbował poruszać różne tematy, ale nie miałem ochoty podejmować rozmowy.

Odesłał mnie do celi, obiecując, że będziemy się często spotykać. Powiedziałem, że tutaj nie zależy to ode mnie, ale żeby sobie po tych spotkaniach zbyt dużo nie obiecywał.

Następnego dnia przyszedł już z materiałami i porozkładał akta. Zaczął mi stawiać bardzo konkretne pytania, doty-

czące osób wspomnianych w sprawie Krzysztofa Szymańskiego, Kornela Morawieckiego i innych. Na wszystkie pytania odpowiedziałem, że odmawiam składania wyjaśnień. Wówczas otworzył akta i zaczął czytać fragmenty zeznań Szymańskiego, dotyczące jego rzekomej znajomości ze mną.

Z tego, co mówili w śledztwie, wiedziałem dokładnie, w co grają i jaki mi mniej więcej wyrok szykują. Z oskarżenia o zamach bombowy i działalność terrorystyczną mogłem dostać od 10 lat w górę. Może to i dziwne przeliczenia, ale trzeba było taki obrachunek wykonać i nastawić się psychicznie, bo wtedy jakoś łatwiej się siedzi.

Śledczemu oczywiście powiedziałem, że nie muszę się nad tymi materiałami zastanawiać, bo po pierwsze będę mógł to wszystko przeczytać, gdy zostaną mi udostępnione akta po zamknięciu śledztwa, a po drugie, nie mam w tej sprawie nic do powiedzenia.

– Jeśli sobie razem z Szymańskim robicie takie protokoły, to ja na to wpływu nie mam, wasza sprawa – powiedziałem. – Ja mogę sobie pomóc tylko w jeden sposób: milczeć. Pan o tym dobrze wie i ja o tym wiem. Więc możemy sobie zaoszczędzić prób namawiania do składania zeznań. Będzie pan miał wtedy spokojniejsze życie.

– Pan jeszcze krótko siedzi, to czuje się pan pewnie. Ale niech się pan zastanowi, bo to może zdecydować o pańskim życiu. Jest pan jeszcze młody, a pobyt w więzieniu zniszczy panu życie.

– Wkalkulowałem w moją działalność również i to, że będę musiał coś w tym więzieniu odsiedzieć. Pan sam wie, że nie liczyłem na pobłażliwość z waszej strony, więc w związku z tym niczemu się teraz nie dziwię. Nie zamierzam się ani ratować, ani sobie pomagać. Dopóki byłem na wolności, byłem górą. Wyście mnie szukali. Teraz, skoro się dałem złapać, nic już zrobić nie mogę.

Tak zakończyło się kolejne przesłuchanie. Przez następne dwa dni znów słuchałem tego, co mówił Szymański i znów odmawiałem wyjaśnień. Postanowiono więc urządzić

konfrontację z Szymańskim, ale mnie o tym nie uprzedzono. Gdy wszedłem do pokoju były tam już reflektory i kamery telewizyjne. Siedział prokurator i kilku ubeków. Na moje pytanie, o co chodzi, odpowiedziano, że będzie konfrontacja z Szymańskim. Wtedy powiedziałem, że zgodnie z prawem mogę żądać, aby przy konfrontacji był obecny mój adwokat. Ponieważ nic wcześniej nie wiedziałem, więc mówię to teraz i proszę o wpisanie tego do protokołu. Odmawiam też składania jakichkolwiek wyjaśnień i nie odpowiem na żadne pytania.

Prokurator rozpoczął konfrontację od pytania o moje nazwisko. Nie odpowiedziałem. Cała konfrontacja wyglądała tak, że prokurator odczytywał zeznanie Szymańskiego dotyczące mnie i mojej działalności, po czym pytał Szymańskiego, czy to potwierdza. Oczywiście, potwierdzał i składał jeszcze jakieś uzupełniające wyjaśnienia. Czuł się bardzo swobodnie, był spokojny i pewny siebie. Bardzo starał się przypomnieć sobie jakieś uzupełniające szczegóły. Sprawiał wrażenie ubeka, który dostał do rozwiązania zagadkę i wykonał zadanie.

Trwało to jakieś półtorej godziny. W ten sposób poznałem wszystkie jego zeznania w mojej sprawie, wraz z nazwiskami i adresami ludzi, którzy mieli potwierdzić to, co mówił.

Już przed moim aresztowaniem wiedziałem, jakich ludzi Szymański sypnął, ponieważ zostali zabrani na przesłuchania do MSW w Warszawie w czasie obławy 29 i 30 grudnia 1987 r. Miałem dużo szczęścia, że też wtedy nie wpadłem, bo miałem być w jednym z mieszkań, które wtedy odwiedziła ubecja. Wszystkie z wymienionych przez Szymańskiego osób zaprzeczyły, jakoby mnie znały. Wiedziałem o tym jeszcze przed aresztowaniem.

Po tej konfrontacji zacząłem się domagać widzenia z adwokatem i rodziną.

### ○ Kiedy zakończono śledztwo?

Gdzieś w drugiej połowie marca, adwokat, Wiesław Johan obiecał mi podjęcie starań w sprawie leczenia zębów za

pośrednictwem Episkopatu. Po kilku dniach zabrano mnie na badania przewodu pokarmowego. Kto nie miał wtedy wrzodów? Adwokata już potem nie widziałem. Gdy Ewa, moja narzeczona, próbowała, w trakcie widzenia powiedzieć mi, że wokół mnie i Kornela dzieje się coś dziwnego, brutalnie przerwano widzenia.

Dopiero w ostatnich dniach kwietnia zaskoczyła mnie wizyta rodziców. Nie starałem się o to. Z rodzicami pozwolono mi rozmawiać dziwnie swobodnie. Przy stole, ale w obecności ubeka. Byłem pewien, że coś jest nie tak. Mama zaczęła rozmowę od przekazania mi propozycji Episkopatu. Nie wysłuchałem do końca. Poprosiłem, by nie zajmowała się tym i nie odwiedzała mnie więcej. Było to przykre spotkanie. Ojciec na pożegnanie uściśnął mi dłoń i tak smutno się uśmiechnął. Wiedziałem, że coś wie... Dostał zawału, gdy kilka dni później usłyszał z Radia Wolna Europa, że mnie wywieźli.

29 kwietnia, o północy zerwali mnie z pryczy. Na korytarzu stali mundurowi z długą bronią. Było mi obojętne, dokąd mnie prowadzą. Wiedziałem, gdzie i za co siedzę. O dziwo, zaprowadzili mnie na przesłuchanie. Ale jakże dziwne. Pokazano mi akta sprawy. Powiedziano mi też, że mój adwokat uzyskał zgodę na widzenie ze mną i będę mógł się z nim zobaczyć na lotnisku. Nie bardzo podobał mi się ten pośpiech, więc przeciągałem czytanie akt. Bez większej przyjemności, bo duża ich część była zupełnie nieciekawa. Oczywiście, bardzo uważnie przeczytałem zeznania Szymańskiego, które stanowiły prawie połowę materiału, jakieś 360 stron. Druga połowa to protokoły z prób przesłuchania mnie, Kornela Morawieckiego, Bogdana Borusewicza i Jacka Merkela, którzy odmawiali zeznań; protokoły z przesłuchań innych osób, które zeznały, że mnie nie znają; dokumenty, zawiadomienia, pisma adwokatów i kopie odpowiedzi na te pisma; listy znalezione w transporcie skonfiskowanym przez ubecję; fotografie sprzętu i ekspertyzy tego sprzętu pod kątem jego przydatności do tak zwanych działań dywersyjnych.

Zeznania Szymańskiego obejmowały cały sześciolatek jego pracy, najpierw jako łącznika „Solidarności” regionu gdańskiego, a w okresie ostatnich dwóch lat jako głównego łącznika operacyjnego TKK „Solidarność”. Informacji było tam bardzo wiele, nie było jednak pewnych materiałów, które znałem z okresu śledztwa. Było to zresztą widoczne, bo zmieniono numeracje stron. Usunięto z akt, między innymi, zeznania dotyczące działalności Borusewicza i Merkela, których wyłączono ze sprawy. Brakowało też zeznań na temat wywiezienia z Polski sowieckiego dezertera oraz potajemnego wyjazdu na Zachód i powrotu do kraju działacza podziemnej „Solidarności” Andrzeja Słowika.

W aktach sprawy znalazłem również dość interesującą opinię pełnomocnika Rady Ministrów na temat „Solidarności Walczącej”. Opracowanie było bardzo zbieżne z zeznaniami Szymańskiego. Oceniono, że SW wzoruje się na konspiracyjnej działalności AK, co bardzo utrudnia infiltrację tej organizacji przez Służbę Bezpieczeństwa. Organizację uznano za bardzo niebezpieczną i przypisano jej tendencje terrorystyczne. Kornela określono jako głównego ideologa, a mnie jako organizatora działań dywersyjnych.

Przypuszczalnie w tym czasie Episkopat Polski prowadził rozmowy z władzami na temat zwolnienia mnie i Morawieckiego dla umożliwienia nam leczenia. Nie wiadomo, jak wyglądały te rozmowy, ale sądząc po ich wynikach, władze zgodziły się pod warunkiem, że obaj przywódcy SW wyjadą z kraju, a przy okazji zwolniony zostanie również Szymański, którego później w komunikacie oficjalnym „przyszyto” do SW, choć nigdy nie był członkiem tej organizacji.

W piątek 29 kwietnia poszła w świat wiadomość, że zostaniemy zwolnieni i wyjedziemy na leczenie do Rzymu. Następnego dnia rano przewieziono nas na lotnisko, gdzie przed odlotem mieliśmy jeszcze czas na rozmowy z rodzinami i przyjaciółmi. Od nich dowiedzieliśmy się po raz pierwszy o strajkach w Bydgoszczy, Inowrocławiu, Łodzi, Toruniu, Grudziądzu i oczywiście w Nowej Hucie. Uznali-



śmy wtedy, że w takiej sytuacji nie możemy opuścić kraju i kazaliśmy się zawieźć z powrotem na Rakowiecką.

Po powrocie do aresztu śledczego po raz pierwszy spotkaliśmy się z przedstawicielami Episkopatu. Rzecznik prasowy ksiądz Alojzy Orszulik i prof. Andrzej Stelmachowski namawiali nas do wyjazdu (mecenas Jan Olszewski milczał), prosząc nas, abyśmy dobrze rozważyli sytuację, zanim podejmiemy ostateczną decyzję. Zwrócili głównie uwagę na to, że odmowa wyjazdu bardzo utrudni Episkopatowi podejmowanie podobnych inicjatyw humanitarnych w przyszłości. Prezes warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej profesor Andrzej Stelmachowski wziął Morawieckiego na stronę i poinformował go, że jestem chory na raka dwunastnicy i powinienem jak najszybciej być hospitalizowany. Morawiecki powiedział mi o tym. Zostawiono nas samych, abyśmy mogli spokojnie się naradzić. Ustaliliśmy, że w takiej sytuacji powinienem jechać, a Morawiecki pozostanie w areszcie. Gdy jednak powiedzieliśmy to przedstawicielom Episkopatu, okazało się, że takie rozwiązanie sprawy jest niemożliwe, gdyż władze godzą się na mój wyjazd tylko pod warunkiem, że Morawiecki będzie mi towarzyszył. Dopiero po otrzymaniu od księdza Orzulika zapewnienia, że obaj będziemy mogli powrócić do Polski w każdej chwili, wyraziliśmy zgodę na wyjazd. Ponadto wpis w paszportach uprawniał nas do wielokrotnego przekraczania granicy. Tak więc w sobotę po południu wróciliśmy na Okęcie i niemal w ostatniej chwili wsiedliśmy do samolotu. W locie do Rzymu towarzyszył nam wicedyrektor Komisji Charytatywnej Konferencji Episkopatu Polski, ksiądz prałat doktor Zdzisław Sawiński.

### ● A wszystko okazało się fikcją...

Tak. A może trafniej nazwać to intrygą czerwonych z czerwoną opozycją, czyli „pakt diabła z lewicą katolicką”?

Niestety, tak przygotowywano „okrągły stół”. Wkrótce po tym napisałem w Paryżu o tych intrygach, ale nikt nie chciał wierzyć, że tak sprzedaje się Polskę.

Wracając do maja 1988 r. W Rzymie zaopiekowali się nami się księża – ojciec Konrad Hejmo, duszpasterz pielgrzymów polskich w Rzymie, i Jan Piekarski, delegat Komisji do spraw Chorych. Następnego dnia od rana udzielaliśmy wywiadów dla telewizji i prasy włoskiej oraz dla polskiej sekcji BBC, odpowiadaliśmy na telefony działaczy polonijnych z różnych krajów i prowadziliśmy rozmowy z odwiedzającymi nas działaczami prosolidarnościowymi we Włoszech oraz przedstawicielami „Solidarności Walczącej” z Francji i Niemiec. We wtorek, 3 maja, uczestniczyliśmy w uroczystej mszy świętej i w audiencji papieskiej dla pielgrzymów polskich. Ojciec Święty rozmawiał z nami na osobności przez ponad dziesięć minut i wręczył różańce.

Tego samego dnia Morawiecki miał wracać do Polski. Wcześniej telefonicznie uzgodnił z rodziną i znajomymi w kraju, że wysiądzie z samolotu w Krakowie. Tam mieli na niego czekać hutnicy i przewieźć go do strajkującej Nowej Huty. Ksiądz Sawiński, choć jego misja była skończona i mógł pozostać jeszcze kilka dni w Rzymie, zdecydował się towarzyszyć Morawieckiemu, uznając to za swą moralną powinność. Ponieważ Mrawiecki zrezygnował z hospitalizacji w Rzymie, ksiądz chciał skłonić go do tego, by poddał się leczeniu w kraju. Załatwiono rezerwację w rzymskim biurze PLL LOT, ale trzy godziny później przedstawiciel LOT-u telefonicznie powiadomił, że musi rezerwację odwołać, bo w samolocie nie ma już miejsc. Mimo to Morawiecki wraz z księdzem Sawińskim pojechali na lotnisko. Nie pomogły jednak starania i próby perswazji, na pokład samolotu ich nie wpuszczono, choć – jak sprawdzono potem w komputerze – w samolocie tym jeszcze tuż przed odlotem były trzy wolne miejsca.

Morawiecki nie dał za wygraną. Postanowił tego samego dnia pod wieczór polecieć do Frankfurtu nad Menem, skąd następnego dnia rano miał połączenie do Warszawy. Do stolicy przyleciał koło południa samolotem Lufthansy. Na Okęciu funkcjonariusze SB natychmiast odseparowali go od reszty podróżnych i umieścili pod strażą w jakimś pomiesz-

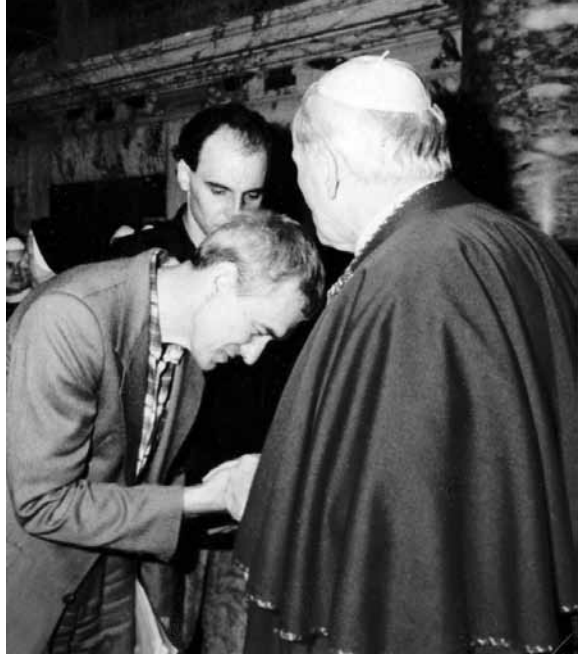
czeniu portu lotniczego. Po kilku godzinach oddano mu paszport ze zmienionym wpisem. Zamiast prawa wielokrotnego przekraczania granicy dano mu tylko prawo wyjazdu z Polski. Wręczono paszport i niemal siłą wprowadzono na pokład samolotu odlatującego do Wiednia.

Po wyjeździe Morawieckiego zostałem umieszczony w renomowanym szpitalu Forlanini, gdzie przez ponad dwa tygodnie poddawano mnie badaniom, testom i analizom. Ze szpitala wyszedłem z dużą ulgą. Co prawda, mój stan zdrowia pozostawiał wiele do życzenia, ale okazało się, że nie mam żadnego nowotworu. Cieszyłem się, że nic nie zagraża mojemu życiu, ale radość tę przyćmiewała świadomość, że obaj z Kornelem padliśmy ofiarą podstępów władz, że nie chodziło o leczenie, lecz o pozbycie się nas z kraju.

Już wtedy miałem gotowy plan powrotu. Wiedziałem jednak, że przygotowania zabiorą sporo czasu, pocieszałem się więc myślą, że na Zachodzie mam też trochę ważnych spraw do załatwienia.

○ Kilka dni później „nieznani sprawcy” ukradli panu paszport.

Jak cię bez przerwy obstawiają, to w końcu znajdą odpowiedni moment, a ja cały czas byłem obserwowany, ciągle



Jan Paweł II przyjmuje deportowanych przywódców „Solidarności Walczącej”.

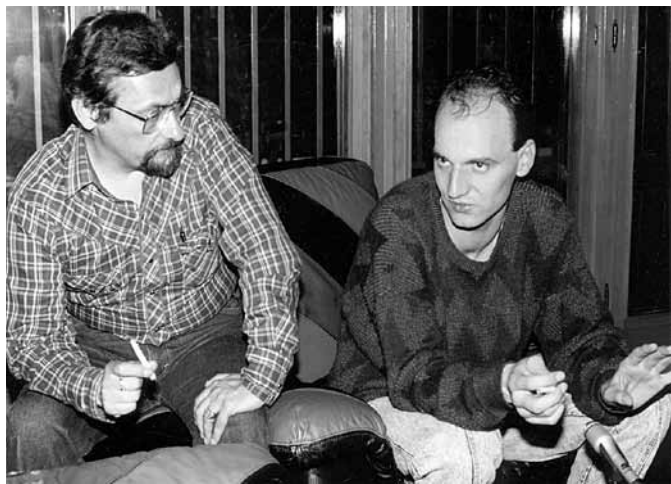
ktoś za mną chodził. „Przynajmniej wiem, o co im chodzi i teraz będę miał spokój. Tu na Zachodzie i tak sobie dam radę, a na powrót do Polski paszport nie jest mi potrzebny” – pomyślałem wówczas.

Maj spędziłem w klinice na leczeniu. Potem, gdy wróciłem do Domu Pielgrzyma w Watykanie, ktoś go podpalił i napisał czerwoną farbą, że nie życzy tam sobie mojej obecności. Podpis był Czerwonych Brygad, ale czy to nie to samo, co komunistyczna bezpieka? Dostałem ochronę Włoskiego MSW i zamieszkałem w Arici Roma, pięknym miasteczku obok Castel Gandolfo.

Równocześnie mieszkalem w bardzo dobrze strzeżonym apartamencie Radia Głos Ameryki. Tam z Alfredem Znamierowskim pisaliśmy „Zaciskanie pięści”. Książka ukazała się we wrześniu nakładem „Spotkań” w Paryżu, ale ja już w czerwcu byłem tam nielegalnie. Przyjechałem na prośbę Jerzego Giedroycia.. Poznałem przy okazji elitę emigracyjną i nie wpadłem w zachwyty. Ludwika Ogorzelec, nasza (SW) przedsta-

wicielka w Paryżu, a dzisiaj „ambasador polskiej sztuki współczesnej w świecie” uczyła mnie unikania kontroli policji i była dobrą przewodniczką po emigracyjnym labiryncie.

Wówczas to napisałem dla „Kultury” artykuł o przygotowaniach do okrągłego stołu. Był to czerwiec 1988 roku. Potem wróciłem do Włoch.



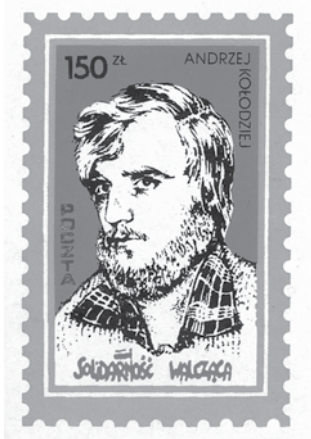
Z Alfredem Znamierowskim w trakcie przygotowywania książki

Pomagałem wydawać biuletyn Solidarności, redagowany na miejscu. Wysłaliśmy transporty z pomocą, ale już na Ukrainę. Oczywiście, nie tylko z pomocą materialną. Nie chciałem azylu, a więc za aprobatą rządu włoskiego mogłem przebywać w tym kraju, ale nie mogłem nigdzie wyjeżdżać. Jakoś tam sobie radziłem. Z Włoch wyjeżdżałem na paszporcie włoskim, a wracałem na francuskim. Dziś nawet nie pamiętam, jak szybko minęło tych kilka lat. Może z małymi wyjątkami.

Gdy jesienią 1988 roku mieliśmy umówioną promocję książki w kościele polskim w Watykanie, bardzo mocno utrwalił mi się w pamięci ksiądz biskup Stanisław Dziwisz. Zgodził się na udostępnienie sali, a gdy przyszli ludzie, zastali zamknięte drzwi. Nie pomogły interwencje Jana Nowaka Jeziorańskiego. Zdenerwowany taką postawą duchownego wobec Polaków sam wynajął salę na spotkanie w jednym z droższych hoteli rzymskich. Podobnie pamiętam postawę rządu Mazowieckiego, który odmawiał mi paszportu dla legalnego powrotu do Polski.

Tak pomiędzy Italią, Francją i Polską, Szwajcarią, Niemcami i Austrią przeminęły mi cztery lata. Potem wróciłem w Bieszczady. Ojciec już nie żył. Polityka polska była dla mnie szambem.

Dla mnie agent był prezydentem, a największy wróg Kościoła w czasach stalinowskich (Mazowiecki) uznawany był za katolickiego premiera. Próbowałem coś tam robić. Przed objęciem urzędu premiera przez Jana Olszewskiego razem z Kornelem rozmawialiśmy na temat agencji Wałęsy. Wiedział, z kim ma do czynienia, a mimo to Macierewicz namówił go na jakąś grę polityczną z Wałęsą. Istny targ próżności. Prawie wszyscy znajomi z tamtych lat nie byli tymi, których znałem. Grali wielkich polityków, uprawiając prywatę. Mieszkałem więc w Bieszczadach i tam próbowałem robić coś od podstaw w samorządach. Ciekawe doświadczenie



Andrzej Kołodziej na znaczku Poczty „Solidarności Walczącej” z 1988 r.

w pracy na najniższym szczeblu, w bezpośrednim kontakcie z wyborcami i pod stałą ich kontrolą. W moim mniemaniu tak powinna wyglądać demokracja, ale do tego trzeba uczciwych ludzi, a w naszym kraju w tzw. klasie politycznej o to bardzo trudno. Wytworzony po okrągłym stole układ polityczny – bez względu na opcję nie dopuszcza możliwości kontroli społecznej nad politykami.

A potem przyjechałem na dwa tygodnie do Gdańska, na obchody rocznicy „Solidarności” w 1999 roku, tak jakoś trudno mi od tego czasu wyjechać z Gdyni. No, może czasem do Wrocławia lub do mamy na święta.

Oczywiście pracuję, by żyć. A w kręgach znajomych dokonałem ostrej selekcji. Nie interesują mnie bieżące intrygi polityków. Większość z nich znam osobiście i miałem czas, by wypracować sobie opinię o nich. Szkoda, że głównie negatywną. Zdecydowanie odrzucam poprawność polityczną, tak lansowaną przez „Gazetę Wyborczą” i większość mediów. Te gotowe schematy skrótów myślowych może i dobre są dla półinteligentów, przykre dla mnie jest to, że 70% tzw. inteligencji polskiej to pokolenie płytkich i powierzchownych wzorów. Pokolenie michnikowszczyzny.

Od lat jestem przekonany, że Polsce potrzebna jest radykalna wymiana „klasy politycznej”, jednak karuzela wyświechtanych nazwisk na polskiej scenie politycznej kręci się nadal. Te same gęby obiecują nam, że to w tym momencie oni są jedynymi, którzy wiedzą, jak nam pomóc, a potem pomagają, ale tylko sobie, bez względu na kolory partyjne.

Dlatego od lat marzy mi się „polityka bez kolorów”, czyli stawianie na indywidualizm. Wybieranie ludzi, a nie partii politycznych, przy swej niedoskonałości może przynajmniej w części odświeżyć ten skostniały układ. Niestety, przed każdymi wyborami obiecują nam zmianę ordynacji wyborczej I co? Tradycją stało się po okrągłym stole, że polski polityk nie może dotrzymać słowa. Te są tylko dla naiwnych wyborców, a władza jest dla wybranych. Tak więc brodzimy

w tym samym nowym bagnie. Myślę, że potrzebna jest nam odnowa sceny politycznej w jednomandatowych okręgach wyborczych. Ale byłby to koniec istniejącego układu politycznego, trudno więc oczekiwać, by nasi politycy dobrowolnie zrezygnowali z nadmiaru przywilejów. A więc co? Może z czasem – poprawka do rewolucji?

Wierzę pozytywne zmiany.

I tak sobie żyję w walizce.